

# Juliusz Verne

## Przypadki pewnego chińczyka



calibre 0.9.27

# PRZYPADKI PEWNEGO CHIŃCZYKA

Juliusz Verne

# ROZDZIAŁ 1

## W KTÓRYM OSOBOWOŚĆ I NARODOWOŚĆ BOHATERÓW Z WOLNA SIĘ ODSŁANIA

- Trzeba jednak przyznać, że życie ma swoje dobre strony - rzekł oparty o marmurową poręcz krzesła jeden z biesiadników, pogryzając kłaczę lotosu w cukrze.

- Ale i złe także - odpowiedział między dwoma atakami kaszlu drugi, którego omal nie zadławił kolec delikatnej pletwy rekina.

- Bądźmy filozofami! - odezwał się starszy osobnik, którego nos zdobiła para ogromnych okularów o grubych szklach, oprawnych w drewno. - Dzisiaj możesz się zadławić, a jutro wszystko popłynie tak gładko, jak ten słodki napój do gardła. Cóż, takie jest życie!

To powiedziawszy, ów epikurejczyk o zgodnym usposobieniu wychylił czarę wyborowego ciepłego wina, którego opary z wolna unosiły się z metalowego czajniczka.

- Co do mnie - podjął czwarty biesiadnik - życie wydaje mi się jak najbardziej do przyjęcia, gdy nic się nie robi i posiada się środki ku temu, aby nic nie robić!

- Nieprawda! - zaoponował piąty. - Szczęście tkwi w nauce i pracy. Zdobyć możliwie jak największą ilość wiadomości, to starać się uzyskać szczęście!...

- A w ostatecznym rachunku dowiedzieć się, że się nic nie wie!

- A czyż nie to jest początkiem mądrości?

- A jaki jest jej koniec?

- Mądrość nie ma końca- odrzekł filozoficznie człowiek w okularach. - Najwyższym jej osiągnięciem jest zdrowy rozsądek.

Wówczas pierwszy biesiadnik zwrócił się bezpośrednio do gospodarza, który zajmował miejsce u stołu najbliższej drzwi, czyli najgorsze, jak wyma gają prawidła grzeczności. Obojętny i roztargniony, słuchał bez słowa tej rozprawy *inter pocula*.

- No, a co też myśli nasz gospodarz o tej dyskusji przy winie? Uważa dzisiaj życie za rzecz dobrą czy złą? Głosuje za czy przeciw?

Gospodarz chrupał beztrząsco pestki kawona; za całą odpowiedź wydał pogardliwie wargi jak człowiek, którego nic nie interesuje.

- Phi! - parsknął.

Jest to ulubione słówko ludzi zblazowanych. Mówi wszystko i nie mówi niczego. Znane jest w każdym języku i powinno figurować we wszystkich słownikach globu ziemskiego. To udźwięczniony wyraz niezadowolenia.

Biesiadnicy podejmowani przez znudzonego gospodarza zasypali go wówczas argumentami, każdy na poparcie swej tezy. Chciano poznać jego opinię. Najpierw bronił się przed odpowiedzią, w końcu stwierdził, że życie nie jest ani dobre, ani złe. Jego zdaniem to mało znaczący „wymysł”, w sumie niezbyt zabawny!

- Oto jaki jest nasz przyjaciel!

- Jemu dobrze tak mówić, skoro nigdy ani płatek róży nie zmącił jego snu

- I póki jest młody!

- Młody i zdrowy!

- Zdrowy i bogaty!

- Bardzo bogaty!

- Nadzwyczajnie bogaty!

- Może zbyt bogaty!

Te wykrzykniki krzyżowały się na kształt ogni sztucznych, nie wywołując jednak nawet cienia uśmiechu na obojętnej fizjonomii gospodarza. Poprzestał na lekkim wzruszeniu ramionami, jak ktoś, kto nigdy nie zapragnął choćby tylko na chwilę zajrzeć do księgi swego życia, kto nawet nie rozciął jej pierwszych kartek!

A przecież ten nieczuły mąż liczył najwyżej trzydzieści lat, cieszył się znakomitym zdrowiem, posiadał wielki majątek, jego umysł nie był pozbawiony kultury, a inteligencja przekraczała przeciętną, słowem, miał wszystko, czego brak tylu innym, aby mogli czuć się na tym świecie szczęśliwymi! Dlaczego on nim nie był?

Dlaczego?

- Wówczas rozległ się głos filozofa, który przemówił jak koryfeusz antycznego chóru:

- Przyjacielu, jeżeli nie jesteś szczęśliwy na tym świecie, to dlatego, że szczęście twoje było dotychczas wyłącznie negatywne. Gdyż ze szczęściem jest jak ze zdrowiem. Aby się nim bardziej cieszyć, trzeba czasami być go pozbawionym. Otóż ty nigdy nie byłeś chory... To znaczy: nigdy nie byłeś nieszczęśliwy! I tego właśnie brak twojemu życiu. Kto może ocenić szczęście, jeżeli go nieszczęście nigdy, choćby przez minutę, nie dotknęło?

I po tej zaprawionej mądrością uwadze filozof, podnosząc kielich pełen szampana z najlepszych winnic, powiedział:

- Życzę nieco cienia pełnej słonecznych promieni egzystencji naszego przyjaciela i kilku cierpień jego życiu!

Po czym jednym łykiem opróżnił swój kielich.

Gospodarz skinął głową i znów popadł w stan swej zwykłej apatii.

Gdzie odbywała się ta rozmowa? Czy była to europejska jadalnia w Paryżu, Londynie, Wiedniu, Petersburgu? Czy tych sześciu biesiadników gawędziło w salonie restauracyjnym Starego lub Nowego Świata? Kim byli ci ludzie rozprawiający podczas posiłku o takich sprawach, nie pijąc nad miarę?

W każdym razie nie byli to Francuzi, bo nie rozmawiali o polityce!

Biesiadnicy siedzieli przy stole w niezbyt dużej, luksusowo urządzonej sali. Przez okna o błękitnych i pomarańczowych szybkach wślizgiwały się ostatnie już promienie słońca. Na zewnątrz wieczorny wietrzyk poruszał girlandami naturalnych i sztucznych kwiatów, a różnobarwne lampiony dorzucały swe słabe światło do gasnących odblasków dnia. Szczyty szerokich okien zdobne były powycinanymi arabeskami, rzeźbami przedstawiającymi ziemską i niebiańską krasę, zwierzęta i rośliny jakiejś wymyślonej fauny i flory.

Na obitych jedwabiem ścianach salonu połyskiwały wielkie, ścięte ukośnie z dwóch stron lustra. U sufitu wisiał feng i poruszając skrzydłami z malowanego perkalu, obniżał temperaturę pomieszczenia.

Stół był to wielki czworobok z czarnej laki. Nie nakryto obrusem blatu, odbijającego jak tafla najczystszej kryształu zastawę ze srebra i porcelany. Zamiast płóciennych serwetek - zdobne dewizami zwykle kartki papieru, których każdy z zaproszonych miał wystarczający zapas. Wokół stołu znajdowały się krzesła z marmurowym oparciem, znacznie stosowniejszym pod tą szerokością geograficzną od wyściełanych mebli współczesnych.

Służba była żeńska. Młode, powabne dziewczęta w czarne włosy wpięte miały lilie i chryzantemy, a bransolety ze złota lub nefrytu kokieteryjnie zdobiły ich przeguby; uśmiechnięte i mile, podawały lub usuwały danie jedną ręką, podczas gdy drugą z wdziękiem poruszały dużym

wachlarzem, który pozwalał odświeżyć fale powietrza naniesionego przez feng spod sufitu.

Posiłek nie pozostawiał nic do życzenia. Czy można sobie wyobrazić coś delikatniejszego od tej kuchni prostej i wymyślnej jednocześnie? Jakiś miejscowy mistrz kuchni, świadom, że ma do czynienia ze znawcami, przeszedł samego siebie przyrządzając obiad, którego jadłospis składał się ze stu pięćdziesięciu potraw.

Na początku, jako przystawki, figurowały słodkie ciastka, kawior, smażone szarańcze, suszone owoce i ostrygi z Ningpo. Potem, z krótkimi przerwami, następowały po sobie jajka w koszulkach - kacze, gołębie i czajek, zupa z gniazd jaskółczych, potrawka z żeńszenia, skrzela jesiotra w sosie własnym, ścięga wieloryba w słodkim sosie, główacze słodkowodne, kraby w potrawce, wróble żołądki i oczy baranie przyprawione czosnkiem, pierożki nadziewane migdałami, trepangi w winie, pędy bambusa w sosie, słodkie surówki z młodych korzonków i tak dalej. Ananasy z Singapuru, orzeszki arachidowe w cukrze, solone migdały, smaczne mango, owoce lungjen o białym miększu i liczy z bezbarwnym miększem, kasztany wodne i pomarańcze z Kantonu w syropie stanowiły ostatnią część trwającego trzy godziny posiłku, zakrapianego obficie piwem, szampanem, winem z Szaosingu, a nieodzowny ryż, wkładany do ust za pomocą małych pałeczek, miał ukoronować fen niezwykle zestaw.

Nadszedł wreszcie moment, gdy młode służebne wniosły nie zawierające wonny płyn miseczki - co jest zwyczajem europejskim - lecz nasycone gorącą wodą serwetki, którymi wszyscy biesiadnicy z najwyższym zadowoleniem przetarli swe twarze.

Była to jednak tylko przerwa w obiedzie, miłe *far niente* wypełnione muzyką. Do salonu weszła bowiem grupa śpiewaczek i grajków. Śpie waczki były młode, ładne i zachowywały się skromnie i przyzwoicie. Ale cóż za muzyka i jakie środki wyrazu! Miauczenia, gdakania, bez taktu i rytmu, o dźwiękach wznoszących się do ostatnich granic wytrzymałości słuchu. Grano zaś na „skrzypcach”, których smyczek był na stałe przeciągnięty między strunami, „cytrach” obciążonych węzową skórą, piskliwych „klarnetach”, „dudach” podobnych do małych, przenośnych organów, a wszystkie godne były śpiewów i śpiewaczek, towarzysząc im zgiełkliwe.

Wchodząc, szef tej kociej orkiestry przedłożył swój repertuar. Na znak gospodarza, że zostawia mu wolną rękę, muzycy odegrali „Bukiet z dziesięciu kwiatów”, bardzo modną wówczas arię, którą zachłystywało się dobrze urodzone towarzystwo.

Następnie śpiewająca i grająca trupa, dobrze wcześniej opłacona, wycofała się wśród rześzystych oklasków, zbierając jeszcze w sąsiednich salonach obfite żniwo braw.

Biesiadnicy opuścili wtedy swe miejsca, lecz jedynie po to, aby przejść od jednego stołu do drugiego, co uczynili nader ceremonialnie i komplementując się wzajemnie.

Na drugim stole każdy znalazł małą czarzę z przykrywką, zdobną portretem sławnego mnicha buddyjskiego Bodhidharmy, stojącego na legendarnej tratwie. Każdy też otrzymał szczyptę herbaty, zaparzył ją bez cukru w swej czarce napełnionej wrzątkiem, po czym ją pić.

Co za herbata! Nie zachodziła najmniejsza obawa, że dostawca - firma Gibb-Gibb & Co - sfalszował ją nieuczciwą domieszką obcych liści, ani by już raz ją zaparzone, bo wówczas nadawałaby się jedynie do czyszczenia dywanów, ani że nieumiejętny preparator pomalował ją na żółto kurkuminą lub na zielono błękitem pruskim! Była to nieskazitelnie czysta herbata cesarska. Cenne, podobne do płatków kwiatu listki z pierwszego marcowego zbioru, rzadko przeprowadzanego, bo krzew po nim więdnie, listki, które wolno zbierać jedynie małym dzieciom dłońmi ubranymi w rękawiczki.

Europejczykowi brakłoby słów uznania dla tego napoju, który nasi biesiadnicy popijali małymi łyżkami, nie zachwycając się nadmiernie, jako przyzwyczajeni do niego znawcy.

Oni bowiem, trzeba to zaznaczyć, nie umieli już ocenić delikatności tego wyśmienitego płynu. Bogato odziani w hanszan - lekką koszulę, makua - krótki kaftan, pao - długą, zapinaną z boku suknię, ze stopami w żółtych pantoflach z jedwabiu na pikowanej podeszwie, w jedwabnych spodniach przytrzymywanych w talii szarfą z frędzlami, w kamizelkach z delikatnie haftowanego jedwabiu, z wachlarzem u pasa, wytworni ci ludzie urodzeni byli właśnie w kraju, gdzie herbaciane krzewy dają zbiór swych wonnych liści. Posiłkiem, składającym się z gniazd jaskółczych, trepangów, ścięgien wieloryba i płetw rekina, delektowali się, jak na to zasługiwał z uwagi na umiejętne przyrządzenie; lecz ów jadłospis, który wzbudziłby podziw cudzoziemca, ich nie mógł zadziwić.

W każdym razie zupełnym zaskoczeniem była dla wszystkich nowina, jaką zakomunikował im gospodarz w chwili, gdy mieli wstać od stołu. Wtedy dopiero dowiedzieli się, dlaczego ich tego dnia podejmował.

Czarki były jeszcze pełne. Znudzony mężczyzną opróżnił swoją po raz ostatni, oparł się o stół i ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń tak przemówił:

- Przyjaciele, posłuchajcie mnie bez żartów. Kości zostały rzucone. Zamierzam wprowadzić do swej egzystencji nowy element, który rozproszy może jej monotonię. Czy robię dobrze, czy źle - przyszłość pokaże! Ten obiad, na który was zaprosiłem, jest moim pożegnaniem kawalerskiego żywota. Za dwa tygodnie żenię się i...

- I będziesz najszczęśliwszym z ludzi! - zawołał optymista. - Spójrz! Masz pomyślne wróżby!

Istotnie, podczas gdy lampy skwierczały rzucając nikłe błyski, na arabeskach okien skrzeczały sroki, a małe listki herbaty unosiły się pionowo w filiżankach. Tyle szczęśliwych przepowiedni nie mogło zawieść!

Wszyscy więc rzucili się gratulować gospodarzowi, który przyjął te życzenia z najdoskonalszym chłodem. Ale ponieważ nie wymienił wybranej przez siebie, a przeznaczonej do roli „nowego elementu” osoby, nikt nie był tak niedyskretny, aby go o to zapytać.

Filozof jednak nie przyłączył się do zgodnie brzmiących gratulacji. Ze skrzyżowanymi ramionami, oczami półprzymkniętymi i ironicznym uśmiechem na wargach, nie pochwalał, wydawało się, ani prawiących komplementy, ani przyjmującego je.

Wówczas ten ostatni wstał, położył mu dłoń na ramieniu i głosem mniej spokojnym niż zazwyczaj spytał:

- Czy jestem za stary na małżeństwo?

- Nie.

- Za młody?

- Tym bardziej nie.

- Uważasz, że nie mam racji?

- Może!

- Ta, którą wybrałem, a którą znasz, posiada wszystko, czego trzeba, aby uczynić mnie szczęśliwym.

- Wiem o tym.

- No więc?...

- To ty nie posiadasz wszystkiego, co potrzebne, aby być szczęśliwym! - Nudzić się samemu w życiu, to bardzo źle! Nudzić się we dwoje, to jeszcze gorzej!

- Nigdy więc nie będę szczęśliwy?...

- Nie, dopóki nie poznasz nieszczęścia!

- Nieszczęście nie może mnie osiągnąć!

- Tym gorzej, bo w takim razie jesteś nieuleczalnie chory!

- Ach, ci filozofowie!-wykrzyknął najmłodszy z biesiadników.- Nie trzeba ich słuchać. To są maszyny do tworzenia teorii! Fabrykują ich, ile kto chce! A to czysta tandeta, która do niczego się nie nadaje! Żeń się, żeń, przyjacielu! Ja uczyniłbym to samo, gdybym nie ślubował nigdy nic nie robić! Żeń się i, jak mówią nasi poeci, oby dwa feniksy objawiały ci się zawsze objęte czułym uściskiem! Przyjaciele, piję za szczęście naszego,, gospodarza!

- A ja - oświadczył filozof- piję za bliską interwencję jakiegoś opiekuńczego bóstwa, które dla jego szczęścia podda go najpierw próbie nieszczęścia!

Po tym dosyć dziwnym toaście biesiadnicy wstali i wyciągnęli pięści jak pięściarze podczas walki, a opuściwszy je i wzniosłszy z jednoczesnym pochyleniem głowy, pożegnali się i wyszli.

Z opisu salonu, w którym odbywało się przyjęcie, ze składającego się nań egzotycznego menu, z ubrania biesiadników, ich sposobu wyrażania się, może też z osobliwości wygłaszanych przez nich teorii, czytelnik domyślił się, że chodzi o Chińczyków - nie tych „Niebiańczyków”, jakby zdjętych z parawanu lub stłuczonej wazy, lecz o nowoczesnych mieszkańców Niebiańskiego Cesarstwa, już „zeuropeizowanych” przez swe studia, podróże, częste kontakty z zachodnią cywilizacją.

W rzeczy samej bowiem bogaty Kin Fo razem z nieodłącznym filozofem Wangiem podejmował w salonie jednej z kwietnych łodzi na Rzece Perłowej w Kantonie czterech najlepszych przyjaciół swej młodości: Pao Szena - mandaryna czwartej rangi z niebieską gałką, Jin Panga- bogatego kupca jedwabiów, Tima - zatwardziałego lekkoducha i Huauczzonego.

A działo się to dwudziestego siódmego dnia czwartego księżyca, podczas pierwszej z pięciu straży, które tak poetycznie dzielą się godzinami nocy chińskiej.

# ROZDZIAŁ 2

## W KTÓRYM KIN FO I FILOZOF WANG SĄ DOKŁADNIEJ PRZEDSTAWIENI

Kin Fo wydał ten pożegnalny obiad dla przyjaciół z Kantonu dlatego, że w stolicy prowincji Kuangtung spędził część swych lat młodzieńczych. Z wielu kolegów, jakich powinien mieć młody człowiek bogaty i szlachetny, czterej zaproszeni na kwietną łódź byli jedynymi, jacy mu pozostali w tym czasie. Innych, rozproszonych po świecie, daremnie starałby się odnaleźć.

Kin Fo mieszkał wówczas w Szanghaju i aby zmienić atmosferę drażnącej go bezustannie nudy, urządził kilkudniową wycieczkę do Kantonu. Ale tego samego wieczoru miał wsiąść na parowiec, który zatrzymuje się w głównych portach wybrzeża, i powrócić do swego jamenu.

Wang towarzyszył mu, gdyż filozof nigdy nie opuszczał swego ucznia, racząc go morałami. Prawdę mówiąc, uczeń się nimi nie przejmował. Wszystkie sentencje i maksymy spływały po nim, lecz „maszyna do tworzenia teorii” - jak nazwał go ten hulaka Tim - fabrykowała je wciąż niestrudzenie.

Kin Fo należał do tych Chińczyków, którzy zachowali ciągłość rasową i którzy nigdy nie mieszały się z Tatarami. Próżno by szukać jemu podobnych w prowincjach północnych, gdzie i wyższe, i niższe klasy skrzyżowały się z rasą mandżurską. Kin Fo ani ze strony ojca, ani matki, których rodziny od czasu podboju trzymały się na uboczu, nie miał nawet kropli krwi tatarskiej w żyłach. Wysoki, dobrze zbudowany, raczej biały niż żółty, o prostym rysunku brwi, oczach nieco tylko uniesionych ku skroniom, z prostym nosem, twarzą nie spłaszczoną, zwróciłby uwagę swym wyglądem nawet wśród najpiękniejszych okazów ludności Zachodu.

Kin Fo miał bowiem powierzchowność Chińczyka tylko dzięki dokładnie wygolonej czasce, brakowi włosów na karku i nad czołem i wspaniałemu warkoczowi, który spływając z potylicy, wił się na jego plecach jak czarny wąż. Bardzo zadbany, nosił cienki wąsik otaczający półkolem górną wargę i dokładnie poniżej niego muszkę, co wyglądało jak fermata na pięciolinii. Przeszło centymetrowej długości paznokcie świadczyły, że zaliczał się do tych szczęśliwców, którzy mogą żyć, nic nie robiąc. Może również nonszalancja ruchów, dumny sposób bycia przyczyniały się do tego *comme il faut*, jakie roztaczała cała jego sylwetka.

Zresztą Kin Fo urodził się w Pekinie, czym bardzo szczył się Chińczycy. Temu, kto pytał go o to, mógł z wyższością odpowiedzieć: „Ja urodziłem się w Niebie!”

W Pekinie bowiem jego ojciec, Czung Hou, mieszkał w chwili urodzenia Kin Fo, a kiedy rodzice osiedlili się definitywnie w Szanghaju, chłopiec miał lat sześć.

Czung Hou, szacowny Chińczyk ze znamienitej rodziny z północy cesarstwa, jak i jego rodacy posiadał wybitne zdolności do handlu. W początkach kariery każdy produkt tego bogatego, tak zaludnionego terytorium - papier z Szantou, jedwab z Suczou, kandyzowane słodczyce z Tajwanu, herbata z Hankou i Fuczou, żelazo z prowincji Henan, czerwona i żółta miedź z prowincji Jünnan - stanowił dla niego przedmiot handlu. Jego główny dom handlowy, hang, mieścił się w Szanghaju, lecz w Nankinie, Tiencinie, Makao i Hongkongu posiadał kantory. Mocno zainteresowany zmianami w Europie, włączył się w nie: angielskie parowce przewoziły jego towary, telegraf informował o cenach jedwabiu w Lyonie i opium w Kalkucie. Żadnemu z tych czynników postępu, parze czy elektryczności, nie był niechętny, jak większość Chińczyków, którzy odnoszą się do nich wrogo pod wpływem mandarynów i rządu, bo postęp ów pomniejsza z wolna ich znaczenie.

Krótko mówiąc, zarówno w handlu wewnętrznym, jak i w transakcjach z firmami portugalskimi,



francuskimi, angielskimi i amerykańskimi z Szanghaju, Makao Hongkongu, Czung Hou działał tak zrećźnie, że w chwili gdy Kin Fo przyszedł na świat, majątek jego przekraczał już czterysta tysięcy dolarów.

W następnych latach kapitał ten podwoił się dzięki powstaniu nowej gałęzi handlu, którą można by nazwać „handlem kulisami do Nowego Świata”.

Wiadomo mianowicie, że Chiny są ogromnie przeludnione, nawet w stosunku do przestrzeni tego ogromnego terytorium, zwanego innymi i poetycznymi słowy Niebiańskim Cesarstwem, Państwem Środka lub Państwem Kwitnącym.

Liczba mieszkańców wynosi nie mniej jak trzysta sześćdziesiąt milionów. Jest to prawie jedna trzecia zaludnienia całej ziemi. A chociaż ubogi Chińczyk zjada niewiele, to jednak je, Chiny zaś, pomimo mnóstwa pól ryżowych, ogromnych upraw prosa i pszenicy, nie mogą go wyżywić. Stąd nadmiar, który niczego więcej nie pragnie, jak wymknąć się przez dziury porobione armatami angielskimi i francuskimi w materialnych i moralnych murach Niebiańskiego Cesarstwa.

Tak więc do Ameryki Północnej, a głównie do Kalifornii, przelał się ów nadmiar. Ale stało się to tak gwałtownie, że Kongres amerykański musiał zastosować środki ograniczające tę inwazję, dość nieuprzejmie nazwaną „żółtą zarazą”. Zauważono wówczas, że pięćdziesiąt milionów emigrantów chińskich w Stanach Zjednoczonych nie pomniejszyłoby nadmiernie Chin, a wchłonięcie rasy anglosaskiej byłoby z korzyścią dla rasy mongolskiej.

Tak czy owak, exodus odbył się na wielką skalę. Tym kulisom, zyjącym garstką ryżu, czarką herbaty i jedną fajką, zdolnym do wszystkich zawodów, powiodło się nad Jeziorem Słonym, w Wirginii, Oregonie, a zwłaszcza w Kalifornii, gdzie spowodowali znaczną obniżkę cen rzemiosła.

Potworzyły się więc kompanie do transportu tych niedrogich emigrantów. Pięć takich kompanii dokonywało rekrutacji w pięciu prowincjach Niebiańskiego Cesarstwa, szósta działała w San Francisco. Tamte ekspe diowały towar, ostatnia odbierała go. Dodatkowa agencja "Ting-Tong" wysyłała go z powrotem.

Ta sprawa wymaga wyjaśnienia.

Chińczycy chętnie emigrują, by szukać fortuny u "Melikanów", jak nazywają mieszkańców Stanów Zjednoczonych, ale pod warunkiem, że ciała ich zostaną po śmierci przywiezione do ojczyzny i tam pochowane. Jest to jeden z głównych warunków kontraktu, klauzula *sine qua non* - kompanie są do niej wobec emigranta zobowiązane i nie da się jej ominąć.

Tak więc "Ting-Tong" - inaczej mówiąc Agencja Zmarłych - dysponując specjalnymi funduszami, wynajmuje statki na zwłoki, które odpływają z pełnym ładunkiem z San Francisco do Szanghaju, Hongkongu lub Tiencinu. Nowa gałąź handlu. Nowe źródło zarobków.

Sprytny i przedsiębiorczy Czung Hou wyczuł to. W chwili swej śmierci w roku 1866 był dyrektorem kompanii w prowincji Kwantung i wicedyrektorem Kasy Zmarłych w San Francisco.

Tegoż dnia Kin Fo, nie mając już rodziców, dziedziczył majątek wartości czterech milionów franków, ulokowany w akcjach Centralnego Banku Kalifornijskiego, które przezornie zatrzymał. W chwili, gdy stracił ojca, młodzutki dziewiętnastoletni spadkobierca byłby został zupełnie sam, gdyby nie Wang, nieodłączny Wang, mentor i przyjaciel.

Kimże był Wang? Od siedemnastu lat żył w jamenie w Szanghaju. Był współbiedniakiem najpierw ojca, potem syna. Lecz skąd przybył? Jaką miał przeszłość? Na wszystkie te dość nieskrystalizowane pytania jedynie Czung Hou i Kin Fo mogliby odpowiedzieć, gdyby uznali, że tak należy postąpić - co jest mało prawdopodobne. Oto, co by wtedy wyszło na jaw:

Wszyscy wiedzą, że Chiny są państwem, gdzie powstania mogą trwać latami, wciągając do swych szeregów setki tysięcy ludzi. W XVII wieku słynna chińska dynastia Ming panowała w

Chinach od trzystu już lat, ale w roku 1644 władca jej, za słaby, aby pokonać rebeliantów zagrażających stolicy, wezwał na pomoc króla tatarskiego.

Król nie dał się prosić, przybył, wypędził zbuntowanych, skorzystał ze sposobności, by zrzucić z tronu tego, który błagał go o pomoc, i obwołał cesarzem swego syna, Szunczy. Z tą chwilą władza tatarską zajęła miejsce władzy chińskiej, a na tronie zasiedli cesarze mandżurscy.

Z wolna, szczególnie w niższych warstwach społeczeństwa, obie rasy mieszały się; lecz w bogatych rodzinach Północy utrzymał się ścisły rozdział między Chińczykami a Tatarami. Ludzi tego typu spotyka się dziś jeszcze, zwłaszcza w południowych prowincjach cesarstwa. Tam odizolowali się "nieprzejednani", wierni pokonanej dynastii.

Ojciec Kin Fo należał do nich i nie zaparł się tradycji rodzinnych, które zabraniały paktowania z Tatarami. Gdyby nawet po trzystu latach wybuchło powstanie przeciw samozwańczym władcom, nie wahałby się do niego przystąpić. Zbyteczne dodawać, że jego syn, Kin Fo, w zupełności podzielał przekonania polityczne ojca.

W roku 1860 panował jeszcze cesarz Sienfeng, który wypowiedział wojnę Anglii i Francji - wojnę zakończoną traktatem pekińskim 25 października tego samego roku. Ale jeszcze przedtem panującej dynastii zagroziła wielka rewolucja. Tajpingowie, zwani też „czang mao” - długowłosymi - opanowali w roku 1853 Nankin, a w 1855 Szanghaj. Po śmierci Sienfenga jego młody syn nie mało się natrudził, by odeprzeć tajpingów. Bez pomocy wielkorządcy Li Hungczanga, księcia Kunga, a zwłaszcza angielskiego pułkownika Gordona, na pewno nie byłby ocalił tronu.

Ci tajpingowie bowiem, zdecydowani wrogowie Tatarów, zorganizowawszy potężną rewoltę, zamierzali na miejsce dynastii Cing wprowadzić dynastię chińską. Stworzyli cztery samodzielne oddziały: pierwszy - czarnej chorągwi, którego zadaniem było zabijanie; drugi - czerwonej chorągwi, którego zadaniem było podpalanie; trzeci - żółtej chorągwi, którego zadaniem było rabowanie; czwarty - białej chorągwi, którego zadaniem była aprowizacja trzech poprzednich.

W prowincji Ciangsu miały miejsce ważne działania zbrojne. Suczou i Ciasing, położone dwadzieścia kilometrów od Szanghaju, wpadły w ręce rebeliantów i nie bez trudu zostały odbite przez wojska cesarskie. Sam Szanghaj, bardzo zagrożony, zaatakowano 18 sierpnia 1860 roku, w chwili gdy dowodzący armią angielsko-francuską generałowie Grant i Montauban ostrzeliwali forty na rzece Pajhe.

W tej epoce Czung Hou mieszkał za Szanghajem, w pobliżu wspaniałego mostu, jaki inżynierowie chińscy przerzucili przez rzeczkę Suczou. Nie mógł on być nieprzychylny owemu powstaniu tajpingów, gdyż był zagorzałym wrogiem dynastii tatarskiej:

I oto wieczorem 18 sierpnia, gdy rebelianci zostali odparci spod Szanghaju, drzwi mieszkania Czung Hou nagle się otworzyły. Jakiś uciekinier, któremu udało się ujść pościgowi, upadł do nóg Czung Hou. Nieszczęśnik nie miał już się czym bronić. Gdyby ten, kogo przyszedł błagać o azyl, wydał go cesarskim żołdakom, byłby zgubiony.

Ale ojciec Kin Fo nie był człowiekiem zdolnym zdradzić tajpinga szukającego schronienia w jego domu. Zamknął drzwi i rzekł:

- Nie chcę wiedzieć, teraz ani w przyszłości, kim jesteś, co zrobiłeś i skąd przybywasz. Jako mój gość jesteś u mnie bezpieczny.

Uciekinier chciał mówić, wyrazić swą wdzięczność... Brakło mu siły.

- Jak się nazywasz? - spytał Czung Hou.

- Wang.

Był to istotnie Wang, uratowany dzięki szlachetności Czung Hou, szlachetności, którą ten ostatni byłby życiem przypłacił, gdyby podejrzewano, że udzielił schronienia rebeliantowi. Lecz Czung Hou

był człowiekiem starej daty, a dla takiego każdy gość jest święty.

W kilka lat później powstanie zostało definitywnie zdławione. W roku 1864 władca Państwa Tajpingów, obleżony w Nankinie, otrął się, by nie wpaść w ręce wojsk cesarskich.

Od tego pamiętnego dnia Wang pozostał w domu swego dobroczyńcy. Nigdy nie mówił o swej przeszłości. Nikt go o nią nie pytał. Może nie chciano wiedzieć za wiele? Rebelianci dopuszczali się podobno przerażających okrucieństw. Pod jaką chorągwią służył Wang - żółtą, czerwoną, czarną czy białą? Lepiej było nie wiedzieć i łudzić się, że należał do kolumny zaopatrzenia.

Wang zresztą, zachwycony swym losem, został współlokatorem tego gościnnego domu. Po śmierci Czung Hou jego syn nie miał zamiaru rozstawać się z Wangiem, tak się przyzwyczaił do towarzystwa tego uczonego osobnika..

Lecz prawdę mówiąc, w epoce, kiedy zaczyna się ta historia, któż by rozpoznał dawnego tajpinga, zabójcę, grabieżcę czy -jak kto woli - podpalacza w tym pięćdziesięcioletnim filozofie, w tym moraliscie w okularach, w tym chińskim Chińczyku z oczami sięgającymi skroni i z tradycyjnym wąsem? W długiej szacie pastelowego koloru, z pasem podciągniętym na piersi wskutek zaczynającej się otyłości, z nakryciem głowy ściśle przestrzegającym zaleceń cesarskich - to znaczy w czapce z filcu o podniesionym rondzie, z którego zwisały czerwone niteczki frędzli -czyż nie wyglądał na czcigodnego profesora filozofii, jednego z tych mędrców, co swobodnie posługują się pismem chińskim zawierającym osiem dziesiąt tysięcy znaków i znają język klasyczny, pierwszego laureata egzaminu na stopień cinszy, uprawnionego do przechodzenia przez wielką bramę Pekinu zarezerwowaną dla cesarzy, zwanych Synami Nieba?

Może w końcu, zapomniawszy o okrutnej przeszłości, rebeliant złagodniał pod wpływem szlachetnego Czung Hou i powoli skierował się ku filozofii spekulatywnej? I oto dlaczego tego wieczoru Kin Fo i Wang, jak zwykle nierozłączni, byli razem w Kantonie, a po pożegnalnym obiedzie szli obaj wybrzeżem szukając parowca, który miał ich szybko dowieźć do Szanghaju.

Kin Fo szedł w milczeniu, trochę nawet zatroskany. Wang, rozglądając się na prawo i lewo, filozofując do księżycy i do gwiazd, przechodził z uśmiechem pod Bramą Wiecznej Czystości, której nie uważał za zbyt wysoką dla siebie, pod Bramą Wiecznej Radości otwartą, jak mu się wydawało, na jego własną egzystencję, a w końcu ujrzał gubiące się w mroku wieże klasztoru Pięciuset Bóstw.

Parostatek "Perma" stał już gotowy. Kin Fo i Wang ulokowali się w zarezerwowanych dla nich kabinach. Bystry bieg Rzeki Perłowej, która unosi codziennie z mułem swych brzegów ciała straceńców, wprawił statek w dużą szybkość. Parowiec przemknął jak strzała między ruinami, jakie tu i ówdzie pozostawiły armaty francuskie, przed dziewięciopiętrową pagodą wyznaczającą połowę trasy do ujścia, obok Huangpu, gdzie stają na kotwicy największe okręty, między wysepkami i bambusowymi pomostami na obu brzegach.

Sto pięćdziesiąt kilometrów, czyli trzysta siedemdziesiąt pięć li dzielących Kanton od ujścia rzeki, przepłynęli w ciągu nocy.

O wschodzie słońca "Perma" minęła Bramę Tygryszego Łba, potem dwie mierzeje estuarium. Na chwilę w porannej mgłę ukazał się szczyt Victoria na wyspie Hongkong, wysoki na tysiąc osiemset dwadzieścia pięć stóp, po czym, po szczęśliwej podróży, Kin Fo i filozof, płynąc pod prąd żółtawych wód Niebieskiej Rzeki, wylądowali w Szanghaju, na wybrzeżu krainy Ciangnan."

# ROZDZIAŁ 3

## W KTÓRYM CZYTELNIK BĘDZIE MÓGL BEZ TRUDU RZUCIĆ OKIEM NA MIASTO SZANGHAJ

Chińskie przysłowie mówi:

Kiedy szable są zardzewiałe, a łopaty błyszczące;  
Kiedy więzienia są puste a spichrze pełne;  
Kiedy stopnie świątyń są zdeptane nogami wiernych,  
a podwórce sądowe porośnięte zielskiem;  
Kiedy lekarze chodzą pieszo, a piekarze jeżdżą konno,  
Wówczas cesarstwo jest dobrze rządzone.

Przysłowie jest trafne. Można by je słusznie zastosować do wszystkich państw Starego i Nowego Świata. Jeżeli jednak istnieje państwo, gdzie to *desideratum* dalekie jest jeszcze od realizacji, to właśnie Niebiańskie Cesarstwo. Tam to bowiem szable lśnią a łopaty rdzewieją, więzienia są przepełnione, a spichrze próżne. Więcej jest bezrobotnych piekarzy niż lekarzy, jeżeli zaś świątynie przyciągają wiernych, to w zamian za to w sądach nie brak nigdy ani oskarżonych, ani procesujących się.

Zresztą państwo o powierzchni ponad jedenastu milionów kilometrów kwadratowych, które z północy na południe liczy blisko trzy tysiące dwieście kilometrów, a ze wschodu na zachód ponad trzy tysiące sześćset, które obejmuje osiemnaście wielkich prowincji, nie wspominając krajów podległych, jak Mongolia, Mandżuria, Tybet, Tonkin, Korea, Wyspy Liuciu itd., musi być w bardzo niedoskonały sposób rządzone. O ile Chińczycy tak właśnie przypuszczają, o tyle cudzoziemcy nie mają żadnych złudzeń. Może jedynie cesarz, zamknięty w swym pałacu, którego bramy rzadko przekracza, chroniony murami potrójnego miasta, ten Syn Nieba, ojciec i matka dla swych poddanych, wydający i odwołujący prawa według własnej woli, rozporządzający życiem i śmiercią wszystkich mieszkańców, z tytułu urodzenia posiadający dochody z całego cesarstwa, ten monarcha, przed którym poddani czołgają się w prochu, uważa, że wszystko jest w zupełnym porządku na tym najlepszym ze światów. Daremnym trudem byłoby próbować mu dowieść, że się myli. Syn Nieba nie myli się nigdy.

Czy Kin Fo nie miałyby więc powodu uważać, że lepiej jest być rządzonym po europejsku niż po chińsku? Tak by należało sądzić. Mieszkał bowiem nie w Szanghaju, lecz na zewnątrz, na terenie koncesji angielskiej, która trwa w pewnego rodzaju bardzo cennej autonomii.

Szanghaj, to znaczy samo miasto, leży na lewym brzegu rzeki Huangpu, która koło Wusungu, tworząc kąt prosty, łączy swe wody z rzeką Jangcy, czyli Niebieską Rzeką, uchodzącą do Morza Żółtego.

Miasto ma kształt owalu skierowanego z północy na południe, otoczonego wysokimi murami o pięciu bramach wychodzących na przedmieścia. Jest to splątana sieć brukowanych uliczek, których nie dałyby rady wyczyścić zamiataczki mechaniczne; ciemne sklepiki bez okien i wystaw, gdzie pracują nadzy do pasa sklepikarze; ani powozu, ani palankinu, najwyżej jeźdźcy konni; kilka tubylczych świątyń albo cudzoziemskich kapliczek; jedyne miejsca do spacerów to ogród herbaciany i rynek, dosyć błotnisty, bo powstał na zasypanych dawnych polach ryżowych, przesiąknięty bagiennymi wyziewami; wśród tych ulic i w głębi wąziutkich domków dwieście tysięcy

mieszkańców: tak wygląda miasto o opłakanych warunkach mieszkalnych, lecz mimo to posiada ono wielkie znaczenie handlowe.

Tam bowiem, po traktacie w Nankinie, cudzoziemcy po raz pierwszy otrzymali prawo zakładania kantorów. W Chinach otwarto wielkie wrota dla handlu europejskiego. Toteż poza murami Szanghaju i jego przedmieściami rząd przyznał za opłatą roczną tereny Francuzom, Anglikom i Amerykanom, których jest tam około dwóch tysięcy.

O francuskiej koncesji niewiele da się powiedzieć. Jest ona najmniej ważna. Graniczy z północną dzielnicą miasta i ciągnie się aż do rzeczki Jangcingpang, oddzielającej ją od terytorium angielskiego. Wznoszą się tam kościoły lazarystów i jezuitów, którzy posiadają też, o cztery mile od Szanghaju, kolegium w Süciawei, gdzie kształcą uczniów chińskich. Ale ta mała kolonia francuska nie dorównuje w najmniejszej mierze swym sąsiadkom. Z dziesięciu domów handlowych założonych w roku 1861 zostały już tylko trzy i nawet kantor dyskontowy wolał ulokować się na terenie koncesji angielskiej.

Terytorium amerykańskie zajmuje ziemie w kierunku Wusungu. Od terytorium angielskiego oddziela je rzeczka Suczou, opatrzona drewnianym mostkiem. Tam wznosi się hotel "Astor", kościół misyjny, tam też mieszczą się doki do naprawy statków europejskich.

Ale najbardziej kwitnącą ze wszystkich trzech koncesji jest angielska. Zbytekowne wille wzdłuż nabrzeża, domy z werandami i ogrodami, pałace królów handlu, Oriental Bank, hang słynnej firmy Dent ze swą centralą w Laociczang, kantory Jardyne'ów, Russelów i innych wielkich kupców, klub angielski, teatr, plac do gry w piłkę, park, wyścigi, biblioteka - tak oto przedstawia się ta bogata posiadłość anglosaska, która słusznie zasłużyła na nazwę "wzorowej kolonii".

Trudno się więc dziwić, że na tym uprzywilejowanym terenie, pod patronatem liberalnej administracji, istnieje, jak się wyraził Leon Rousset, "miasto chińskie o całkiem szczególnym charakterze i któremu nigdzie nie znajdziesz podobnego".

Tak więc na tym małym skrawku ziemi cudzoziemiec przybyły malowniczą trasą Niebieskiej Rzeki widział powiewające na wietrze cztery flagi: trójkolorową francuską, krzyż Świętego Andrzeja Zjednoczonego Królestwa, gwiazdy amerykańskie oraz żółto-zieloną Państwa Kwitnącego.

Okolice Szanghaju natomiast były krainą płaską, bez jednego drzewa, poprzecinaną wąskimi, kamiennymi drogami i ścieżkami wytyczonymi prostopadle do siebie, podziurawioną zbiornikami i rowami rozprowadzającymi wodę na ogromne pola ryżowe, pociętą kanałami niosącymi dżonki, co płyną wśród pól jak barki na holenderskich nizinach. Wszystko to tworzyło rozległy, zielony obraz, któremu brakło planu.

"Perma" przepłynąwszy, przybiła do nabrzeża miejscowego portu, na wschodnim przedmieściu Szanghaju. Tam to wysiedli w południe Kin Fo i Wang.

Bieganina zapracowanych ludzi była olbrzymia na wybrzeżu, na rzece trudna do opisanie. Setki dżonek, kwietnych łodzi, sampanów - łodzi przypominających gondole - szalup i innych statków wszelkiej wielkości tworzyły jakby pływające miasto, gdzie żyła ludność morska w ilości nie mniejszej jak czterdzieści tysięcy dusz - ludność o najgorszych warunkach życiowych, której najzamożniejsza nawet część nie może się wznieść do klasy uczonych lub mandarynów.

Dwaj przyjaciele szli wolno nabrzeżem wśród różnorodnego tłumu przekupniów wszelkiego rodzaju, sprzedawców arachidów, pomarańcz, orzechów areki, pompeli, marynarzy wszelkich narodowości, roznosicieli wody, wróżbitów, bonzów łamów, księży katolickich ubranych na modłę chińską - z warkoczem i wachlarzem, miejscowych żołnierzy, tipao - strażników miejskich, policjantów miejscowych i kompradorów - kogoś w rodzaju pośredników załatwiających sprawy kupców europejskich.

Kin Fo, z wachlarzem w ręce, wodził po tłumie obojętnym wzrokiem, nie wzruszając się zupełnie tym, co się wokół niego działo. Ani metaliczny dźwięk piastrów meksykańskich, ani srebrnych taelów, ani miedzianych sapeków, wymienianych z hałasem przez kupców i klientów, nie robił na nim żadnego wrażenia. Mógł przecież za gotówkę kupić całe przedmieście.

Wang rozpiął swój duży, złoty parasol, zdobny czarnymi potworami, i wiecznie ciekawy, jak to rasowy Chińczyk, szukał wszędzie tematu do jakiejś uwagi.

Gdy przechodzili przed Bramą Wschodnią, wzrok jego przypadkiem zatrzymał się na dwunastu kłatkach bambusowych, skąd wyzierały wykrzywione twarze przestępców straconych poprzedniego dnia.

- Może byłoby lepiej - rzeki nie ścinać głów, a zrobić je wytrzymałszymi!

- Kin Fo na pewno nie dosłyszał uwagi Wanga, która niewątpliwie zdziwiłaby go w ustach byłego tajpinga.

Szli dalej wybrzeżem, okrążając mury chińskiego miasta. Na skraju przedmieścia, w chwili gdy mieli wkroczyć na koncesję francuską, siedział jakiś tubylec w długiej błękitnej szacie, uderzając pałeczką w róg bawoli, co wywoływało tak ostry dźwięk, że zwróciło uwagę tłumu.

- To sienszeng - rzekł filozof.

- Co nas to obchodzi! - odparł Kin Fo.

- Przyjacielu - podjął Wang - pozwól sobie powróżyc. To wyjątkowa okazja, skoro masz się zenić!

Kin Fo chciał iść dalej, lecz Wang go zatrzymał.

Sienszeng jest rodzajem ludowego wróżbity, który za kilka miedziaków przepowiada przyszłość. Jego narzędzia to klatka z malutkim ptaszkiem zawieszona na guziku szaty i sześćdziesiąt cztery karty z figurami bogów, ludzi i zwierząt. Chińczycy wszystkich klas, na ogół przesądni, nie gardzą przepowiedniami sienszenga, który prawdopodobnie sam siebie nie traktuje poważnie.

Na znak Wanga wróżbita rozłożył na ziemi bawełniany dywan, postawił klatkę, wyjął swą talię kart, przetasował i rozłożył na dywaniku tak, aby figury nie były widoczne. Wówczas otwarto drzwiczki klatki. Ptaszek wyszedł z niej, wybrał jedną z kart i wrócił do siebie, otrzymawszy ziarnko ryżu w nagrodę.

Sienszeng odwrócił kartę. Była na niej figura męska i jakaś sentencja napisana w kuanghua - dialekcie mandarynów z północy, oficjalnym języku ludzi wykształconych.

I wówczas, zwracając się do Kin Fo, wieszcz przepowiedział mu to, co jego koledzy we wszystkich krajach świata wróżą niezmiennie, bynajmniej się nie kompromitując: że po niebawem mającym nastąpić ciężkim doświadczeniu czeka go dziesięć tysięcy lat szczęścia.

- Jeden rok tylko — odpowiedział Kin Fo — jeden rok, resztę ci daruję!

Po czym rzucił na ziemię srebrnego taela, którego wróżbita chwycił jak wygłodzony pies łapie kość. Takie gratki nieczęsto mu się trafiały.

Potem Wang i jego uczeń skierowali się ku koncesji francuskiej, pierwszy rozmyślając o przepowiedni, tak zgodnej z jego własnymi teoriami o szczęściu, drugi wiedząc dobrze, że żadne ciężkie doświadczenie nie może go osiągnąć.

Minęli tedy konsulats francuski, wkroczyli na mostek na Jangcingpang, przebyli strumień, przeszli skrótem przez terytorium angielskie i dotarli do nabrzeża portu europejskiego.

Właśnie wybiło południe. Ruch handlowy, tak ożywiony w godzinach porannych, ustał jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Dzień pracy był już zakończony i po aktywności nastąpił spokój nawet w mieście angielskim, pod tym względem już zupełnie chińskim.

W tej chwili kilka okrętów cudzoziemskich wpływało do portu, większość pod banderą

Zjednoczonego Królestwa. Na dziesięć okrętów dziewięć, trzeba przyznać, zawierało opium. Ta otepiająca substancja, ta trucizna, którą Anglia zasypuje Chiny, daje obroty przekraczające dwieście sześćdziesiąt milionów franków i przynosi trzysta procent zysku. Na próżno rząd chiński chciał przeszkodzić importowi opium do Niebiańskiego Cesarstwa. Wojna roku 1841 i traktat nankiński pozwoliły na wolny przywóz angielskiego towaru i uznały wygraną królów handlu. Trzeba zresztą dodać, że choć rząd pekiński wydał dekret skazujący na karę śmierci każdego Chińczyka sprzedającego opium, istniały jednak za odpowiednią opłatą układy ze sprawującymi władzę. Mówiono nawet, że wielkorządca Szanghaju inkasuje milion rocznie za to tylko, iż przymyka oczy na działalność swych podopiecznych.

Rozumie się, że ani Kin Fo, ani Wang nie oddawali się temu haniebnemu nałogowi, który wyniszcza cały organizm i sprowadza przedwczesną śmierć. Toteż nigdy ani uncja tej substancji nie znalazła się w bogatych apartamentach, gdzie obaj przyjaciele dotarli w godzinę po wylądowaniu na nabrzeżu Szanghaju.

Wang - co niewątpliwie znów zadziwić by mogło w ustach byłego tajpinga - nie omieszkał powiedzieć:

- Można by chyba wymyślić coś lepszego, zamiast importować środek otepienia dla całego narodu! Handel - bardzo dobrze, ale filozofia -jeszcze lepiej! Bądźmy przede wszystkim filozofami, bądźmy filozofami!

# ROZDZIAŁ 4

## W KTÓRYM KIN FO Z TYGODNIOWYM OPÓŹNIENIEM OTRZYMUJE WAŻNY LIST

Jamen to zespół różnych budynków ustawionych w rzędzie, z prostopadłym doń drugim rzędem pawilonów. Najczęściej jamen jest miejscem zamieszkania mandarynów wysokiej rangi i należy do cesarza; bogatym Niebiańczykom wolno jednak posiadać go na własność, i w takim to zbytkownym pałacu mieszkał majątny Kin Fo.

Wang i jego uczeń zatrzymali się przed główną bramą na froncie obszernego ogrodzenia otaczającego budynki jamenu, jego ogrody i podwórze. Gdyby to było mieszkanie nie zwykłego obywatela, lecz urzędnika mandaryna, czołowe miejsce pod ząbkowatym i jaskrawo malowanym okapem zajmowałby wielki gong. Dniem i nocą uderzałiby weń podwładni domagający się sprawiedliwości. Ale zamiast „gongu skarg” wejście zdobiły porcelanowe dzbany pełne zimnej herbaty, nieustannie dolewanej dzięki staraniom rządcy. Stały do dyspozycji przechodniów — dowód hojności przynoszącej Kin Fo zaszczyt. Toteż był on dobrze widziany „przez sąsiadów ze Wschodu i Zachodu”.

Gdy właściciel nadszedł, służba zbiegła się do bramy, by go powitać. Służący, pokojowcy, odźwierni, nosiciele lektyk, stangreci, stajenni, stróże nocni, kucharze, cały ten tłum, z którego składa się chińska służba domowa, na rozkaz rządcy ustawił się w szpaler. Dziesięciu kulisów, wynajmowanych na miesiąc do cięższych prac, stanęło nieco na uboczu. Rządca powitał gospodarza w domu. Ten zaledwie skinął mu ręką i szybko przeszedł.

- Sun? - spytał tylko.

- Sun! - powtórzył z uśmiechem Wang. - Gdyby Sun tu był, musiałby nie być Sunem!

- Gdzie jest Sun? - spytał ponownie Kin Fo.

Rządca musiał wyznać, że nikt, z nim włącznie, nie widział Suna.

Otóż Sun był ni mniej, ni więcej tylko pierwszym pokojowcem, specjalnie do usług Kin Fo, który nie mógł się bez niego obejść. Byłżeby więc Sun wzorowym służącym? Nic podobnego. Niemożliwością byłoby gorzej pełnić swoje obowiązki, niż on to robił. Roztargniony, niepozbywany, niezgrabny w rękach i niezręczny w mowie, namiętnie łakomy, trochę tchórz, taki prawdziwy Chińczyk z parawanu, ale wierny i, mimo wszystko, on jedyny posiadał dar wzruszenia swego pana. Kin Fo miał dwadzieścia razy dziennie okazję gniewać się na Suna, a jeżeli karał go tylko -dziesięć razy, to zarówno przez wrodzoną obojętność, jak i dla pobudzenia żółci. Wynika z tego, że Sun mu służył do celów zdrowotnych.

Sun zresztą, jak większość służących chińskich, wychodził zawsze naprzeciw karze, gdy na nią zasłużył. A jego pan nie skąpił mu jej. Ciosy różgi z trzciny spadały na jego plecy, czym Sun niezbyt się przejmował. Natomiast nieskończenie bardziej wrażliwy był na sukcesywne skracanie warkocza pętającego mu się po grzbiecie, a tej kary Kin Fo nie szczędził mu, gdy chodziło o jakąś cięższą przewinę.

Istotnie, wszyscy wiedzą, jak wielkie znaczenie przywiązuje Chińczyk do tego zabawnego dodatku. Pozbawienie warkocza to pierwsza kara, jaką wymierza się przestępcom! Hańba na całe życie! Toteż nieszczęsny służący niczego tak się nie bał, jak utraty choćby kawałka tej ozdoby. Kiedy zaczął służbę u Kin Fo cztery lata wcześniej, jego warkocz -jeden z najpiękniejszych w Niebiańskim Cesarstwie - mierzył metr i dwadzieścia pięć centymetrów. Obecnie zostało mu już tylko pięćdziesiąt siedem centymetrów. Jak tak dalej pójdzie, to za dwa lata Sun będzie kompletnie łysy!



Tymczasem Wang i Kin Fo, za którymi z szacunkiem postępowali domownicy, przeszli przez ogród, gdzie drzewa - po większej części w wazach z terakoty i przycięte z zadziwiającym, ale i pożałowania godnym kunsztem - udawały kształtami baśniowe zwierzęta. Potem okrążyli zamieszkały przez rybki gurami i czerwone basen, którego przejrzysta woda znikła pod szeroko rozwiniętymi różowymi kwiatami najpiękniejszych lotosów rodem z Państwa Kwitnącego. Pokłonili się czworonożnemu hieroglifowi wymalowanemu na murze jaskrawymi barwami niczym symboliczny fresk i przybyli nareszcie przed drzwi głównego budynku jamenu.

Do domu prowadziło sześć marmurowych stopni, a składał się on z parteru i piętra, mieszczącego się na tarasie. Nad drzwiami i oknami niczym okapy rozpostarto bambusowe maty, aby ułatwić wentylację i uczynić przez to znośniejszą temperaturę wewnątrz. Płaski dach kontrastował z fantazyjnymi szczytami pawilonów rozsianych tu i tam w obrębie zabudowań jamenu, których blanki, różnobarwne dachówki, cegły wycięte w delikatne arabeski cieszyły wzrok.

Wewnątrz, z wyjątkiem pokoi zamieszkiwanych przez Wang i Kin Fo, były tylko salony otoczone gabinetami z przezroczystymi przepierzeniami, po których biegły girlandy malowanych kwiatów lub wisiały zwoje z sentencjami moralnymi, jakich Niebiańczycy nigdy nie szczędzą. Wszędzie dziwaczne w kształtach taborety z terakoty lub porcelany, z drewna albo z marmuru, nie mówiąc o tuzinach cudownie miękkich poduszek; wszędzie lampiony i latarnie o różnorodnych formach, ze szkłem w pastelowych kolorach i obwieszone frędzlami i chwastami bardziej niż hiszpańska mulica; wszędzie też małe stoliczki do herbaty, zwane czaci -nieodzowny element chińskiego wyposażenia domu. Jeśli chodzi o wyroby rzeźbione z kości słoniowej i szylkretu, figurki z brązu, kadzielniczki, wyroby z laki zdobione złotem, mlecznobiałe i szmaragdowozieloną nefryty, okrągłe i pryzmatyczne wazy z okresów panowania dynastii Ming i Cing, jeszcze bardziej poszukiwaną porcelaną z czasów dynastii Jüan, przejrzyste różowe i żółte emalie komórkowe, których sekretu nikt już dzisiaj nie zna - wszystko to można było godzinami całymi oglądać, nie uważając czasu za stracony. To luksusowe mieszkanie łączyło cały wikwint chiński z europejskim komfortem.

Rzeczywiście bowiem Kin Fo - mówiliśmy już o tym, a dowodem smak jego - był człowiekiem postępowym. Żadnego nowoczesnego wynalazku zachodniego nie wahał się sprowadzić do siebie. Należał do tych bardzo nielicznych jeszcze Chińczyków, których zachwycały nauki fizyczne i chemiczne. Nie zaliczał się więc do barbarzyńców, co przecięli pierwsze kable elektryczne, jakie firma Reynolds chciała przeciągnąć aż od Wusungu, aby szybciej dowiadywać się o nadejściu angielskich i amerykańskich statków pocztowych, ani do zacofanych mandarynów, którzy aby nie dopuścić do umocowania podmorskiego kabla telegraficznego, łączącego Hongkong z Szanghajem, w jakimkolwiek miejscu na lądzie, zmusili elektryków do umieszczenia go na statku zakotwiczonym na środku rzeki!

Nie! Kin Fo był jednym z tych, co pochwalali decyzję rządu o postawieniu arsenałów i warsztatów w Fuczou pod, kierunkiem francuskich inżynierów. Posiadał też akcje towarzystwa parowców chińskich pływających między Tiencinem i Szanghajem w interesach czysto narodowych, ciekawiły go również statki ekspresowe, które, począwszy od Singapuru, prześcigają o trzy lub cztery dni angielskie statki pocztowe.

Mówiliśmy już, że nawet do swego domu wprowadził zdobycze techniki. Aparaty telefoniczne łączyły poszczególne zabudowania jego jamenu. W pokojach działały dzwonki elektryczne. W zimie rozpalał ogień i grzał się bez ceremonii, nie tak jak jego rodacy, co w poczwórnym ubraniu zamarzają przed pustym paleniskiem. Wprowadził oświetlenie gazowe, zupełnie jak główny inspektor celny w Pekinie, jak przebogaty pan Jang, właściciel wszystkich lombardów w Państwie Środka!

Wreszcie, gardząc przestarzałym zwyczajem pisania swej prywatnej korespondencji, postępowy Kin Fo - jak się przekonamy niebawem -korzystał z fonografu, świeżo udoskonalonego przez Edisona.

Tak więc uczeń filozofa Wang posiadał zarówno w materialnej, jak i duchowej sferze życia wszystko, czego trzeba, aby być szczęśliwym! I nie był nim! Miał Suna, aby rozpraszał jego codzienną apatię, i nawet Sun nie wystarczał, by mu dać szczęście!

Faktem jest, że Sun, który nigdy nie znajdował się tam, gdzie być powinien, wciąż się nie pokazywał! Bez wątpienia musiał poczuwać się do jakiejś poważnej winy, jakiejś grubej niezręczności popełnionej pod nieobecność pana i jeżeli nie bał się o swe plecy przyzwyczajone do trzcinki, wszystko wskazywało na to, że lękał się o warkocz.

- Sun! - rzekł Kin Fo wchodząc do sieni, skąd prowadziły drzwi do salonów z prawej i lewej strony, a w głosie jego brzmiała z trudem powstrzymywana niecierpliwość.

- Sun! - powtórzył za nim Wang, którego ani dobre rady, ani nagany nie znajdowały nigdy najmniejszego oddźwięku u niepoprawnego lokaja.

- Niech odszukają Suna i przyślą mi go! - rozkazał Kin Fo zwracając się do rządcy, a ten rozesłał całą swą czeladkę na poszukiwanie zaginionego.

Wang i Kin Fo zostali sami.

- Mądrość - rzekł wówczas filozof- nakazuje podróżnemu, aby wróciwszy do swego domostwa, wypoczął nieco:

- Bądźmy więc mądrzy! - odparł po prostu jego uczeń.

I ucisnąwszy dłoń filozofa, skierował się do swoich apartamentów, a Wang udał się do swego pokoju.

Kin Fo zostawszy sam wyciągnął się na miękkiej otomanie produkcji europejskiej, jakiej żaden chiński tapicer nigdy nie potrafiłby tak wygodnie wyścielić. Leżąc, zaczął rozmyślać. Czyżby o małżeństwie z miłą i uroczą kobietą, z której zamierzał zrobić towarzyszkę swego życia? Tak, i nic w tym dziwnego, skoro niebawem miał ją zobaczyć. Ta wdzięczna osoba nie mieszkała bowiem w Szanghaju, lecz w Pekinie i Kin Fo postanowił, że wypadałoby powiadomić ją nie tylko o swym powrocie do Szanghaju, ale i o bliskim wyjeździe do stolicy Niebiańskiego Cesarstwa. Gdyby nawet okazał pragnienie, lekką niecierpliwość ujrzenia jej, nie byłoby to niestosowne. Z całą pewnością miał dla niej prawdziwe uczucie! Wang wystarczająco mu to wykazał według najściślejszych zasad logiki -i ten nowy element, wprowadzony do jego egzystencji, będzie może mógł wzbogacić ją o jakąś nowość... to znaczy szczęście... które... którego... któremu...

Kin Fo marzył już z zamkniętymi oczami i byłby zasnął słodko, kiedy naraz poczuł jakby łaskotanie w prawą rękę.

Instynktownie jego palce chwyciły i zacisnęły się na jakimś walcowatym przedmiocie, lekko sękatym, dosyć grubym, który na pewno był im dobrze znany.

Kin Fo nie mógł się mylić: to trzcima wślizgnęła się do jego prawej dłoni, a równocześnie rozległy się tonem pełnym rezygnacji wypowiedziane słowa:

- Kiedy pan sam zechce!

Kin Fo wstał i naturalnym ruchem uniósł karzącą trzcinę.

Sun stał przed nim zgięty, w postawie wyczekującej, nadstawiając plecy. Oparty jedną ręką o rozesłany na podłodze dywan, w drugiej trzymał list.

- A, jesteś wreszcie! - rzekł Kin Fo.

- Ajja! — odpowiedział Sun. — Oczekiwałem mojego pana dopiero o trzeciej straży! Kiedy pan zechce!

Kin Fo rzucił trzcinę. Sun, żółty od urodzenia, potrafił jednak zblednąć!

- Jeżeli nadstawiasz grzbietu bez żadnego wyjaśnienia - rzekł pan -widocznie zasłużyłeś na coś więcej! Co się stało?

- Ten list...

- Mów, do licha! - krzyknął Kin Fo, chwytając list, który mu podawał Sun.

- Byłem tak nierozgarnięty, że zapomniałem go oddać przed wyjazdem do Kantonu!

- Tydzień opóźnienia, łajdaku!

- Źle zrobiłem, panie mój!

- Chodź tu!

- Jestem jak biedny krab bez nóg i nie umiem chodzić... Ajja!

Był to krzyk rozpaczy! Kin Fo chwycił Suna za warkocz i jednym ruchem dobrze naostrzonych nożyczek odciął kawałek.

Widocznie nogi odrosły nieszczęsnemu krabowi momentalnie, gdyż umknął szybko, nie zapomniawszy jednak podnieść z dywanu części swego cennego dodatku. Z pięćdziesięciu siedmiu centymetrów warkocz Suna zmiejszył się do pięćdziesięciu czterech.

Kin Fo, odzyskawszy natychmiast swój olimpijski spokój, rzucił się z powrotem na otomanę i jak człowiek, któremu się nie spieszy, jął przypatrywać się listowi przybyłemu przed tygodniem. Rozgniewało go niedbalstwo Suna, a nie opóźnienie. Dlaczego jakikolwiek list miałby go interesować? Byłby mile widziany, gdyby wywołał jego wzruszenia. Ale on i wzruszenie?!

Patrzył więc na list, lecz z roztargnieniem.

Koperta ze sztywnego płótna pokryta była po obu stronach różnymi znaczkami pocztowymi koloru wina i czekolady, a pod podobiznami mężczyzny figurowały na nich cyfry: dwa i sześć centów. Było to dowodem, że list pochodził ze Stanów Zjednoczonych.

- Tak - mruknął Kin Fo wzruszając ramionami. - List od mojego korespondenta z San Francisco.

I rzucił go na otomanę.

Bo rzeczywiście, o czym mógł mu donosić jego korespondent? Że obligacje, stanowiące prawie cały jego majątek, leżały spokojnie w kasach Centralnego Banku Kalifornijskiego, że akcje skoczyły o piętnaście lub dwadzieścia procent, że dywidendy są wyższe niż w roku ubiegłym i tak dalej. Tych kilka tysięcy dolarów mniej czy więcej nie stanowiło naprawdę powodu do wzruszeń.

Po kilku wszakże minutach Kin Fo wziął do ręki list i machinalnie rozdarł kopertę; nie czytając go, spojrział najpierw na podpis. - Tak, to list od mego korespondenta - stwierdził. -I mówi o interesach. Odłóżmy interesy do jutra.

I już po raz drugi Kin Fo miał odrzucić list, kiedy nagle wzrok jego padł na słowo kilkakrotnie podkreślone na drugiej stronie. Było to słowo "pasywa", na które korespondent z San Francisco pragnął zwrócić specjalną uwagę swego szanghajskiego klienta.

Kin Fo wrócił zatem do początku listu i przeczytał go od pierwszej do ostatniej linijki, nie bez uczucia pewnej niezwyklej u niego ciekawości. Na moment zmarszczył brwi, lecz po skończonej lekturze na jego wargach zarysował się pogardliwy uśmiech.

Wówczas Kin Fo wstał, przeszedł się po pokoju i na moment zbliżył się do trąbki akustycznej, która łączyła go bezpośrednio z Wangiem. Już ją podniósł do ust i miał nacisnąć guzik dzwonka, lecz rozmyślił się, odłożył kauczukowy wąż i wrócił na otomanę.

- Phi! - prychnął.

Cały Kin Fo był w tym jednym słowie.

- A ona? - szepnął. - Przecież ta sprawa bardziej dotyczy jej niż mnie!

Podszedł więc do stoliczka z laki, na którym stała podłużna, wykwintnie rzeźbiona szkatułka. Ale

nim ją otworzył, zatrzymał się.

- Co mi też ona mówi w swym ostatnim liście?

I zamiast zdjąć pokrywkę ze szkatułki, nacisnął umieszczoną na jej bocznej ścianie sprężynę.

Natychmiast dał się słyszeć słodki głosik.

"Mój starszy braciszku! Czyż przestałam już być dla ciebie kwiatem śliwy mej o pierwszym księżycu, kwiatem moreli o drugim, kwiatem brzoskwini o trzecim księżycu? Moje drogie serce, złotem inkrustowane, przesyłam tysiąc tysięcy pozdrowień."

Był to głos młodej kobiety, której czułe słowa przekazywał fonograf.

- Biedna młodsza siostrzyczka! - szepnął Kin Fo.

Po czym, otworzywszy szkatułkę, wyjął z niej papier poznaczony rowkami, który przed chwilą przekazywał wszystkie modulacje dalekiego głosu, i na jego miejsce włożył czystą kartkę.

Fonograf był wówczas do tego stopnia udoskonalony, że wystarczyło głośno mówić, by wprawić w ruch membranę i aby wałek, poruszając się ruchem obrotowym, rejestrował dyktowane słowa.

Kin Fo mówił prawie minutę. Po jego głosie, zawsze spokojnym, nie można było poznać, pod jakim wrażeniem - radości czy smutku - formułuje swe myśli.

Trzy czy cztery zdania, nie więcej, to było wszystko, co powiedział Kin Fo. Po czym zatrzymał fonograf, wyjął z niego papier, na którym igła uruchomiona przez membranę nakreśliła ukośne linie odpowiadające wypowiedzianym słowom, a włożywszy papier do koperty, zalepił ją i napisał - z prawej do lewej - taki oto adres:

"Pani Liu ulica Czakua Pekin"

Dzwonkiem elektrycznym wezwał służącego zajmującego się korespondencją. Kazano mu natychmiast odnieść list na pocztę.

W godzinę później Kin Fo spał spokojnie, objąwszy ramionami czu fuzen - rodzaj poduszki z plecionego bambusa, która utrzymuje w łóżku umiarkowaną temperaturę, tak cenną w gorącym klimacie.

# ROZDZIAŁ 5

## W KTÓRYM LIU OTRZYMUJE LIST, JAKIEGO WOLAŁABY NIE OTRZYMAĆ

- Nie ma jeszcze listu dla mnie?
- Nie, nie ma, proszę pani!
- O, jakże ten czas się dłuży, stara matko!

W ten sposób, po raz chyba dziesiąty tego dnia, zapytywała urocza Liu w buduarze swego domu przy ulicy Czakua w Pekinie. „Stara matka” -taką nazwę zwyczaj chiński nadawał służącym w czcigodnym wieku -była to mrukliwa i nieprzyjemna panna Nan.

Liu w osiemnastym roku życia zaślubiła uczonego pierwszego stopnia, który współpracował przy redakcji słynnej „Sy ku cüan szu”. Mędrzec ten był dwa razy starszy od niej i zmarł po trzech latach niedobranego związku.

Młoda wdowa została zatem sama na świecie nie mając jeszcze dwudziestu jeden lat. Kin Fo ujrzał ją w tym okresie podczas swej podróży do Pekinu. Wang ją znał i zwrócił uwagę swego obojętnego ucznia na tę czarującą osobę. Kin Fo bez oporu zgodził się na pomysł zmiany swych warunków życiowych przez małżeństwo z ładną wdową. Liu nie pozostała nieczuła na otrzymaną propozycję. I oto małżeństwo, ku wielkiemu zadowoleniu filozofa, miało dojść do skutku, gdy tylko Kin Fo, dokonawszy w Szanghaju potrzebnych formalności, przyjedzie z powrotem do Pekinu.

W Niebiańskim Cesarstwie rzadko się zdarza, aby wdowy wychodziły powtórnie za męża - nie dlatego, aby tego nie pragnęły tak samo jak Europejki, lecz ze względu na to, iż mało jest mężczyzn dzielających to pragnienie. Kin Fo stanowił odstępstwo od tej zasady, bo wiadomo, jakim był oryginałem. To prawda, że powtórnie zaślubiona, Liu nie miałyby prawa przejść pod pajlou - pamiątkowymi łukami, jakie cesarz każe niekiedy wznosić dla uczczenia kobiet znanych z wierności zmarłym małżonkom, jak na przykład wdowa Sung, która nie chciała wcale opuścić grobu męża, jak wdowa Kung Cjang, która kazała sobie uciąć ramię, jak wdowa Jen Ciang, która zeszpeciła się na znak wdowiego bólu. Lecz Liu uważała, że można zrobić lepszy użytek ze swych dwudziestu lat. Miała podjąć na nowo życie pełne oddania, bo taka jest rola kobiety w rodzinie chińskiej - nie mówić o tym, co się dzieje poza domem, stosować się do przepisów ksiąg mówiących o cnotach domowych i uczących obowiązków małżeńskich, słowem-odzyskać godność, jaką cieszy się małżonka, która w wyższych sferach nie jest wcale niewolnicą, jak zwykle się sądzić. Toteż inteligentna i wykształcona Liu, rozumiejąc, jaką rolę ma odegrać w życiu bogatego, znudzonego mężczyzny i pragnąc dowieść mu, że szczęście istnieje na ziemi, z rezygnacją gotowała się wyjść naprzeciw swemu nowemu przeznaczeniu.

Umierając, mędrzec pozostawił żonę w warunkach przeciętnej zamożności. Dom na ulicy Czakua był zatem skromny. Nieznośna Nan uosabiała całą służbę, Liu jednak przyzwyczaiła się już do jej pożałowania godnych manier, nie wyróżniających ją specjalnie spośród innych przedstawicielek służby w Państwie Kwitnącym.

Młoda kobieta najlepiej się czuła w swym buduarze. Jego umeblowanie byłoby nader skromne, gdyby nie bogate prezenty napływające od dwóch miesięcy z Szanghaju. Kilka obrazów wisiało na ścianach, między innymi arcydzieło starego mistrza Huang Cüana, które zwróciłoby uwagę znawców na tle bardzo chińskich akwareli z zielonymi końmi, liliowymi psami i niebieskimi drzewami - nowoczesnych płodów rodzimych artystów. Jak wielkie motyle o rozpostartych skrzydłach leżały na stole z laki wachlarze pochodzące ze słynnej szkoły w Szantou. Z porcelanowego żyrandola

zwieszały się wytworne festony sztucznych kwiatów - tak nadzwyczajnie wyrabianych za pomocą kleju z Formozy - rywalizując z białymi lotosami, żółtymi chryzantemami i czerwonymi liliami japońskimi, wypełniającymi donice z delikatnie rzeźbionego drewna. Bambusowe zasłony na oknach wpuszczały łagodne światło i przesiewały, rozdzielając jakby, promienie słoneczne. Wspaniały ekran z wielkich piór jastrzębia, których artystyczny układ cętek wyobrażał ogromną peonię - symbol piękności w Państwie Kwitnącym, dwie klatki w kształcie pagód, a w nich, jak w kalejdoskopie, najbarwniejsze ptaki indyjskie, kilka "harf eolskich" o płytkach wibrujących na wietrze, słowem - tysiąc przedmiotów związanych z nieobecny uzupełniało niezwykle wystrój tego buduaru.

- Nie ma jeszcze listu, Nan?

- Nie ma, nie ma jeszcze!

Uroczą była młoda Liu. Ładna nawet dla europejskich oczu, biała, a nie żółta, łagodne oczy miała lekko tylko uniesione ku skroniom, czarne włosy przybrane kwiatami brzoskwini przypiętymi szpilkami z zielonego nefrytu, drobne i białe ząbki, brwi leciutko zaznaczone chińskim tuszem. Ani nie kładła na twarz pasty z bielidła i miodu, jak to robią wszystkie pięknie Niebiańskiego Cesarstwa, ani kółka z karminu na dolną wargę, ani nie kreśliła poziomej kreski między oczami, ani nie używała żadnych szminek, na które dwór cesarski wydaje rocznie dziesięć milionów sapeków. Młoda wdowa nie potrzebowała tych sztucznych dodatków. Rzadko wychodziła z domu, mogła więc wzgardzić maską, jakiej każda kobieta chińska używa poza domem.

Toaleta Liu odznaczała się prostotą i elegancją. Długa suknia o czterech rozcięciach, obrzeżona szeroką haftowaną lamówką, pod tą suknią spódnica, kamizelka przybrana haftem ze złotych nici, spodnie przytrzymane w pasie i związane u dołu, na skarpetkach z nankinu pantofelki zdobne perłami: wszystko to czyniło z młodej wdowy istotę uroczą, zwłaszcza gdy dodamy, że ręce miała delikatne i zachowała paznokcie długie i różowe w małych srebrnych futeralikach, wspaniale cyzelowanych.

A jej stopy? Otóż nóżki miała małe - nie na skutek barbarzyńskiego zwyczaju deformacji, który na szczęście już zanika, lecz dlatego, że takimi obdarzyła ją natura. Moda ta trwa już od siedmiuset lat, prawdopodobnie dzięki jakiejś okaleczonej księżniczce. Normalnie operuje się cztery palce w zgięciach, wsuwając je pod stopę, lecz nie uszkadzając pięty, przez co noga tworzy rodzaj stożkowatego kopytka, utrudnia zupełnie ruchy, czyni podatnym na anemię, a owa praktyka nie ma nawet na swe usprawiedliwienie, jak w to dawniej wierzone, zazdrości męża. Toteż od czasu podboju tatarskiego operacja coraz bardziej wychodzi z mody. Dzisiaj najwyżej trzy Chinki na dziesięć, poddane we wczesnym dzieciństwie temu bolesnemu zabiegowi, zachowały zdeformowane stopy.

- To niemożliwe, aby dziś nie nadszedł list - rzekła znowu Liu. - Popatrz jeszcze, stara matko.

- Patrzyłam, patrzyłam już tyle razy! - odpowiedziała bardzo niegrzecznie panna Nan i gderając wyszła z pokoju.

Liu, aby rozerwać trochę myśli, wzięła się do pracy. Zresztą ta praca też była myślą o Kin Fo, gdyż haftowała dla niego płócienne pantofle, co w gospodarstwach chińskich jest czynnością prawie wyłącznie należącą do kobiety bez względu na klasę, do jakiej należy. Ale wkrótce robótka wypadła jej z rąk. Wstała, wzięła z bombonierki kilka cukierków i chrupiąc je, otworzyła książkę "Nuxun" - zbiór instrukcji, który winien być codzienną lekturą każdej uczciwej małżonki.

. "Jak wiosna jest najodpowiedniejszą porą do pracy, tak samo świt jest najpomyślniejszą chwilą dnia."

"Wstawaj wcześniej, nie poddawaj się słodyczom długiego snu."

"Uprawiaj morwę i konopie."

"Przędź ochotnie jedwab i bawełnę."

"Cnotą kobiety jest pracowitość i oszczędność."

"Sąsiedzi będą cię chwalili..."

Niebawem książka się zamknęła. Słodka Liu nie myślała o tym, co czytała.

- Gdzie on jest? - zadała sobie pytanie. - Miał jechać do Kantonu. Czy wrócił już do Szanghaju?

Kiedy przyjedzie do Pekinu? Czy morze było spokojne? Oby wspomogła go bogini Kuanjin!

Młoda kobieta była niespokojna. Potem spojrzała mimochodem na narzutę na stole, artystycznie wykonaną z tysiąca małych kawałków, rodzaj mozaiki na modłę portugalską, gdzie widniała para dzikich kaczek - symbol małżeńskiej wierności. Wreszcie podeszła do donicy i zerwała jakiś kwiat.

- Ach! - westchnęła. - To nie jest kwiat zielonej wierzby, symbol wiosny, młodości i radości! To żółta chryzantema, symbol jesieni i smutku!

Chciała pokonać niepokój, który ogarniał ją coraz bardziej. Obok leżała lutnia: palce jej przebiegły po strunach, a usta wyszeptały pierwsze słowa pieśni "Złączone ręce", ale nie mogła jej wyśpiewać.

"Dawniej - pomyślała-jego listy się nie opóźniały. Z jakim wzruszeniem je czytałam! Albo zamiast tych linijek, które mówiły tylko do mych oczu, mogłam słyszeć jego głos. Ten aparat mówił do mnie, jakby to on sam był obok!"

I Liu spojrzała na fonograf stojący na stoliczku z laki, taki sam jak ten, którym Kin Fo posługiwał się w Szanghaju. Obydwoje mogli w ten sposób słyszeć swe głosy pomimo dzielącej ich odległości... Ale dzisiaj znowu, jak już od kilku dni, aparat stał niemy i nie przekazywał wcale myśli nieobecnego.

W tej chwili weszła stara matka.

- Ma pani ten swój list! - rzekła.

Nan wyszła, oddawszy swej pani kopertę ostemplowaną w Szanghaju. Uśmiech wypłynął na usta kobiety. Oczy błysnęły żywiej. Jak zwykle, szybko otworzyła przesyłkę nie oglądając koperty. Nie znalazła listu, lecz pokreślony ukośnie arkusik papieru, który włożony do aparatu, przekazywał wszystkie odcienie głosu ludzkiego.

- Ach! Wolę tak! - zawołała radośnie Liu. - Przynajmniej go usłyszę.

Włożyła papier do wałka fonografu, który zaczął się natychmiast obracać, a zbliżywszy ucho do otworu tubki, usłyszała dobrze znany głos, mówiący te słowa:

"Młodsza siostrzyczko, majątek mój uleciał, jak ze wschodnim wiatrem ulatują pożółkłe liście jesienne. Nie chcę robić z ciebie n>- Mdzarki, wiążąc cię z moją nędzą. Zapomnij o tym, którego ugodziło dziesięć tysięcy nieszczęść.

Twój zrotpaczony Kin Fo"

Cóż za cios dla młodej kobiety! Czekają ją teraz życie bardziej gorzkie niż gorzka gencjana. Złoty wiatr unosił ostatnie jej nadzieje razem z fortuną kochanego człowieka. A więc miłość, jaką Kin Fo żywił do niej, uleciała na zawsze! Jej przyjaciel wierzył tylko w szczęście, jakie daje bogactwo! Ach, biedna Liu! Podobna była teraz do *latawca*, którego nic pękła, a on złamany pada na ziemię.

Zawołała Nan; ta weszła do pokoju, wzruszyła ramionami i zaniósła swą panią na jej kang. Ale mimo że było to jedno z tych łóżek-piecyków, sztucznie nagrzewanych, jakże jego pościel wydała się zimna nieszczęsnej Liu! Jakże te pięć straży bezsennej nocy było okrutnie długie!

# ROZDZIAŁ 6

## W KTÓRYM CZYTELNIK ZECHCE MOŻE PRZEJŚĆ SIĘ PO BIURACH " STULECIA "

Nazajutrz Kin Fo, którego pogarda dla spraw tego świata nie opuściła ani na chwilę, wyszedł samotnie z mieszkania. Swym jak zawsze równym krokiem szedł prawym brzegiem rzeczki Suczou. Znalazłszy się przy drewnianym moście łączącym koncesję angielską z amerykańską, przebył rzekę i udał się w kierunku dosyć okazałego gmachu, wzniesionego między kościołem misyjnym a konsulem Stanów Zjednoczonych.

Na frontonie tego domu widniała szeroka miedziana tablica, a na niej ogromnymi literami taki oto napis:

### STULECIE

Towarzystwo ubezpieczeniowe

Kapitał gwarancyjny: 20 milionów dolarów

Pełnomocnik: William J. Bidulph

Kin Fo pchnął drzwi i kryjące się za nimi drugie, miękko obite, i znalazł się w biurze podzielonym na dwie części za pomocą zwykłej balustrady sięgającej mu pasa. Kilka kartotek, książki z niklowymi klamrami, amerykański sejf z sekretnym zamkiem i zabezpieczeniem, dwa czy trzy stoły, gdzie pracowali urzędnicy agencji, skomplikowany sekretarzyk do wyłącznego użytku czcigodnego Williama J. Bidulpha - takie było umeblowanie tego pokoju, a zdawał się on należeć raczej do kamienicy na Broadwayu niż do budynku w okolicy Wusungu.

William J. Bidulph był w Chinach pełnomocnikiem towarzystwa ubezpieczeniowego - od pożarów i na życie - z główną siedzibą w Chicago. „Stulecie” - dobra nazwa i powinna przyciągać klientów - bardzo znane w Stanach Zjednoczonych, posiadało ekspozytury i przedstawicieli we wszystkich pięciu częściach świata. Robiło olbrzymie i doskonałe interesy dzięki swym statutom, bardzo śmiało i bardzo liberalnie ustanowionym, dającym mu prawo ubezpieczenia od wszystkich wypadków życiowych.

Toteż Niebiańczycy zaczęli iść z nowoczesnym prądem napelniającym kasy instytucji tego typu. Wiele domów w Państwie Środka ubezpieczone było od pożaru, a pod umowami asekuracyjnymi na wypadek śmierci, wraz z zawartymi w nich rozlicznymi kombinacjami, figurowały chińskie podpisy. Plakietki "Stulecia" widniały na frontonach kamienic szanghajskich, a także na fasadzie bogatego jamenu Kin Fo. Zatem nie w celu ubezpieczenia się od pożaru uczeń Wanga składał wizytę czcigodnemu Williamowi J. Bidulphowi.

- Pan Bidulph? - spytał wchodząc.

William J. Bidulph był "we własnej osobie", jak fotograf działający osobiście, zawsze do dyspozycji klienteli - człowiek lat pięćdziesięciu, w nieskazitelnym czarnym garniturze i białym krawacie, z brodą, bez wąsów, o wyglądzie bardzo amerykańskim.

- Z kim mam zaszczyt? - spytał William J. Bidulph.

- Jestem Kin Fo z Szanghaju.

- Pan Kin Fo!... Jeden z klientów "Stulecia"... Polisa numer dwadzieścia siedem tysięcy dwieście...

- Zgadza się.

- Czym mam szczęście panu służyć?

- Chciałbym porozmawiać z panem na osobności.



Rozmowa między tymi dwiema osobami była o tyle łatwa, że William J. Bidulph mówił równie dobrze po chińsku, jak Kin Fo po angielsku.

Bogaty klient został z należnymi mu względami wprowadzony do gabinetu obitego tłumiącymi odgłosy tapetami, zamkniętego podwójnymi drzwiami, gdzie można było spiskować przeciw dynastii Cing bez obawy podsłuchania przez najinteligentniejszych szpicli Niebiańskiego Cesarstwa.

- Proszę pana - zagaił Kin Fo, gdy tylko usiadł na bujaku przed gazowym kominkiem - chciałbym zawrzeć porozumienie z pańskim towarzystwem i zabezpieczyć z chwilą mej śmierci wypłatę kapitału, którego wysokość zaraz panu podam.

- Nic prostszego, szanowny panie - odpowiedział William J. Bidulph. - Dwa podpisy na polisie, pański i mój, i ubezpieczenie, po kilku wstępnych formalnościach, będzie załatwione. Tylko... pan pozwoli, jedno pytanie... Pragnie pan na pewno umrzeć w podeszłym wieku, co jest zresztą całkiem naturalne?

- Dlaczego? - spytał Kin Fo. - Zazwyczaj ubezpieczenie na życie jest dowodem, że ubezpieczony lęka się, aby bliska śmierć...

- Och, proszę pana! - odparł z całą powagą William J. Bidulph. - Klienci "Stulecia" nigdy się tego nie lękają! Czyż nie mówi tego sama jego nazwa? Ubezpieczyć się u nas, to zapewnić sobie długowieczność! Przepraszam pana, ale nasi klienci bardzo rzadko nie przekraczają stu lat... Bardzo rzadko... Ogromnie rzadko!... W ich własnym interesie powinniśmy skracać im życie! Toteż robimy wspaniałe interesy! Uprzedzam więc pana, że ubezpieczyć się w "Stuleciu" znaczy tyle, co zdobyć prawie absolutną pewność dożycia tego wieku!

- Aha — rzekł spokojnie Kin Fo, patrząc chłodno na Williama J. Bidulpha.

Pełnomocnik, poważny jak minister, nie zdradzał wcale ochoty do żartów.

- Tak czy owak - podjął Kin Fo - pragnę ubezpieczyć się na dwieście tysięcy dolarów.

- Ściśle mówiąc, na kapitał wynoszący dwieście tysięcy dolarów - odpowiedział fachowo William J. Bidulph.

I bez mrugnięcia wpisał do notesu tę wysoką cyfrę.

- Wiadomo panu - dorzucił - że ubezpieczenie jest nieważne, a wszystkie wpłacone składki, jakakolwiek byłaby ich wysokość, przepadają na korzyść towarzystwa, jeżeli osoba ubezpieczona straci życie z winy zyskującego na umowie?

- Wiem o tym.

- A od jakich wypadków pragnie się pan ubezpieczyć, drogi panie?

- Od wszystkich.

- Niebezpieczeństwa podróży lądowej lub morskiej i niebezpieczeństwa pobytu poza granicami Niebiańskiego Cesarstwa?

- Tak.

- Niebezpieczeństwa wyroku sądowego? - Tak.

- Niebezpieczeństwa pojedynku?

- Tak.

- Niebezpieczeństwo służby wojskowej?

- Tak.

- W takim razie opłaty będą bardzo wysokie.

- Zapłacę, ile będzie trzeba.

- W porządku.

- Ale — dodał Kin Fo — jest jeszcze inne, bardzo ważne niebezpieczeństwo, o którym pan nie wspomniał.

- Jakie?

- Samobójstwo. Sądziłem, że statuty "Stulecia" upoważniają towarzystwo do ubezpieczenia od samobójstwa również.

- Oczywiście, proszę pana, oczywiście - odpowiedział William J. Bidulph, zacierając ręce. - Jest ono nawet źródłem wspaniałych zysków! Widzi pan, nasi klienci to na ogół ludzie przywiązani do życia, a ci, którzy przez zbytek ostrożności ubezpieczają się od samobójstwa, nigdy go nie popełniają.

- Wszystko jedno - odparł Kin Fo. - Z osobistych powodów pragnę się ubezpieczyć i od tego ryzyka.

- Jak pan sobie życzy, ale opłata będzie znaczna!

- Powtarzam panu, że zapłacę, ile będzie trzeba.

- Rozumiem. A więc - rzekł pełnomocnik, pisząc ciągle w notesie - ryzyko morza, podróży, samobójstwa...

- Jaka będzie w tym wypadku wysokość opłat? - spytał Kin Fo.

- Drogi panie - odrzekł Bidulph - stawki są obliczone z matematyczną dokładnością, co dostatecznie świadczy o solidności towarzystwa. Nie bazują one już, jak dawniej, na tablicach Duvillarsa... Zna pan Duvillarsa?

- Nie, nie znam Duvillarsa.

- To wybitny statystyk, ale już stary... Tak stary, że nie żyje. W epoce, gdy ułożył owe słynne tablice, jeszcze dzisiaj służące do obliczania opłat

w większości bardzo zacofanych towarzystw europejskich, średnia życia była niższa od obecnej, którą zawdzięczamy postępowi. My więc bazujemy na wyższej średniej, siłą faktu korzystniejszej dla ubezpieczonego - płaci on mniej, a żyje dłużej...

- Jaka będzie wysokość mojej opłaty? - spytał znów Kin Fo, chcąc zatrzymać potok wymowy pełnomocnika, który nie pomijał żadnej okazji do przemycenia komplementu pod adresem "Stulecia".

- Pozwoli pan - odpowiedział William J. Bidulph - na niedyskretne pytanie: ile pan ma lat?

- Trzydzieści jeden.

- Otóż, w wieku trzydziestu jeden lat, gdyby chodziło o normalne ubezpieczenie, zapłaciłby pan w każdym towarzystwie dwa i osiemdziesiąt trzy setne procenta. W "Stuleciu" jednak będzie to tylko dwa i siedem dziesiątych procenta, co od kapitału dwustu tysięcy dolarów wyniesie rocznie pięć tysięcy czterysta dolarów.

- A na warunkach, jakich sobie życzę? - spytał Kin Fo.

- Przy wszystkich możliwych ryzykach, łącznie z samobójstwem?...

- Przede wszystkim z samobójstwem.

- Proszę pana - odpowiedział uprzejmie William J. Bidulph spojrzawszy na tablicę wydrukowaną na ostatniej stronie jego notesu - nie możemy policzyć panu mniej niż dwadzieścia pięć procent.

- Co wyniesie?...

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- W jaki sposób ma być wniesiona opłata?

- W całości lub w miesięcznych ratach, jak sobie ubezpieczony życzy.

- Ile to wyniesie za pierwsze dwa miesiące?

- Osiem tysięcy trzysta trzydzieści dwa dolary; gdyby pan je wpłacił dzisiaj, 30 kwietnia, polisa ważna byłaby do 30 czerwca bieżącego roku, drogi panie.

- Warunki pańskie - oznajmił Kin Fo - odpowiadają mi. Oto opłata za dwa pierwsze miesiące.

I położył na stole wyjęty z kieszeni gruby plik banknotów dolarowych.

- Tak... Proszę pana... Bardzo dobrze! - odpowiedział William J. Bidulph. - Ale przed podpisaniem polisy należy dopełnić pewnej formalności.

- Jakiej?

- Musi pan przyjąć wizytę lekarza towarzystwa.

- W jakim celu?

- Aby stwierdził, że jest pan w dobrej formie, że nie posiada pan żadnej choroby organicznej, która mogłaby skrócić pańskie życie, że daje nam pan gwarancję długowieczności.

- Po co to wszystko, skoro ubezpieczam się nawet od pojedynku i samobójstwa? - zauważył Kin Fo.

- Ach, drogi panie - odparł ciągle uśmiechnięty czcigodny William J. Bidulph - choroba, której zarodek nosiłby pan w sobie i która uśmierciłaby pana w ciągu kilku miesięcy, kosztowałyby nas, ni mniej, ni więcej, dwieście tysięcy dolarów!

- A moje samobójstwo kosztowałyby was, przypuszczam, tyleż samo!

- Drogi panie - rzekł pełnomocnik, biorąc dłoń Kin Fo i poklepując ją lekko - miałem już przyjemność powiedzieć panu, że nasi klienci często ubezpieczają się od samobójstwa, lecz nigdy go nie popełniają. Zresztą nikt nam nie zabrania czuwać nad nimi... Och, z największą dyskrecją!

- Ach, tak!

- Dodam poza tym moje osobiste spostrzeżenie, że ze wszystkich klientów "Stulecia" właśnie ci wnoszą najdłużej opłaty. Zresztą, między nami mówiąc, dlaczego bogaty pan Kin Fo miałby popełnić samobójstwo?

- A dlaczego bogaty pan Kin Fo miałby się ubezpieczać?

- Och - odpowiedział William J. Bidulph - aby mieć pewność dożycia późnej starości jako klient "Stulecia"!

Nie miało sensu dyskutować dłużej z pełnomocnikiem słynnego towarzystwa. Był tak pewny tego, co mówił!

- A teraz - podjął - na czyją korzyść ma być dokonane to ubezpieczenie na dwieście tysięcy dolarów? Kto będzie spadkobiercą?

- Spadkobierców będzie dwóch - odrzekł Kin Fo.

- W równych częściach?

- Nie, w nierównych. Jeden na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, drugi na "Sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Więc na pięćdziesiąt tysięcy, pan...

- Wang.

- Filozof Wang?

- Tak jest.

- A na sto pięćdziesiąt tysięcy?

- Pani Liu z Pekinu.

- Z Pekinu - powtórzył William J. Bidulph, wpisując nazwiska uprawnionych. Po czym spytał: - W jakim wieku jest pani Liu?

- Dwadzieścia jeden lat.

- O! - rzekł agent. - Ta młoda dama mocno posunie się w latach, zanim dostanie do rąk przypadającą jej część!

- Dlaczego, jeśli można spytać?

- Gdyż pan będzie żył ponad sto lat, drogi panie. A filozof Wang?

- Pięćdziesiąt pięć lat.

- W takim razie ten sympatyczny człowiek może być pewny, że niczego nie dostanie!

- To jeszcze zobaczymy!

- Drogi panie - oświadczył William J. Bidulph - gdybym w pięćdziesiątym piątym roku życia został spadkobiercą człowieka trzydziestoletniego mającego dożyć stu lat, nie byłbym na tyle naiwny, aby liczyć na spadek po nim.

- Sługa pański! - rzekł Kin Fo, kierując się ku drzwiom gabinetu.

- Wzajemnie, wzajemnie! - odpowiedział czcigodny William J. Bidulph, żegnając z ukłonem nowego klienta "Stulecia".

Nazajutrz lekarz towarzystwa złożył Kin Fo przepisową wizytę. "Ciało z żelaza, mięśnie ze stali, płuca jak miechy kowalskie" - brzmiał raport. . Nic nie stało na przeszkodzie, aby towarzystwo zawarło umowę z tak pozytywnie ocenionym kontrahentem. Polisa została więc podpisana z jednej strony przez Kin Fo na korzyść młodej wdowy i filozofa Wanga, z drugiej przez Williama J. Bidulpha, przedstawiciela towarzystwa.

Ani Liu, ani Wang, wykluczwszy jakąś mało prawdopodobną okoliczność, nie powinni byli nigdy dowiedzieć się, co Kin Fo zrobił dla nich -aż do dnia, w którym "Stulecie" wypłaci im ten kapitał, ostatni wspaniałomyślny gest byłego milionera.

# ROZDZIAŁ 7

## KTÓRY BYŁBY BARDZO SMUTNY, GDYBY NI CHODZIŁO O ZWYCZAJE NIEBIAŃSKIEGO CESARSTWA

Cokolwiek mógł mówić lub myśleć czcigodny William J. Bidulph, kasa „Stulecia” była poważnie zagrożona. Istotnie, plan Kin Fo nie należał do takich, które by można po namyśle odsuwać w nieskończoność. Kompletnie zrujnowany, uczeń Wanga postanowił całkiem formalnie skończyć ze swą egzystencją, która nawet w czasach dobrobytu darzyła go jedynie smutkiem i nudą.

List, oddany mu przez Suna z tygodniowym opóźnieniem, przyszedł z San Francisco. Zawiadamiał o zawieszeniu wypłat Centralnego Banku Kalifornijskiego. Otóż prawie cały majątek Kin Fo stanowiły akcje tego słynnego banku, tak dotychczas solidnego. Nie było jednak wątpliwości. Ta nowina, jakkolwiek mogła się wydawać nieprawdopodobna, była, niestety, aż nadto prawdziwa. Dzienniki przychodzące do Szanghaju potwierdziły zawieszenie wypłat przez Centralny Bank Kalifornijski. Upadłość została ogłoszona i całkowicie rujnowała Kin Fo.

Bo cóż mu pozostawało poza akcjami tego banku? Nic lub prawie nic. Mieszkanie w Szanghaju, którego sprzedaż, raczej nierealna, nie przyniosłaby mu wystarczających środków. Osiem tysięcy dolarów wpłacone do kasy „Stulecia”, nieco akcji towarzystwa żeglugowego w Tiencinie, te zaś, sprzedane jeszcze tego samego dnia, pozwoliły mu zaledwie na przyzwoite załatwienie spraw *in extremis* - to była obecnie cała jego fortuna.

Europejczyk, Francuz czy Anglik odniósłby się może bardziej filozoficznie do zmienionych warunków i usiłowałby odbudować swe życie pracą. Lecz Niebiańczyk uważał, że ma prawo myśleć i działać całkiem inaczej. Kin Fo, jako prawdziwy Chińczyk, bez wyrzutów sumienia zdecydował się na dobrowolną śmierć, by wybrnąć z sytuacji, i to z typową obojętnością, jaka charakteryzuje rasę żółtą.

Chińczyk posiada tylko odwagę bierną, ale za to bezprzykładną. Jego obojętność wobec śmierci jest naprawdę nadzwyczajna. Chory - patrzy na jej zbliżanie się bez drżenia. Skazany - nawet w rękach kata nie przejawia żadnego strachu. Tak częste egzekucje publiczne, widok straszliwych mąk dopuszczanych przez prawo karne Niebiańskiego Cesarstwa wcześniej oswoiły Chińczyków z myślą o porzuceniu bez żalu spraw tego świata.

Toteż nic dziwnego, że we wszystkich rodzinach myśl o śmierci jest na porządku dziennym i stanowi temat wielu rozmów. Tkwi ona w każdym najzwyczajniejszym działaniu życiowym. Kult przodków zachowuje się nawet u najbiedniejszych ludzi. Nie ma bogatego domostwa, gdzie nie utrzymywano by sanktuarium domowego, nie ma nędznej chałupy bez kącika z tabliczkami przodków, których święto czczone jest w drugim miesiącu księżycowym. Oto dlaczego w każdym sklepie z kołyskami dla noworodków i wyprawami ślubnymi znajduje się duży wybór trumien, stanowiących pospolity artykuł chińskiego handlu.

Nieustającą troską Niebiańczyków jest więc kupno trumny. Umeblowanie byłoby niekompletne, gdyby jej w domu rodzinnym brakowało. Syn uważa za swój obowiązek ofiarować ją ojcu jeszcze za jego życia. Uchodzi to za wzruszający dowód szacunku. Trumna umieszczona jest w specjalnym pokoju. Zdobi się ją, utrzymuje w porządku i najczęściej, kiedy już spoczęły w niej zwłoki, zachowuje się ją długie lata z pieczołowitą troskliwością. Słowem, kult zmarłych jest podstawą religii chińskiej i wzmacnia więzy rodzinne.

Kin Fo zatem, z racji swego usposobienia, musiał rozważyć z doskonalszym niż inni spokojem

myśl o położeniu kresu swoim dniom: Zabezpieczył los dwóm istotom, do których był przywiązany. Czegóż mógł teraz żałować? Niczego już. Samobójstwo nie budziło w nim nawet wyrzutów sumienia. To, co w cywilizowanych krajach Zachodu jest zbrodnią, można by, w tej dziwnej cywilizacji Azji Wschodniej, nazwać aktem prawnym.

Kin Fo podjął więc decyzję i nikt nie mógłby go już odwieść od wykonania tych planów - nawet filozof Wang.

Co więcej, filozof absolutnie był nieświadomy zamiarów swego ucznia. Sun również nic o tym nie wiedział, zauważył tylko jedną rzecz, a mianowicie to, że od swego powrotu Kin Fo okazuje większą tolerancję dla jego codziennego gapiostwa.

Tak, Sun zdecydowanie zmienił zdanie: nie mógłby znaleźć lepszego pana i teraz cenny warkocz skakał po jego grzbiecie z nie znaną mu dotychczas pewnością siebie.

Pewne chińskie powiedzonko mówi: "Aby być szczęśliwym na ziemi, trzeba żyć w Jangczou, a umrzeć w Liaoczou."

I rzeczywiście, właśnie w Jangczou można znaleźć wszystkie przyjemności życiowe, a w Liaoczou wyrabia się najlepsze trumny.

Kin Fo nie mógł zwlekać z zamówieniem ostatniego łoża, w dobrej firmie, aby było gotowe na czas. Być prawidłowo ułożonym do snu ostatecznego, to stała troska Niebiańczyka, który umie żyć.

Jednocześnie kazał kupić białego koguta; ma on, jak wiadomo, tę właściwość, że wcielają się w niego duchy krążące we Wszechświecie, chwytając w przelocie pięć elementów, z jakich składa się dusza chińska. Widać z tego, że o ile uczeń filozofa Wanga okazywał obojętność dla spraw życia, o tyle nie był nieczuły na szczegóły związane ze śmiercią.

Po tych przygotowaniach pozostało mu tylko ułożyć program swego pogrzebu. I tego samego dnia jeszcze na pięknym arkuszu papieru, zwanego papierem ryżowym - choć z jego wyrobem ryż nie ma absolutnie nic wspólnego - Kin Fo spisał swą ostatnią wolę.

Zapisawszy młodej wdowie dom w Szanghaju, a Wangowi portret władcy tajpingów, na który filozof spoglądał zawsze z przyjemnością -wszystko to bez uszczerbku dla kapitałów zabezpieczonych w "Stuleciu" -Kin Fo pewną ręką nakreślił porządek konduktu i marszrutę orszaku, jaki ma uczestniczyć w uroczystościach pogrzebowych.

Najpierw, w braku nieżyjących już rodziców, ci przyjaciele, jacy mu jeszcze pozostali, powinni iść na przedzie orszaku, wszyscy odziani na biało, bo taki jest kolor żałoby w Niebiańskim Cesarstwie. Wzdłuż ulic, aż do grobowca wzniesionego przed wielu laty na wsi pod Szanghajem, rozwinię się podwójny rząd służby pogrzebowej, niosącej różne symbole: niebieskie parasole, halabardy, jedwabne chorągwie, tablice z wypisanymi szczegółami ceremonii - wszyscy mają być ubrani w czarne tuniki z białym pasem i w czarne filcowe czapki z czerwonym pióropuszem. Za pierwszą grupą przyjaciół ma postępować przewodnik w szkarłatach od stóp do głów, bijąc w gong, i poprzedzać niosących portret zmarłego na czymś w rodzaju bogato zdobionego relikwiarza. Potem będzie szła druga grupa przyjaciół, którzy w regularnych odstępach mają mdleć, padając na przygotowane do tego celu poduszki. Wreszcie ostatnia grupa młodych ludzi, ukrytych pod błękitno-złotym baldachimem, będzie posypywała drogę skrawkami białego papieru, przedziurawionymi jak miedziaki, a to dla przekupienia złych duchów, gdyby takowe chciały przyłączyć się do konduktu.

W końcu ukaże się "katafalk" - olbrzymi palankin obity fioletowym jedwabiem i haftowany w złote smoki: ma on być niesiony na ramionach przez pięćdziesięciu służących pomiędzy podwójnymi szeregami bonzów. Mnisi w szarych, czerwonych i żółtych szatach będą głośno odmawiać ostatnie modlitwy, a w przerwach zabrzmie grzmot gongów i przenikliwa fanfara trąb długich na sześć stóp. Na samym końcu wozy żałobne okryte białym całunem zamykać będą fen zbytkowny kondukt, który

powinien pochłonać resztki majątku bogatego nieboszczyka.

W sumie program ten nie miał w sobie niczego nadzwyczajnego. Wiele pogrzebów tej klasy krąży po ulicach Kantonu, Szanghaju czy Pekinu, a Niebiańczycy widzą w nich tylko naturalny hołd oddany temu, kto przestał istnieć.

20 października skrzynia wysłana z Liaoczou przybyła na adres Kin Fo, do jego domu w Szanghaju. Zawierała ona zamówioną wcześniej, starannie opakowaną trumnę. Ani Wang, ani Sun, ani żaden ze służących jamenu nie miał prawa być zdziwiony. Jak już powiedzieliśmy, nie ma Chińczyka, który by nie postarał się o łożo, w jakim ułożą go na sen wieczny.

Trumna, arcydzieło mistrza z Liaoczou, została umieszczona w sali przodków. Tam, wyczyszczona, wyszczotkowana i wypolerowana, powinna długo *czekać*, nim skorzysta z niej uczeń filozofa Wanga... Miało się jednak stać inaczej. Dni Kin Fo były policzone i zbliżała się chwila wciągnięcia go w poczet przodków rodziny. Tego wieczoru bowiem Kin Fo definitywnie postanowił pożegnać się z życiem. W ciągu dnia przyszedł list od zrozpaczonej Liu. Młoda wdowa ofiarowywała do dyspozycji Kin Fo to, co posiadała. Dla niej majątek jest niczym! Może się bez niego obejść! Kocha Kin Fo! Czyż to jej nie wystarczy? Czyż w skromniejszych warunkach nie mogą być szczęśliwi?

List ten, pełen szczerego uczucia, nie zdołał zmienić postanowienia Kin Fo.

"Jedynie moja śmierć może uczynić ją zamożną!" - pomyślał.

Pozostawało zdecydować, gdzie i jak ma się dokonać ten ostateczny akt. Kin Fo odczuwał pewną przyjemność ustalając te szczegóły. Miał przecież nadzieję, że w ostatniej chwili jakieś wzruszenie, choćby najłżejsze, poruszy jego sercem.

W obrębie okalających jamen murów wznosiły się cztery ładne altany ozdobione z całą fantazją, jaka wyróżnia ornamencistów chińskich. Nosiły one znamienne nazwy: -Pawilon Szczęścia, gdzie Kin Fo nigdy nie wchodził; Pawilon Przeznaczenia, na który spoglądał z głęboką pogardą; Pawilon Przyjemności z bramą od dawna przed nim zamkniętą; Pawilon Długowieczności, który postanowił zburzyć.

I instynkt ten właśnie pawilon kazał mu wybrać. Zdecydował, że zamknie się w nim z zapadnięciem nocy. Tam go znajdą nazajutrz, ukojonego już i szczęśliwego.

Po ustaleniu tego jał rozważać, w. jaki sposób ma umrzeć. Rozpruć sobie brzuch, jak Japończyk? Udusić się jedwabnym sznurem, jak mandaryn? Czy w wonnej kąpieli otworzyć sobie żyły, jak epikurejczyk w starożytnym Rzymie? Nie. Wszystkie te sposoby miałyby w sobie coś brutalnego, przykrego dla jego przyjaciół i służby. Jedna czy dwie kulki opium zmieszane z łagodną trucizną powinny wystarczyć, by przeszedł na tamten świat nie zdając sobie nawet z tego sprawy pod wpływem marzeń, które przemieniają zwyczajny sen w wieczny.

Słońce zaczynało już obniżać się na horyzoncie. -Kin Fo miał przed sobą zaledwie kilka godzin życia. Pragnął pójść na ostatni spacer i spojrzeć na okolice Szanghaju i brzegi Huangpu, gdzie tak często zabijał nudę. Sam, przez cały dzień nie ujrawszy nawet Wanga, opuścił jamen, aby wrócić doń jeszcze raz i więcej z niego nie wyjść.

Niedbałym krokiem, którego nawet w tej ostatniej godzinie nie uważał za stosowne przyspieszyć, przeszedł przez terytorium angielskie, mały mostek na rzeczce Suczou i koncesję francuską. Idąc nabrzeżem miejscowego portu, okrążył mury Szanghaju aż do katedry rzymskokatolickiej, której kopuła góruje nad południowymi dzielnicami. Potem skręcił na prawo i wszedł spokojnie na drogę prowadzącą do pagody Lunghao.

Była to obszerna i płaska równina wznosząca się ku zacienionym wzgórzom zamykającym dolinę, rozległe niziny bagniste, zamienione na pola ryżowe. Tu i tam sieć kanałów zasilanych przypiływem,

parę nędznych wioszek z chatkami z trzciny pokrytymi żółtawym błotem, kilka zagonów zboża na wzniesieniu, by uchronić je przed zalaniem wodą. Na wąskich ścieżkach mnóstwo psów, białych kóz, kaczek i gęsi zrywało się i uciekało, gdy jakiś przechodzień przeszkodził im w zabawie.

Ta wspaniale uprawiana nizina wyglądem swym nie mogła zadziwić tubylca, lecz przyciągała uwagę, a może i wywoływała odrazę cudzoziemca. Wszędzie bowiem widoczne były setki trumien. Oprócz kopców zawierających zmarłych definitywnie pochowanych, dokoła widziało się tylko stosy podłużnych skrzyń, piramidy trumien, poukładanych jak belki na placu budowy. Równina chińska w sąsiedztwie miast jest jednym ogromnym cmentarzem. Zmarli tłoczą się tam razem z żywymi. Podobno nie wolno zakopywać tych trumien, dopóki ta sama dynastia zajmuje tron Syna Nieba, a dynastie trwają wieki! Czy zakaz ten odpowiada prawdzie, czy nie, faktem jest, iż zwłoki spoczywające w trumnach, to malowanych w żywych kolorach albo ciemnych i skromnych, to nowych i wytwornych albo rozsypujących się już w proch, czekają latami na pochowanie.

Kin Fo nie dziwił wcale ten stan rzeczy. Szedł zresztą jak człowiek, który na nic nie zwraca uwagi. Nawet dwaj cudzoziemcy ubrani po europejsku, którzy podążali za nim, odkąd wyszedł z jamenu, nie zwrócili jego uwagi. Nie widział ich, mimo że oni nie tracili go z oczu. Trzymali się w pewnej odległości, idąc za Kin Fo, gdy on szedł, zatrzymując się, gdy przystawał. Czasem wymieniali wymowne spojrzenia, kilka słów, i na pewno byli tam, by go śledzić. Średniego wzrostu, w wieku około trzydziestu lat, zwinni, dobrze zbudowani, można powiedzieć: dwa wyżły o bystrych oczach i szybkich nogach.

Przeszedłszy prawie milę, Kin Fo zawrócił i jał się zbliżać do brzegów Huangpu. Ogary natychmiast ruszyły za nim.

Wracając, Kin Fo spotkał paru bardzo nędznych żebraków i obdarzył ich jałmużną. Trochę dalej kilka chińskich chrześcijanek- przyuczonych do miłosierdzia przez francuskie szarytki - przecięło mu drogę. Każda miała na plecach worek, a w nim odnoszone do sierocińca małe opuszczone istotki. Toteż słusznie nazwano je "żebraczkami dzieci"! Bo czymże innym są te nieszczęśliwe maleństwa, jak nie wyżebranymi przez nie łachmanami?

Kin Fo wysypał zawartość swej sakiewki na dłonie miłosiernych sióstr. Dwaj nieznajomi wydawali się bardzo zdziwieni takim postępkem ze strony Niebiańczyka.

Nadszedł wieczór. Kin Fo, wracając w mury Szanghaju, ruszył nabrzeżem. Ludność mieszkająca na łodziach jeszcze nie spała. Ze wszystkich stron dolatywały krzyki i śpiewy. Kin Fo słuchał. Chciał wiedzieć, jak zabrzmiały ostatnie słowa, jakie mu będzie dane usłyszeć.

Młoda przewoźniczka, kierując swój sampan przez ciemne wody Huangpu, tak śpiewała:

Moja łódka przystrojona

W świeżych kwiatów istne krocie,

Moja dusza odurzona

O miłego śni powrocie.

On powinien jutro wrócić!

Racz mu, Boże, drogę skrócić,

I w powrocie go osłaniaj,

I w pomocy nie ustawaj!

"On jutro wróci! A ja? Gdzie ja będę jutro?" - pomyślał Kin Fo, potrząsając głową.

Przewoźniczka śpiewała dalej:

W myślach widzę go, samego,



W tej wędrówce pełnej trudów,  
Do Mandżurii idącego  
Czy do granic chińskich murów.  
Serce moje tak się trwoży,  
Gdy się straszna burza sroży,  
A on idzie, nie zważając,  
Nawałnicom urągając!

Kin Fo słuchał, ale tym razem nic nie powiedział. A dziewczyna tak zakończyła:

Czymże jest dla ciebie pieniądz?  
By śmierć znaleźć, spieszysz w drogę?  
Wróć! Już trzeci mija miesiąc.  
Bonza czeka nas za progiem,  
By połączyć, o, mój miły,  
Dwa feniksy w jednej chwili!  
Kocham cię i mocno wierzę,  
Że i ty mnie kochasz szczerze!

- Tak. Możliwe - szepnął Kin Fo - że bogactwo nie jest wszystkim na tym świecie.. Lecz życie nie jest warte, by tego próbować.

W pół godziny później Kin Fo wracał do swego mieszkania. Dwaj nieznajomi, którzy wciąż go śledzili, musieli się zatrzymać.

Kin Fo skierował się spokojnie do Pawilonu Długowieczności, otworzył drzwi, zamknął je i znalazł się sam w małym saloniku, łagodnie oświetlonym blaskiem latarni z matowego szkła.

Na stoliku z nefrytu stała szkatułka zawierająca kilka kulek opium zmieszanego ze śmiertelną trucizną, którą zblazowany bogacz na wszelki wypadek miał zawsze pod ręką.

Kin Fo wziął dwie kulki, włożył je do fajki z czerwonej glinki, jakiej zwykle używają palacze opium, po czym zamierzał ją zapalić.

- Co, do licha! - rzekł do siebie: - Żadnego wzruszenia, nawet w chwili, gdy mam zasnąć, by się więcej nie obudzić!

Przez moment zawahał się.

- Nie! - zawołał, rzucając fajkę o posadzkę. - Pragnę tego ostatniego wzruszenia, choćby miało nim być oczekiwanie!... Chcę je mieć! I będę je miał!

I Kin Fo wyszedł z pawilonu żywszym niż zazwyczaj krokiem, kierując się do pokoju Wanga.

# ROZDZIAŁ 8

## W KTÓRYM KIN FO CZYNI WANGOWI POWAŻNĄ PROPOZYCJĘ A WANG PRZYJMUJE JĄ NIE MNIEJ POWAŻNIE

Filozof jeszcze nie spał. Wyciągnięty na otomanie, czytał ostatni numer „Gazety Stołecznej”. Brwi miał zmarszczone, najwidoczniej dziennik wystosował jakiś komplement pod adresem panującej dynastii Cing.

Kin Fo pchnął drzwi, wszedł do pokoju, rzucił się na fotel i bez żadnych wstępów oświadczył:

- Wang, przychodzę prosić cię o przysługę.

- Dziesięć tysięcy przysług! - odpowiedział filozof, wypuszczając z ręki oficjalny dziennik. -

Mów, mów, synu, bez obawy, i jakakolwiek jest ta przysługa, oddam ci ją na pewno!

- Przysługę, której od ciebie oczekuję - zaczął Kin Fo - przyjaciel może oddać tylko raz. Po tej jedynej, Wangu, zwalniam cię z dziewięciu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu pozostałych i dodam, że nie powinieneś liczyć na moje podziękowanie.

- Najinteligentniejszy z odgadywaczy rzeczy niewytłumaczalnych nie zrozumiałby cię. O co chodzi?

- Jestem zrujnowany - wyznał Kin Fo.

- Ooo! - rzekł filozof tonem człowieka, któremu właśnie powiedziano dobrą, nowinę.

- List, jaki zastałem tu po naszym powrocie z Kantonu - podjął Kin Fo - powiadomił mnie, że Centralny Bank Kalifornijski zbankrutował. Poza tym jamenem i tysiącem dolarów, które wystarczą mi na miesiąc czy dwa życia, nie mam nic więcej.

- Czyli - odezwał się Wang, wpatrując się w swego ucznia - już nie z bogatym Kin Fo mam przyjemność mówić?

- Masz przyjemność mówić z ubogim Kin Fo, którego zresztą ubóstwo wcale nie przeraża.

- Dobrze powiedziane, mój synu - rzekł filozof wstając. - Nie na darmo więc poświęcałem mój czas i trud, gdy uczyłem cię mądrości! Dotychczas wegetowałeś tylko bez upodobania, bez radości, bez walk! Teraz dopiero zaczniesz żyć! Zmieniła się przyszłość! Konfucjusz powiada: "Cóż to szkodzi! Nieszczęścia zdarzają się zawsze rzadziej, niż się obawiamy!" Będziemy więc zarabiali na nasz codzienny ryż. Mądrość przodków poucza nas: "W życiu bywają wzloty i upadki. Koło Fortuny toczy się bez przerwy, a wiatr wiosenny zmienny jest. W dobrobycie czy w ubóstwie, wypełniaj swe zadanie!" Wyjeżdżamy?

I Wang, jako praktyczny filozof, naprawdę gotów był opuścić zbytkowne mieszkanie. Kin Fo wstrzymał go.

- Powiedziałem ci - podjął - iż ubóstwo mnie nie przeraża, a to dlatego, że jestem zdecydowany nie cierpieć go.

- Ach - zauważył Wang - chcesz więc!...

- Umrzeć.

- Umrzeć! - powtórzył spokojnie filozof. - Człowiek zdecydowany skończyć z sobą nie mówi tego nikomu.

- Już bym to był zrobił - odrzekł Kin Fo z takim samym jak filozof spokojem - lecz chcę, aby śmierć wywołała we mnie przynajmniej pierwsze i ostatnie wzruszenie. Otóż w chwili, gdy miałem wypalić kulkę opium, to wiesz co, doznałem tak nikłego wrażenia, że rzuciłem truciznę i przyszedłem do ciebie!

- Chcesz więc, przyjacielu, abyśmy umarli razem? — spytał Wang z uśmiechem.

- Nie— odparł Kin Fo - potrzebuję, abyś żył!

- Dlaczego?

- By mnie własną ręką ugodzić!

Słyszając tę nieoczekiwaną propozycję, Wang nie drgnął nawet. Lecz Kin Fo, który patrzył przyjacielowi prosto w twarz, zauważył, że w jego oczach zapaliła się iskra. Czyżby obudził się w nim dawny tajping? Czy nie zawaha się przed zadaniem, jakie mu zleca jego uczeń? Minione osiemnaście lat nie zagłuszyło w nim zatem krwawych instynktów młodości! Synowi tego, co go ocalił, nie wyrazi najmniejszego sprzeciwu! Bez zastanowienia gotów jest uwolnić go od egzystencji, która mu zbrzydła! On, filozof Wang, uczyni to!

Ale iskierka prawie zaraz zagasła. Wang odzyskał swój normalny wygląd uczciwego człowieka, nieco tylko poważniejszy niż zwykle.

Siadając z powrotem upewnił się:

- To więc jest przysługa, której ode mnie żadasz?

- Tak - odparł Kin Fo - i ta przysługa zwolni cię od wszystkiego, co mógłbyś sobie wyobrazić, że jesteś winien memu ojcu i mnie.

- Co mam zrobić? - spytał z prostotą Wang.

- Przed 25 czerwca, dwudziestym ósmym dniem piątego księżycy, tak, tak, przed dniem, kiedy skończę trzydzieści jeden lat, muszę przestać żyć! Mam zginąć z twojej ręki, ugodzony z przodu lub z tyłu, we dnie lub w nocy, obojętne gdzie, obojętne jak, gdy będę stał, siedział, leżał, we śnie czy jawie, od żelaza lub trucizny! Trzeba, abym w każdej z osiemdziesięciu tysięcy minut, z jakich składać się będzie moje życie mające trwać jeszcze pięćdziesiąt pięć dni, myślał i, mam nadzieję, obawiał się, że moje istnienie nagle się skończy! Trzeba, abym miał przed sobą te osiemdziesiąt tysięcy wzruszeń, żebym w momencie, gdy pięć elementów mej duszy rozdzieli się, mógł zawołać: "Nareszcie, więc jednak żyłem!"

Kin Fo, wbrew swym zwyczajom, mówił z pewnym ożywieniem. Znamienne też jest, że ustalił ostateczną granicę swego życia na sześć dni przed wygaśnięciem polisy.. Było to działanie roztropnego człowieka, bo w razie braku następnej opłaty, opóźnienie pozbawiłoby beneficjentów spadku.

Filozof słuchał go z powagą, rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia na portret króla państwa tajpingów, zdobiący jedną ze ścian pokoju - portret ów miał odziedziczyć, o czym jeszcze nie wiedział.

- Nie cofniesz się przed czynem, jakiego masz się podjąć? - upewnił się KinFo.

Wang jednym gestem uspokoił go, że o tym nie ma mowy. Niejedno już przeżył jako powstaniec pod sztandarami tajpingów! Ale jako człowiek lubiący wszystko do końca wyjaśnić, przed podjęciem decyzji dodał:

- Rezygnujesz zatem z szansy osiągnięcia późnej starości, jaką przeznaczył ci Prawdziwy Mistrz?

- Rezygnuję.

- Bez żalu?

- Bez! - odpowiedział Kin Fo. - Żyć jako starzec! Być podobnym do kawałka drewna, na którym nic się już nie da wyrzeźbić! Będąc bogatym, nigdy tego nie pragnąłem. W ubóstwie - tym bardziej.

- A młoda wdowa z Pekinu? Zapominasz o przysłowiu: kwiat z kwiatem, wierzba z wierzbą. Porozumienie dwóch serc to sto lat wiosny!...

- A trzysta lat jesieni, lata i zimy! - odparł Kin Fo wzruszając ramionami. - Nie! Liu jest uboga, a ze mną byłaby nędzarką. Za to moja śmierć zapewnia jej majątek.

- Tyś to zrobił?
- Tak jest, a dla ciebie, Wangu, moja głowa warta pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
- Ach - rzekł spokojnie filozof- ty na wszystko masz odpowiedź.
- Na wszystko, nawet na to, czego dotąd nie wyraziłeś.
- To znaczy?
- Ależ... niebezpieczeństwo, jakie po mojej śmierci mogłoby ci grozić jako memu zabójcy.
- Och - odparł Wang lekceważąco - tylko niezręczni albo tchórze dają się złapać! Zresztą w czym leżałaby wartość oddania ci ostatniej przysługi, gdybym niczego nie ryzykował!
- O, nie, Wangu! Wolę ci dać całkowitą pewność pod tym względem. Nikt nie ośmieli się niepokoić ciebie.

Mówiąc to Kin Fo podszedł do stołu, wziął kartkę papieru i wyraźnym pismem skreślił tych parę słów: "Zniechęcony i zmęczony życiem, zadałem sobie śmierć dobrowolnie. Kin Fo"

I podał kartkę Wangowi.

Filozof przeczytał ją najpierw po cichu, a potem jeszcze raz głośno. Skończywszy, złożył ją dokładnie i schował w notesie, który zawsze nosił ze sobą.

I znów iskierka błysnęła w jego spojrzeniu.

- Czy ty naprawdę poważnie to wszystko traktujesz? - spytał, wpatrując się uważnie w twarz swego ucznia.

- Jak najbardziej.

- A więc i ja odniosę się z powagą. - Dajesz słowo?

- Daję.

- A zatem będę żył nie dłużej jak do 25 czerwca?...

- Nie wiem, czy będziesz żył w takim sensie, w jakim ty to rozumiesz -odpowiedział poważnie filozof.- Ale na pewno umrzesz!

- Dziękuję ci i żegnaj, Wang!

- Żegnaj, Kin Fo.

Po tych słowach Kin Fo spokojnie opuścił pokój filozofa.

# ROZDZIAŁ 9

## KTÓREGO ZAKOŃCZENIE, CHOĆ TROCHĘ NIEZWYKŁE, NIE POWINNO ZADZIWIĆ CZYTELNIKA

- A więc, Craig-Fry? - spytał nazajutrz czcigodny William J. Bidulph dwóch agentów, których specjalnie wynajął do czuwania nad nowym klientem „Stulecia”.

- A więc - odrzekł Craig - szliśmy wczoraj za nim podczas całego długiego spaceru, jaki odbył na polach pod Szanghajem..

- I nie wyglądał wcale na człowieka, który ma zamiar się zabić - dodał Fry.

- Zrobiło się ciemno, odprowadziliśmy go do drzwi...

- Ale, niestety, nie mogliśmy ich przekroczyć. - A dziś rano? - spytał William J. Bidulph.

- Dowiedzieliśmy się - zameldował Craig - że trzyma się...

- Jak most Palicio - dokończył Fry.

Agenci Craig i Fry, czystej krwi Amerykanie, dwaj kuzyni zatrudnieni w „Stuleciu”, tworzyli absolutnie jedną osobę w dwóch ciałach. Niepodobna, żeby dwu ludzi bardziej utożsamiało się ze sobą niż oni, i to do tego stopnia, że niezmiennie drugi kończył zdanie zaczęte przez pierwszego i na odwrót. Jeden mózg, jedne myśli, jedno serce, jeden żołądek, jeden sposób zachowania w każdej okoliczności. Cztery dłonie, cztery ramiona, cztery nogi w dwóch połączonych ciałach. Słowem, dwaj bracia syjamscy, rozcięci przez śmiałego chirurga.

- To znaczy - spytał Bidulph - nie zdołaliście jeszcze dotrzeć do domu?

- Jeszcze... - zaczął Craig.

- Nie - dokończył Fry.

- To będzie trudne - odrzekł pełnomocnik towarzystwa. - Jest to jednak konieczne. Chodzi o to, aby „Stulecie” nie tylko zarobiło, ale też nie straciło dwustu tysięcy dolarów! A zatem dwa miesiące czuwania, a może i więcej, jeżeli nasz klient odnowi polisę!

- On ma służącego... - zaczął Craig.

- Którego można by chyba kupić... - dodał Fry.

- Aby dowiedzieć się o wszystkim, co się dzieje... - ciągnął Craig.

- W jego domu w Szanghaju - zakończył Fry.

- Hm - mruknął Bidulph. - Skuście tego służącego. Kupcie go. Musi być czuły na dźwięk taelów. A taelów wam nie zabraknie. Jeżeli nawet będziecie musieli wyczerpać trzy tysiące formułek grzecznościowych, jakich wymaga etykieta chińska, wyczerpcie je śmiało. Nie pożałujecie trudu.

- To się... - rzekł Craig.

- Zrobi - skończył Fry.

I z takich oto powodów wyższej natury Craig i Fry postarali się nawiązać stosunki z Sunem. A Sun nie był człowiekiem, który by potrafił oprzeć się zarówno urokliwej przynęcie taelów, jak i uprzejmemu poczęstunkowi kilkoma kieliszkami amerykańskich napojów.

Craig-Fry dowiedzieli się zatem przez Suna wszystkiego, na czym im *zależało*, a mianowicie:

Czy Kin Fo zmienił cokolwiek w swym trybie życia?

Nie, chyba tylko tyle, że mniej dręczy swego wiernego lokaja, nożyczki odpoczywają z wielką korzyścią dla warkocza, a trzcina rzadziej łaskocze jego łopatki.

Czy Kin Fo posiada jakieś mordercze narzędzia?

Ani jednego, gdyż nie należy do szacownej kategorii amatorów tych rzeczy.

Z czego składają się jego posiłki?

Z kilku prostych dań, nie mających nic wspólnego z wymyślną kuchnią Niebiańczyków.

O której godzinie wstaje?

O piątej straży, w chwili gdy jutrenka na wezwanie kogutów wybiela horyzont.

Kładzie się wcześniej spać?

O drugiej straży, tak miał zwyczaj robić zawsze, odkąd Sun go zna.

Czy wygląda na smutnego, zatroskanego, znudzonego, zmęczonego życiem?

Wesołym typem to on nigdy nie był. Och, nie! Ale od kilku dni wydaje się, jakby był bardziej zainteresowany sprawami tego świata. Tak! Sun uważa, że jest mniej obojętny, jakby na coś czekał... Na co? Nie umiał tego powiedzieć.

A czy jego pan posiada jakąś truciznę, z której mógłby zrobić użytek?

Chyba jej już nie ma, gdy tego ranka właśnie wrzucono z jego rozkazu do Huangpu z tuzin pigułek o działaniu na pewno szkodliwym.

Prawdę mówiąc, nie było w tym wszystkim nic takiego, co mogłoby zaniepokoić pełnomocnika "Stulecia". Nie! Nigdy jeszcze bogaty Kin Fo, którego położenia nikt zresztą, poza Wangiem, nie znał, nie wyglądał na tak zadowolonego z życia.

Tak czy inaczej, Craig i Fry musieli w dalszym ciągu wiedzieć o wszystkim, co robi ich klient, śledzić go na spacerach, całkiem możliwe bowiem, że nie chciał targnąć się na swoje życie we własnym domu.

Tak też zrobili dwaj nierozłączni. A Sun mówił w dalszym ciągu z tym większą swobodą, że na rozmowach z tak miłymi ludźmi mógł dużo skorzystać.

Przesadą byłoby twierdzić, że bohater tej historii polubił życie, odkąd postanowił się go pozbawić. Lecz, zgodnie z rachubami, przynajmniej w pierwszych dniach emocji mu nie zabrakło. Zawiesił sobie nad głową - miecz Damoklesa i czekał, aż spadnie któregoś dnia. Stanie się to dziś czy jutro, rano czy wieczorem? Była to wielka niewiadoma, stąd też kilka silniejszych uderzeń serca, nie znanych mu dotąd.

Zresztą po ostatniej rozmowie rzadko się widywali z Wangiem. Filozof albo wychodził z domu częściej niż dawniej, albo siedział zamknięty w swym pokoju. Kin Fo nie odwiedzał go - to nie było w jego stylu - i nawet nie wiedział, jak Wang spędza czas. Może przygotowywał jakąś zasadzkę! Dawny tajping musiał mieć sporo sposobów na wyekspediowanie człowieka na tamten świat. Stąd ciekawość, czyli nowe uczucie.

Mistrz i uczeń spotykali się jednak prawie codziennie przy wspólnym stole. Nie czynili oczywiście żadnych uwag co do ich przyszłej sytuacji zabójcy i ofiary. Rozmawiali - niewiele zresztą - o tym i o owym. Wang, poważniejszy niż zazwyczaj, odwracał oczy, niedokładnie ukryte za grubymi szklami okularów, i nie potrafił opanować wciąż drażącej go troski. On, o tak pogodnym usposobieniu, rozmowny i gawędziarz, stał się teraz smutny i milczący. Dawnego smakosza, jak każdy filozof obdarzonego zdrowym żołądkiem, przestały nęcić delikatne potrawy, a szaosińskie wino wprawiało go w zadumę.

Kin Fo jak mógł, tak mu pomagał. Zawsze pierwszy próbował wszystkich potraw i nie pozwolił ich sprzątnąć, nie skosztowawszy choć trochę. Siłą rzeczy więc Kin Fo jadał więcej niż dotychczas, jego zblazowane podniebienie doznawało pewnej przyjemności, konsumował wszystko z apetytem i trawił wyśmienicie. Z pewnością zatem nie trucizna była bronią wybraną przez dawnego tajpinga, lecz jego ofiara nie mogła zlekceważyć żadnej okazji.

Kin Fo ułatwiał zresztą Wangowi jego zadanie. Drzwi do sypialni zostawiał zawsze otwarte. Filozof mógł tam wejść zarówno we dnie, jak i w nocy i powalić go śpiącego lub rozbudzonego. Kin

Fo pragnął tylko jednej rzeczy: aby cios był szybki i ugodził go w samo serce.

Ale daremnie się wzruszał, a po kilku nocach tak się przyzwyczaił do czekania na fatalne uderzenie, że spał snem sprawiedliwego i budził się codziennie świeży i wypoczęty. Tak dłużej nie mogło być.

Wówczas przyszło mu na myśl, że może Wang wzdraga się przed zabiciem go w domu, gdzie ongi doznał tak gościnnego przyjęcia. Postanowił mu i to także ułatwić. Zaczął więc krążyć po okolicy, wybierając odosobnione miejsca, zatrzymując się aż do czwartej straży w najgorszych dzielnicach Szanghaju, prawdziwie zbójeckich norach, gdzie morderstwa są na porządku dziennym. Błąkał się po wąskich i ciemnych uliczkach, napotykając pijaków wszystkich narodowości, sam podczas ostatnich godzin nocnych, kiedy sprzedawca gotowanych na parze bułeczek wołał: "Mantou, mantou!", dzwoniąc dzwonkiem. Przychodził do domu dopiero bladym świtem, a wracał cały i zdrowy nie zwróciwszy nawet do tej pory uwagi na nierozłącznych Fry-Graiga, którzy śledzili go uporczywie, gotowi nieść mu pomoc.

Gdyby tak dalej szło, Kin Fo przyzwyczaił się do swojej nowej egzystencji i niebawem nuda opanuje go z powrotem! Ileż to godzin już przeżył, nie myśląc nawet o tym, że jest skazany na śmierć!

Wszelako pewnego dnia, 12 maja, przypadek dostarczył mu nowej emocji. Kiedy cicho wszedł do pokoju filozofa, zobaczył, jak tamten końcem palca wypróbowuje cienkie ostrze sztyletu, a następnie macza je w podejrzanym wyglądającym flakonie z niebieskiego szkła.

Wang nie słyszał jego wejścia i chwyciwszy sztylet, zamachał się nim kilkakrotnie, jakby chcąc się przekonać, czy dobrze go trzyma. Prawdę mówiąc, wyraz jego twarzy nie był uspokajający. Wydawało się nawet, że oczy nabiegły mu krwią!

"To będzie dzisiaj!"-pomyślał Kin Fo.

I nie widziany i nie słyszany, wycofał się dyskretnie.

Kin Fo nie wyszedł cały dzień ze swego pokoju... Filozof się nie pojawił.

Kin Fo położył się, lecz nazajutrz wstał tak samo żywy, jak każdy zdrowy człowiek. Tyle wzruszeń i wszystko na darmo! Stawało się to irytujące.

Upłynęło już dziesięć dni! No, ale Wang miał jeszcze dwa miesiące czasu.

- Cóż za guzdra! - mówił sobie Kin Fo. - Dałem mu o wiele za dużo czasu!

I pomyślał, że dawny tajping zniewieściał nieco w rozkoszach Szanghaju.

Od tego dnia jednak Wang wydawał się jakby bardziej zatroskany, podniecony. Chodził tam i z powrotem po jamenie jak ktoś, kto nie może sobie znaleźć miejsca. Kin Fo zauważył nawet, że filozof zaczął często odwiedzać salę przodków, gdzie umieszczona była cenna trumna sprowadzona z Liaoczou. Z zainteresowaniem dowiedział się też od Suna, że Wang nakazał odkurzać, wycierać i polerować ten szlachetny mebel, słowem - trzymać go w pogotowiu.

- Ależ mojemu panu dobrze się w niej będzie leżało! - pozwolił sobie na uwagę wierny służący. - Aż chęć bierze, żeby ją wypróbować.

Uwaga ta uzyskała przyjazny uśmiech pana.

Minęły dni 13, 14 i 15 maja. Nic nowego. Czyżby Wang postanowił czekać do końca umówionego terminu i po kupiecku spłacić swój dług -nie wcześniej jak ostatniego dnia? Ależ w takim razie nie będzie niespodzianki, a co za tym idzie - wzruszeń!

Tymczasem rankiem 15 maja o godzinie mao, to znaczy około szóstej rano, Kin Fo powiadomiono o bardzo znamiennej fakcie.

Noc spędził bardzo źle. Po przebudzeniu był jeszcze pod wrażeniem przykrego snu. Jenwang, najwyższy władca w piekle chińskim, zakazał mu pojawić się przed jego obliczem dopóty, dopóki księżyc nie wstanie tysiąc dwieście razy nad Niebiańskim Cesarstwem. Wiek jeszcze ma przeżyć,

cały wiek!

Kin Fo był więc w bardzo złym humorze, wydawało się bowiem, że wszystko się przeciw niemu sprzyściło.

Oto więc w jaki sposób przyjął Suna. gdy ten przyszedł, by, jak zwykle, pomóc mu w toalecie porannej.

- Idź do diabła! - wykrzyknął. - Zasłużyłeś na dziesięć tysięcy kopniaków, ladaco!

- Ależ, panie...

- Wynoś się, mówię!

- Właśnie że nie pójdę! - odpowiedział Sun. - A przynajmniej dopóki się pan nie dowie...

- Czego?

- Że pan Wang...

- Wang? Co zrobił Wang? - spytał żywo Kin Fo, chwytając Suna za warkocz. - Co zrobił?

- Panie mój! - Sun wił się jak robak. - Pan Wang kazał nam przenieść trumnę pana do Pawilonu Długowieczności...

- Uczynił to! - zawołał Kin Fo z promieniejącą twarzą. - Idź, Sun, idź, mój przyjacielu! Masz tu dziesięć taelów, i niech wszystkie rozkazy pana Wanga będą wykonywane!

Sun wyszedł zupełnie ogłupiały, powtarzając:

- Nie ma co, mój pan zwariował, ale przynajmniej jego szaleństwo jest szczodre!

Tym razem Kin Fo nie mógł już wątpić. Tajping zamierzał zabić go w Pawilonie Długowieczności, gdzie on sam postanowił umrzeć. To tak, jakby jego mistrz zapraszał go tam na schadzki. Nie uchyli się więc od niej. Rozwiązanie jest zatem już bliskie.

Jakże długi wydawał mu się ten dzień! Woda w zegarach nie płynęła ze zwykłą szybkością! Wskazówki wlokły się z wolna po cyferblacie z nefrytu!

Wreszcie o pierwszej straży słońce zniknęło za horyzontem i noc powoli ogarniała jamen. Kin Fo udał się do pawilonu, z którego miał nadzieję nie wyjść już żywym. Wyciągnął się na miękkiej otomane, jakby stworzonej do długich wypoczynków, i czekał.

Wówczas wspomnienia bezużytecznej egzystencji przesunęły się raz jeszcze w jego myślach: nuda, rozczarowania, to wszystko, czego bogactwo nie potrafiło pokonać, a ubóstwo wzmogłoby jeszcze bardziej!

Jedynym promieniem, co rozjaśniał to życie, tak nieciekawe w okresie zamożności, było uczucie, jakim Kin Fo darzył młodą wdowę. To uczucie rozgrzewało mu serce w chwili, gdy jego uderzenia miały ostatecznie zamilknąć. Ale uczynić biedną Liu towarzyszką własnej nędzy - nigdy!

Czwarta straż, która poprzedza świt, kiedy to wydaje się, że w całym Wszechświecie życie się zatrzymało, ta czwarta straż upłynęła Kin Fo na najżywszych emocjach. Słuchał z niepokojem. Wzrokiem usiłował przebić ciemność. Starał się pochwycić najlżejsze dźwięki. Kilkakrotnie zdawało mu się, że zaskrzypiały drzwi pchnięte ostrożną ręką. Bez wątplenia Wang miał nadzieję, że zastanie przyjaciela uspiionym i zabije go we śnie!

Obudził się w nim wtedy rodzaj reakcji. Lękał się i pragnął jednocześnie tego strasznego pojawienia się tajpinga.

O piątej straży świt rozjaśnił szczyty horyzontu. Dzień wstawał z wolna.

Nagle otworzyły się drzwi pawilonu.

Kin Fo, który w tej ostatniej sekundzie przeżył więcej niż przez całe życie, zerwał się...

Przed nim stał Sun z listem w ręce.

- Bardzo pilny! - rzekł krótko.

Kin Fo jakby doznał przeczucia. Schwycił list ze stemplem San Francisco, rozdarł kopertę,



przeczytał go szybko i rzucając się ku drzwiom pawilonu, zawołał:

- Wang! Wang!

Błyskawicznie dotarł do pokoju filozofa i gwałtownie otworzył drzwi.

Wanga nie było. Wang nie nocował w domu i kiedy na krzyki Kin Fo służba przeszukała cały jamen, stało się jasne, że Wang zniknął, nie pozostawiając śladów.

# ROZDZIAŁ 10

## W KTÓRYM CRAIG I FRY ZOSTAJĄ OFICJALNIE PRZEDSTAWIENI NOWEMU KLIENTOWI "STULECIA"

- Tak, panie Bidulph, prosty chwyt giełdowy, chwyt na sposób amerykański - mówił Kin Fo do pełnomocnika towarzystwa ubezpieczeniowego.

Czcigodny William J. Bidulph uśmiechnął się ze znajomością rzeczy.

- Rzeczywiście, dobrze zagrane, gdyż wszyscy dali się nabrać - przyznał.

- Nawet mój korespondent! - odrzekł Kin Fo. - Fałszywe zawieszenie wypłat, fałszywa upadłość, fałszywa wiadomość! W tydzień później przy okienkach wypłat panowały pustki. Interes był zrobiony. Akcje, obniżone o osiemdziesiąt procent, zostały odkupione za bezcen przez Centralny Bank, a kiedy zapytano dyrektora, ile przyniesie ta rzekoma plajta, odpowiedział z miłym uśmiechem: „Sto siedemdziesiąt pięć procent”. Oto co mi napisał mój korespondent w liście, który otrzymałem właśnie dziś rano w chwili, gdy uważając się za całkiem zrujnowanego...

- Zamierzał pan targnąć się na swe życie? - przerwał mu Bidulph.

- Nie - odpowiedział Kin Fo - w chwili, gdy miałem prawdopodobnie zostać zamordowany.

- Zamordowany!

- Z moim pisemnym upoważnieniem: morderstwo umówione, zaprzysiężone, które by was kosztowało...

- Dwieście tysięcy dolarów - odpowiedział William J. Bidulph - gdyż ubezpieczono wszystkie rodzaje śmierci. Ach, bylibyśmy pana bardzo żalowali, drogi panie...

- Z powodu wysokości sumy?...

- I odsetek!

William J. Bidulph ujął rękę swego klienta i uściśnął ją serdecznie na sposób amerykański.

- Ale nie rozumiem... - doda.

- Zaraz pan zrozumie - uspokoił go Kin Fo.

I zapoznał go z rodzajem zobowiązań przyjętych wobec niego przez człowieka, do którego miał pełne zaufanie. Zacytował mu nawet dosłownie list (obecnie w kieszeni tego człowieka), chroniący go przed jakimkolwiek prześladowaniem i zapewniający mordercy całkowitą bezkarność. Ale, co najważniejsze, obietnica złożona będzie wykonana, a dane słowo -dotrzymane bez żadnej wątpliwości.

- Ten człowiek jest pańskim przyjacielem?

- Przyjacielem.

- Z przyjaźni zatem?...

- Z przyjaźni i, kto wie, może też z wyrachowania! Po mojej śmierci otrzyma pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów! - wykrzyknął Bidulph. - Więc to pan Wang?

- Tak.

- Filozof! On się nigdy nie zgodzi... Kin Fo chciał odpowiedzieć:

"Ten filozof to dawny tajping. W ciągu połowy życia popełnił więcej zabójstw, niż trzeba, żeby «Stulecie» zbankrutowało, gdyby wszystkie jego ofiary były klientami towarzystwa! Przez osiemnaście lat opanowywał swe dzikie instynkty, ale dziś, kiedy trafia się okazja, kiedy uważa mnie za zrujnowanego i zdecydowanego umrzeć, kiedy z drugiej strony wie, że zarobi na mojej śmierci

mały mająteczek, nie zawaha się..."

Ale Kin Fo nie powiedział tego. Znaczyłoby to skompromitować Wanga, którego Bidulph nie zawahałby się pewnie zadenuncjować gubernatorowi prowincji jako byłego tajpinga. Ocaliłoby to Kin Fo, lecz zgubiłoby filozofa.

- W takim razie - rzekł wówczas pełnomocnik - pozostaje do zrobienia całkiem prosta rzecz.

- Mianowicie?

- Trzeba uprzedzić pana Wanga, że wszystko już nieważne, i odebrać od niego ten kompromitujący list, który...

- Łatwo to powiedzieć, ale trudno wykonać - odparł Kin Fo. - Wang wczoraj zniknął i nikt nie wie, dokąd się udał.

- Hmm! - ten wykrzykownik zdradzał zakłopotanie pełnomocnika. Obserwował uważnie swego klienta.

- A teraz, drogi panie, nie ma pan już ochoty umrzeć? - zapytał.

- Oczywiście, że nie! - odparł żywo Kin Fo. - Ten chwyt Centralnego Banku Kalifornijskiego prawie podwoił mój majątek i zamierzam po prostu ożenić się! Ale zrobię to dopiero, gdy odnajdę Wanga albo gdy wygaśnie umówiony termin.

- A kiedy wygasa?

- Dokładnie 25 czerwca bieżącego roku. Do tego czasu "Stulecie" bardzo ryzykuje. Do niego więc należy przedsięwziąć odpowiednie środki.

- I odnaleźć filozofa - dokończył Bidulph.

Z rękami założonymi do tyłu pełnomocnik przeszedł się parę kroków, po czym rzekł:

- Dobrze, odnajdziemy tego przyjaciela zdolnego do wszystkiego, choćby się nawet ukrył pod ziemią. Ale przez cały ten czas, drogi panie, będziemy pana bronili przed wszelkimi próbami zabójstwa, jak broniliśmy pana dotąd przeciw wszelkim próbom samobójstwa!

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Od trzydziestego kwietnia, czyli od dnia, kiedy podpisał pan polisę ubezpieczeniową, dwaj moi agenci śledzili pana, obserwowali pańskie poczynania, szpiegowali każdy pański krok!

- Nic nie zauważyłem...

- Och, bo to ludzie dyskretni! Pozwoli pan, że mu ich przedstawię teraz, kiedy już nie potrzebują kryć się ze swoją działalnością, chyba tylko przed panem Wangiem.

- Chętnie ich poznam - odparł Kin Fo.

- Craig-Fry muszą tu być, skoro pana goszczę. - I zawołał: - Craig -Fry!

Craig i Fry istotnie znajdowali się za drzwiami gabinetu szefa. Śledzili klienta "Stulecia" do samego biura i czekali na jego wyjście.

- Craig-Fry - przemówił do nich pełnomocnik - przez cały czas ważności polisy ubezpieczeniowej nie będziecie już bronili naszego cennego klienta przed nim samym, lecz przed jednym z jego własnych przyjaciół, przed filozofem Wangiem, który zobowiązał się go zabić!

I zapoznał dwóch nierozłącznych z sytuacją. Zrozumieli, zgodzili się. Wzięli w swą opiekę bogatego Kin Fo. Nie znalazłby bardziej oddanych obrońców.

A jak teraz postąpić?

Istniały, jak orzekł pełnomocnik, dwie możliwości: albo tak się pilnować w szanghajskim domu, aby Wang nie mógł wrócić do niego nie zauważony przez Fry-Craiga, albo jak najprędzej dowiedzieć się, gdzie się znajduje filozof i odebrać mu list, który już stracił całe swe znaczenie.

- Pierwsza koncepcja nic nie warta - oświadczył Kin Fo. - Wang może z łatwością wrócić nie zauważony, gdyż mój dom jest i jego domem. Trzeba go więc odnaleźć za wszelką cenę.

- Ma pan rację - odpowiedział William J. Bidulph. - Najpewniej będzie odnaleźć rzeźzonego Wanga, i my go odszukamy!

- Żywego... - zaczął Craig.

- Albo umarłego! - dokończył Fry.

- Żywego, żywego! - zawołał Kin Fo. - Nie zgodzę się, aby Wang choć przez chwilę miał być z mojej winy w niebezpieczeństwie!

- Craig i Fry - dodał Bidulph - odpowiadacie za naszego klienta jeszcze przez siedemdziesiąt siedem dni. Aż do trzydziestego czerwca pan Kin Fo wart jest dla nas dwieście tysięcy dolarów.

Po tych słowach klient i pełnomocnik "Stulecia" rozstali się. Dziesięć minut później Kin Fo, eskortowany przez dwóch strażników przybocznych, którzy nie mieli go już opuścić, wrócił do swego jamenu.

Kiedy Sun zobaczył, że Craig i Fry zamieszkali oficjalnie w domu, odczuł pewien żal. Nie będzie więcej pytań, nie będzie odpowiedzi, a co za tym idzie - taelów! W dodatku jego pan, powróciwszy znów do życia, powrócił też do zwyczaju nękania swego niezręcznego i leniwego lokaja. Nieszczęsny Sun! Cóż by powiedział, gdyby mógł przewidzieć, jaka gotuje się przed nim przyszłość!

Pierwszą myślą Kin Fo było przefonografować do Pekinu, na ulicę Czakua, wieść o odmianie fortuny, która uczyniła go bogatszym niż kiedykolwiek. Młoda kobieta usłyszała głos tego, kogo uważała za straconego na zawsze, mówiący jej, jak dawniej, czułe słowa. Wkrótce zobaczy swoją młodszą siostrzyczkę. Nim minie szósty księżyc, przybędzie do niej, by jej więcej nie opuścić. O ile jednak przedtem nie chciał jej zrobić nędzarką, o tyle teraz nie chce ryzykować, że uczyni z niej wdowę.

Liu niezbyt pojęła to ostatnie zdanie; zrozumiała tylko jedno: że jej narzeczony wraca do niej, że przed upływem dwóch miesięcy będą razem.

I tego dnia w całym Niebiańskim Cesarstwie nie było kobiety szczęśliwszej od młodej wdowy.

Rzeczywiście, w poglądach Kin Fo, posiadacza czterech milionów dzięki owocnej operacji Centralnego Banku Kalifornijskiego, nastąpił przewrót. Pragnął żyć, i to żyć dobrze. Ubiegłe dwadzieścia dni, pełne wzruszeń, przemieniły go. Ani mandaryn Pao Szeń, ani kupiec Jin Pang, ani hulaka Tim, ani uczoney Hua nie byliby poznali zblazowanego gospodarza, który żegnał ich na jednej z kwietnych łodzi na Rzece Perłowej. Wang, gdyby tu był, własnym oczom by nie uwierzył. Ale zniknął bez śladu. Nie wracał do domu w Szanghaju. Stąd wielkie zmartwienie Kin Fo i ustawiczne lęki jego przybocznej straży.

Tydzień później, 24 maja, dalej nic nie wiadano o filozofie, nie było więc żadnej możliwości wyruszenia na jego poszukiwanie. Na próżno Kin Fo, Craig i Fry szperali na terytoriach koncesji przetrząsali bazy, podejrzane dzielnice, okolice Szanghaju. Na próżno najsprytniejsi policyjni tipao przyłączyli się do akcji. Filozof znikł.

Tymczasem Craig i Fry, coraz bardziej zaniepokojeni, zwiększyli czujność. Ani w dzień, ani w nocy nie opuszczali swego klienta, jedli przy jednym stole, spali w jego pokoju. Chcieli nawet skłonić go, by włożył stalową kolczugę dla ochrony przed ciosem sztyletu i aby jadał wyłącznie jajka na miękko, które nie mogły być zatrute!

Trzeba przyznać, że Kin Fo wysłał ich do diabła. Może jeszcze miałby się dać zamknąć na dwa miesiące w wertheimowskim skarbcu "Stulecia", skoro wart był dwieście tysięcy dolarów?!

Wówczas zawsze praktycznie myślący William J. Bidulph zaproponował klientowi, że zwróci mu wpłaconą premię i przedrze polisę ubezpieczeniową.

- Przykro mi - odpowiedział krótko Kin Fo - ale zawarliśmy kontrakt i pan poniesie konsekwencje.

- Niech i tak będzie - odparł pełnomocnik, zgadzając się na to, czemu nie mógł przeszkodzić - niech będzie! Ma pan rację! Nikt pana nie będzie lepiej strzegł niż my!

- Ani taniej! - odciął się Kin Fo.

# ROZDZIAŁ 11

## W KTÓRYM KIN FO STAJE SIĘ NAJSŁYNNIEJSZYM CZŁOWIEKIEM W PAŃSTWIE ŚRODKA

Wang nadal był nie do wytropienia. Kin Fo zaczynała już gniewać przymusowa beczynność, brak możliwości przynajmniej pościgu za filozofem. Bo i jak miał to zrobić, skoro Wang nie pozostawił po sobie najmniejszego śladu?

Komplikacja ta nie przestawała dręczyć pełnomocnika „Stulecia”. Z początku był zdania, że to wszystko jest niepoważne, że Wang nie spełni swej obietnicy, że nawet w ekscentrycznej Ameryce nie dzieją się podobne rzeczy, niebawem jednak doszedł do przekonania, że w tym niezwykłym kraju, zwanym Niebiańskim Cesarstwem, wszystko jest możliwe. Zgodził się więc ze zdaniem Kin Fo, że jeżeli nie uda się odnaleźć filozofa, filozof dotrzyma danego słowa. Samo jego zniknięcie było dowodem, że ma on zamiar zaskoczyć swego ucznia w chwili, gdy się tego najmniej będzie spodziewał, spaść na niego jak piorun i trafić go w serce szybką i pewną ręką. Po czym, złożony list na zwłokach swej ofiary, uda się spokojnie do biura „Stulecia”, by upomnieć się o należny mu spadek.

Trzeba więc było uprzedzić Wanga, lecz nie dało się uprzedzić go bezpośrednio.

Czcigodny William J. Bidulph widział się zatem zmuszony do zastosowania środków pośrednich za pomocą prasy. W ciągu kilku dni rozesłane zostały zawiadomienia do gazet chińskich, telegramy do pism Starego i Nowego Świata.

"Cing Pao" - oficjalna „Gazeta Stołeczna”, pisma redagowane po chińsku w Szanghaju i Hongkongu, najpopularniejsze dzienniki Europy i obu Ameryk publikowały aż do znudzenia następującą notkę:

"Pan Wang z Szanghaju proszony jest, aby umowę z panem Kin Fo, podpisaną 2 maja bieżącego roku, uważał za niebyłą, gdyż rzeczony pan Kin Fo niczego więcej nie pragnie, jak doczekać setnego roku życia."

Po tej dziwnej notatce nastąpiła inna, znacznie praktyczniejszej natury:

"Dwa tysiące dolarów, czyli tysiąc trzysta taelów, otrzyma ten, kto uwiadomi Williama J. Bidulpha, pełnomocnika «Stulecia» w Szanghaju, o aktualnym miejscu zamieszkania pana Wanga z Szanghaju."

Nie było powodu przypuszczać, aby filozof miał gonić po świecie w ciągu tych pięćdziesięciu pięciu dni, jakie mu pozostały na wypełnienie obietnicy. Raczej chyba ukrył się w okolicach Szanghaju, by skorzystać z nadarzającej się okazji; lecz czcigodny William J. Bidulph uważał, że ostrożności nigdy za wiele.

Minęło kilka dni, a sytuacja nie uległa zmianie. I oto porozmieszczane wszędzie ogłoszenia, zredagowane na sposób amerykański: z jednej strony WANG! WANG! WANG!, z drugiej: KIN FO! KIN FO! KIN FO! zwróciły powszechną uwagę i wywołały ogólną wesołość.

Najodległejsze prowincje Niebiańskiego Cesarstwa trzęsły się ze śmiechu.

- Gdzie jest Wang?

- Kto widział Wanga?

- Co robi Wang?

- Wang! Wang! Wang! - wykrzykiwały dzieci na ulicach.

O niczym innym się nie mówiło.

I Kin Fo, ten godny Niebiańczyk, który "niczego więcej nie pragnął, jak doczekać setnego roku życia", i zamierzał rywalizować ze słynnym słoniem dożywającym właśnie dwudziestego pięciolecia w stajni pałacowej Pekinu, stał się naturalnie ostatnim krzykiem mody.

- A jak tam pan Kin Fo? Postarzał się?

- Jak się miewa?

- Trawi jeszcze dobrze?

- Zobaczymy go niedługo w żółtej sukni?

Takimi kpiącymi słowami przerzucali się między sobą mandaryni cywilni i wojskowi, spekulanci na giełdzie, kupcy za kontuarem, pospólstwo na ulicach i placach, flisacy w swoich pływających miastach.

Chińczycy są bardzo weseli i bardzo złośliwi, a trzeba przyznać, że powodu do wesołości mieli sporo. Stąd więc żarciki różnego rodzaju, a nawet karykatury na murach domów.

Kin Fo musiał z wielkim niezadowoleniem znosić nieprzyjemności tej szczególnej sławy. Śpiewano nawet o nim piosenkę na melodię "Man ciang hung" ("Cała rzeka szcerwieniła"). Ukazała się na jego cześć pieśń "Pięć straży Stulatka"! Jakież atrakcyjny tytuł i ile można zarobić, sprzedając po trzy miedziaki egzemplarz!

O ile Kin Fo złościł się o cały ten hałas, jaki zrobiono dokoła jego imienia, Bidulph przeciwnie - cieszył się z niego; niemniej Wang pozostawał wciąż niewidoczny dla wszystkich oczu.

Rzecz posunęła się jednak tak daleko, że Kin Fo znalazł się w nieznośnym położeniu. Wychodził z domu, a orszak Chińczyków różnego wieku i płci towarzyszył mu na ulicach, nabrzeżach, nawet na terytoriach koncesji, nawet w szczerym polu. Wracał, a cały tłum najgorszego typu żartownisiów zbierał się przed wejściem do jamenu.

Każdego ranka zmuszano go do ukazania się na balkonie, aby udowodnić, że służba nie położyła go przedwcześnie w trumnie w Pawilonie Długowieczności.

Gazety z ironicznymi komentarzami drukowały kpiące biuletyny o jego stanie zdrowia, jakby należał do rządzącej dynastii Cing. Słowem, ośmieszano go dokładnie.

Doszło więc do tego, że pewnego dnia, 21 maja, bardzo zirytowany Kin. Fo udał się do Williama J. Bidulpha i oświadczył mu, iż zamierza natychmiast wyjechać. Dość ma już Szanghaju i szanghajczyków!

- To może być większe ryzyko - zwrócił mu bardzo słusznie uwagę pełnomocnik.

- Nic mnie to nie obchodzi! - odpowiedział Kin Fo. - Wy ponosicie odpowiedzialność.

- Ale dokąd się pan uda?

- Przed siebie.

- Gdzie się pan zatrzyma?

- Nigdzie!

- A kiedy pan wróci?

- Nigdy.

- A jeżeli będę miał wiadomości o Wangu.

- Do diabła z Wangiem! Ach, cóż za idiotyczny pomysł miałem, żeby mu dać ten absurdalny list!

W gruncie rzeczy Kin Fo namiętnie pragnął odnaleźć filozofa. Myśl, że jego życie jest w cudzych rękach, drażniła go coraz bardziej. Stawała się wprost obsesją. Czekać w tych warunkach dłużej niż miesiąc jeszcze, nie, nigdy się z tym nie pogodzi! Owieczka wpadła w gniew!

- No, dobrze, niech pan jedzie - zgodził się Bidulph. - Craig i Fry pojedą z panem wszędzie!

- Jak pan sobie życzy, ale uprzedzam, że będą musieli dobrze biegać.

- Będą biegali, drogi panie, będą biegali, już oni umieją przebierać nogami!

Kin Fo wrócił do jamenu i niezwłocznie przygotował się do wyjazdu.

Sun, który nie lubił podróży, musiał, ku swemu wielkiemu niezadowoleniu, towarzyszyć swojemu panu. Nie odważył się jednak na żadną uwagę, co na pewno kosztowałyby go znowu kawałek warkocza.

Fry-Craig natomiast, jako prawdziwi Amerykanie, gotowi byli zawsze do podróży, choćby na koniec świata. Zadali tylko jedno pytanie:

- Dokąd pan... - zaczął Craig.

- ... się wybiera? - dokończył Fry.

- Najpierw do Nankinu, a potem do samego diabła!

Wspólny uśmiech wykwitł na wargach Fry-Craiga. Obaj byli zachwyceni! Do diabła! Ogromnie im się to spodobało! Pożegnali się więc tylko prędyutko z czcigodnym pryncypałem i przebrali po chińsku, żeby nie zwracać tak na siebie uwagi podczas tej wędrówki przez Niebiańskie Cesarstwo.

W godzinę później Craig i Fry, z workami na ramieniu i rewolwerami za pasem, wrócili do jamenu.

Po zapadnięciu nocy Kin Fo i jego towarzysze opuścili dyskretnie port w koncesji amerykańskiej i wsiedli na statek parowy kursujący między Szanghajem a Nankinem.

Podróż ta to właściwie mała przejażdżka. W ciągu niecałych dwunastu godzin parowiec, korzystając z odpływa morza, może dotrzeć Niebieską Rzeką do dawnej stolicy.

Podczas tej krótkiej podróży Craig-Fry, po uprzednim zlustrowaniu wszystkich pasażerów, zaopiekowali się ceną dla nich osobą Kin Fo. Znali filozofa- któryż mieszkaniec trzech koncesji nie znał tej dobrotliwej i sympatycznej twarzy! - i upewnili się, że nie mógł wsiąść za nimi na pokład. Potem, skonstatowawszy ten fakt, nie oszczędzili względów klientowi "Stulecia": własnoręcznie zbadali nadburcie, gdzie się opierał, wypróbowali nogą mostki, na jakich się czasami zatrzymywał, odciągali go, od maszynowni, bo kotły wydawały im się podejrzane, prosili, by się nie narażał na chłodny wiatr wieczorny i nie zaziębił w wilgotnym powietrzu nocnym, czuwali, aby okienka od jego kabiny zostały hermetycznie zamknięte, besztali niedbałego Suna, którego nigdy nie było tam, gdzie powinien być, a w razie potrzeby zastępowali go podając herbatę i ciastka o pierwszej straży, wreszcie spali pod drzwiami kabiny Kin Fo, w ubraniu

i z pasem ratunkowym na biodrach, by go ratować, gdyby na skutek wybuchu czy zderzenia parowiec miał zatonać w głębokiej rzece. Ale nie zaszło nic, co miałoby wystawić na próbę bezgraniczne oddanie Fry -Craiga. Parowiec błyskawicznie opuścił Wusung, wpłynął na Jangcy, czyli Niebieską Rzekę, minął wyspę Czungming, zostawił za sobą światła Wusungu i Liangszanu, przyplływ uniósł go w górę rzeki przez prowincję Ciangsu, a 22 maja wysadził swych pasażerów zdrowych i całych na nabrzeżu starego miasta cesarskiego.

Dzięki dwuosobowej gwardii przybocznej warkocz Suna nie zmniejszył się ani o milimetr podczas podróży. Leniuch byłby więc bardzo niewdzięczny, skarżąc się.

Nie bez powodu Kin Fo, opuściwszy Szanghaj, zatrzymał się najpierw w Nankinie. Sądził bowiem, że ma pewne szanse odnaleźć tu Wanga.

Istotnie, wspomnienia mogły przyciągnąć Wanga do tego nieszczęśliwego miasta, ośrodka rebelii "długowłosych". Czyż nie okupował go i nie bronił skromny nauczyciel szkolny, groźny Hung Siucüan, który został władcą tajpingów i tak długo trzymał w szachu władze mandzurskie? Czyż nie w tym mieście obwieścił nową erę "Wielkiego Pokoju"? Czyż nie tam to otruł się w roku 1864, by nie wpaść w ręce nieprzyjaciół? Z tamtejszego starego pałacu królewskiego uciekł jego syn, święty niebawem przez zwolenników cesarskich. A wśród ruin spalonego miasta wyjęto z grobu jego kości i rzucono zwierzętom na pożarcie. Na koniec w tej to prowincji dawni towarzysze Wanga, w liczbie



stu tysięcy, zostali wymordowani w ciągu trzech dni.

Możliwe zatem było, że filozof, opanowany nostalgią po zmianie, jakiej uległa jego egzystencja, schronił się w to miejsce pełne osobistych wspomnień! Stąd w przeciągu kilku godzin mógł wrócić do Szanghaju, by wypełnić swoją misję...

Oto dlaczego Kin Fo skierował się najpierw do Nankinu i postanowił zatrzymać się tam po pierwszym etapie podróży. Gdyby tu spotkał Wanga, wszystko by się wyjaśniło i skończyłaby się ta absurdalna sytuacja. Jeżeli zaś Wang nie pojawi się, on będzie kontynuował swą pielgrzymkę po Niebiańskim Cesarstwie, aż upłynie termin i nie będzie musiał się już niczego obawiać ze strony swego mistrza i przyjaciela.

Kin Fo, eskortowany przez Craiga i Fry, z wlokącym się w tyle Sunem, udał się do hotelu mieszczącego się w na wpół wyludnionej dzielnicy, którą zewsząd otaczają, na kształt pustyni, trzy czwarte dawnej stolicy.

-Podróżuję pod nazwiskiem Ki Nan - oświadczył krótko Kin Fo swym towarzyszom - i życzę sobie, aby moje prawdziwe nazwisko nie zostało nigdy i pod żadnym pretekstem wymówione.

- Ki... - powiedział Craig.

- Nan - dokończył Fry.

- Ki Nan - powtórzył Sun.

Zrozumiałe, że Kin Fo, który uciekał przed przykrościami popularności szanghajskiej, nie miał ochoty spotkać ich na swojej drodze. Nie wspomniał zresztą słowem swym gwardzistom o możliwości spotkania filozofa w Nankinie. Skrupulatni agenci otoczyliby go nadmiarem troskliwości, usprawiedliwionej co prawda wartością materialną ich klienta, ale klient miał już tego dość. Podróżując przez niepewne miejsca z milionem w kieszeni nie mogliby zachować większej ostrożności. A ostatecznie, czyż nie milion powierzyło "Stulecie" ich pieczy?

Cały dzień minął im na zwiedzaniu dzielnic, placów i ulic Nankinu. Od bramy zachodniej do bramy wschodniej, z północy na południe, szybko przemierzali pozbawione dawnej świetności miasto. Kin Fo kroczył równym krokiem, mało mówił, a uważnie patrzył.

Nie spostrzegli żadnej podejrzanej twarzy ani nad kanałami, gdzie gromadzi się większość ludności, ani na brukowanych ulicach, zagubionych wśród gruzów i zarosłych już chwastami. Nie zauważyli żadnego cudzoziemca błądzącego pod marmurowymi, na wpół zrujnowanymi portykami, ani wśród kawałów powypalanych murów, gdzie ongi stał Pałac Cesarski, widownia ostatniej walki, w której Wang bez wątpienia bronił się aż do końca. Nikt nie usiłował ukryć się przed oczami przechodniów ani w sąsiedztwie jamenu misjonarzy katolickich, których mieszkańcy Nankinu chcieli wymordować w roku 1870, ani w okolicach fabryki broni, świeżo . odbudowanej z resztek niezniszczalnej cegły po słynnej wieży porcelanowej, której podnoże zasłali trupami tajpingowie.

Kin Fo niezmordowanie szedł wciąż przed siebie. Zachęcając swych towarzyszy, do których zmęczenie również nie miało dostępu, zostawiając daleko w tyle nieszczęsnego Suna nie przyzwyczajonego do tego rodzaju gimnastyki, wyszedł przez bramę wschodnią i zapuścił się na głuchą wieś.

W pewnej odległości od murów miejskich ciągnęła się tam nieskończenie długa aleja, zdobna po obu stronach olbrzymimi posągami zwierząt z kamienia. Kin Fo poszedł nią jeszcze żywszym krokiem.

Zamykała tę aleję mała świątynia. Za nią wznosił się kopiec wysoki jak wzgórze. Pod tym kopcem spoczywał mnich Czu Jüanczang, późniejszy cesarz, jeden z tych śmiałych patriotów, co to przed pięcioma wiekami walczyli przeciw obcemu panowaniu. Może filozof przyszedł odświeżyć swe chwalebne wspomnienia na grobie, w którym spoczywał założyciel dynastii Ming?

Wokół było pusto, świątynia zaniedbana. Nikt jej nie strzegł poza tymi kolosami z granitu, tymi fantastycznymi zwierzętami, jedynymi mieszkańcami długiej alei.

Lecz na drzwiach świątyni Kin Fo nie bez wzruszenia dostrzegł kilka znaków wyrytych ręką ludzką. Zbliżył się i przeczytał: Wang! Kin Fo!

Bez wątpienia Wang niedawno tędy przechodził! Kin Fo, nic nikomu nie mówiąc, rozejrzał się wokoło. Nikogo.

Wieczorem Kin Fo, Craig, Fry i ledwie wlokący się za nimi Sun wrócili do hotelu, a nazajutrz rano opuścili Nankin.

# ROZDZIAŁ 12

## W KTÓRYM KIN FO, JEGO DWAJ STRAŻNICY I SŁUŻĄCY RUSZAJĄ W NIEZNANE

Kimże jest ten podróżnik, przemierzający wielkie drogi wodne i lądowe, kanały i rzeki Niebiańskiego Cesarstwa? Idzie i idzie wciąż przed siebie, nie wiedząc dzisiaj, gdzie będzie jutro. Przebiega miasta nie widząc ich, zachodzi do hoteli lub zajazdów tylko po to, żeby się przespać parę godzin, zatrzymuje się w gospodach, by szybko coś przełknąć. Nie ściska pieniędzy w garści - szasta nimi, sypie, aby przyspieszyć swój marsz.

To nie kupiec, zajmujący się interesami. Ani mandaryn, którego minister obarczył jakąś ważną i nagłą misją. Ani artysta podziwiający piękności natury. Ani uczonego w poszukiwaniu starych dokumentów, zamkniętych w siedzibach bonzów i lamów starych Chin. Nie jest to też student, dążący na egzaminy, by zdobyć stopnie naukowe, ani mnich buddyjski, dogłądający polnych ołtarzyków wzniesionych wśród korzeni figowego drzewa, ani pielgrzym, spieszący na jedną z pięciu świętych gór Niebiańskiego Cesarstwa, aby wypełnić jakiś ślub.

To rzekomy Ki Nan w towarzystwie dziarskich Fry i Craiga i coraz bardziej udręczonego Suna. To Kin Fo popychany dziwnym niepokojem, który każe mu jednocześnie uciekać i szukać nieosiągalnego Wanga. To klient „Stulecia” - w tej nieustannej bieganinie pragnie zapomnieć o swym położeniu, a może i umknąć przed niewidzialnymi niebezpieczeństwami, jakie mu zagrażają. Najlepszy strzelec może chybić do ruchomego celu, a Kin Fo chce być celem, co się nigdy nie, zatrzyma.

Nasi pasażerowie wyruszyli z Nankinu na jednym z szybkich parowców amerykańskich, ogromnych pływających hoteli obsługujących Niebieską Rzekę. W sześćdziesiąt godzin później lądowali w Hankou, nie spojrzawszy nawet na wznoszącą się w środku koryta rzeki Jangcy dziwną skałę, „Sierotkę”, o wierzchołku dumnie zwieńczonym świątynią.

W Hankou, położonym u zbiegu Niebieskiej Rzeki i jej najważniejszego dopływu, Hanszueju, wędrujący Kin Fo zatrzymał się zaledwie pół dnia. Tu także pokutowały wśród ruin okrutne wspomnienia o tajpingach; ale ani w tym handlowym mieście; które, prawdę mówiąc, jest częścią miasta Hanjang zbudowanego na prawym brzegu Hanszueju, ani w Wuczangu wznoszącym się na prawym brzegu rzeki Jangcy, nieuchwytny Wang nie pozostawił śladów swej bytności. Nawet tych okropnych znaków, jakie Kin Fo znalazł w Nankinie na grobowcu koronowanego mnicha.

Jeżeli Craig i Fry spodziewali się kiedy, że z tej podróży po Chinach wyniosą jakieś obserwacje obyczajowe albo bodaj znajomość miast; szybko się rozczarowali. Brakłoby im czasu na jakiegokolwiek notatki, a wrażenia ich sprowadziłyby się do kilku nazw miast i wsi i paru dat. Ale oni nie byli ani ciekawi, ani gadatliwi. Prawie nigdy nie rozmawiali ze sobą. Bo i po co? O czym myślał Craig, o tym samym myślał Fry. To nie byłaby rozmowa, lecz monolog. Toteż, podobnie jak ich klient, nie spostrzegli dwojakiej fizjonomii wspólnej wszystkim miastom chińskim: martwe w centrum, żyły tylko na przedmieściach. Ledwie zauważyli w Hankou dzielnicę europejską z szerokimi, prostymi ulicami, eleganckimi domami i promenadą, ciągnącą się w cieniu wielkich drzew brzegiem Niebieskiej Rzeki. Ich oczy miały tylko jeden cel: zobaczyć pewnego człowieka, ale on pozostawał wciąż niewidzialny.

Dzięki przyływowi podnoszącemu wody Hanszueju parowiec mógł płynąć tą rzeką pod prąd jeszcze sto trzydzieści mil, aż do Laohekou.

Kin Fo nie zamierzał porzucić środka lokomocji, który mu odpowiadał. Przeciwnie, pragnął

płynąć do miejsca, gdzie Hanszuej przestawał być żeglowny. A dalej - zobaczy się. Craig i Fry nie gniewaliby się, gdyby tak płynęli przez cały czas ich podróży. Czuwanie na pokładzie było łatwiejsze, niebezpieczeństwa nie tak groźne. Później, na niezbyt pewnych drogach prowincjonalnych Chin Środkowych, to już będzie inna sprawa.

Jeśli chodzi o Suna, to życie na wodzie dosyć mu odpowiadało. Nie musiał chodzić, nic nie robił, pozostawiał swego pana staraniom Fry - Craiga, marzył tylko o wyspaniu się w swoim kąciku, sumiennie pochłonawszy trzy posiłki dziennie, a kuchnia była dobra!

Właśnie po zmianie pożywienia, jaka nastąpiła po kilku dniach na pokładzie, każdy poza tym ignorantem byłby poznał, że pasażerowie znaleźli się pod inną szerokością geograficzną. Na przykład pszenica zastąpiła naraz ryż w posiłkach, wprowadzono bowiem chleb bez drożdży - nawet smaczny tuż po przyrządzeniu.

Sun, jako prawdziwy Chińczyk z Południa, żałował tradycyjnego ryżu. Tak zgrabnie umiał posługiwać się pałeczkami, gdy zsypywał ziarenka do szerokich ust, a pożerał ryżu takie ilości! Bo dla prawdziwego Chińczyka czegoś więcej trzeba do szczęścia poza ryżem i herbatą!

Płynąc w górę Hanszueju, parowiec znalazł się więc w strefie pszenicy. Rzeźba krajobrazu silniej się tu zaznaczyła. Na horyzoncie zarysowały się góry, zwieńczone fortyfikacjami z czasów dynastii Ming. Sztuczne skarpy zamykające w sobie wody rzeki ustąpiły miejsca niskim brzegom, poszerzającym jej łożysko kosztem głębokości. Ukazało się miasto Anlu.

Kin Fo nie zszedł nawet na brzeg w czasie kilku godzin postoju, gdy przed budynkami celnymi pobierano na pokład paliwo. Co miałby robić w tym mieście, które było mu obojętne? Skoro nie mógł trafić na ślad filozofa, jednego tylko pragnął: zaszyć się jeszcze głębiej w Chinach Środkowych, gdzie jeżeli on nie złapie Wang, to Wang tym bardziej jego nie dosięgnie.

Za Anlu pojawiły się dwa miasta zbudowane naprzeciw siebie: na lewym brzegu handlowe miasto Fanczeng, a na prawym - Siangjang; pierwsze to przedmieście pełne ruchliwej, biegnącej za interesami ludności, drugie - rezydencja władz i bardziej martwe niż żywe.

A za Fanczengiem Hanszuej, zbaczający gwałtownym skrętem prosto na północ, był jeszcze żeglowny aż do Laohekou. Lecz z braku wody parowiec nie mógł płynąć dalej.

Począwszy od tego etapu, warunki podróży miały ulec zmianie. Trzeba było porzucić koryto rzeki, tę "drogę, która sama idzie", i chodzić samemu, a przynajmniej zamienić łagodne kołysanie statku na wstrząsy i podskoki nędznych wehikułów, używanych w Niebiańskim Cesarstwie. Nieszczęsny Sun! Znow miała się zacząć dla niego seria kłopotów, trudów i wymówek!

Istotnie, gdyby ktoś podążał za Kin Fo w jego oryginalnej wędrówce z jednej prowincji do drugiej, z miasta do miasta, niemało by się natrudził! Jednego dnia podróżował wozem, ale jakim wozem! Ordynarną skrzynią, przytwierdzoną wielkimi, żelaznymi gwoźdźmi do osi dwóch kół, ciągniętą przez dwa odporne muły, przykrytą zwykłą płachtą płócienną, przez którą przeciekały zarówno strugi deszczu, jak i promienie palącego słońca! Innego dnia tkwił w siedzeniu niesionym przez osiołki — w czymś w rodzaju kosza zawieszzonego na bambusowych drągach i kołysanego tak gwałtownymi ruchami wzdłuż i w poprzek, że co innego rozsypałoby się w proszek.

Craig i Fry jak adiutanci jechali po bokach na dwóch osłach, jeszcze mocniej kołysani niż Kin Fo. Sun zaś szedł pieszo mrucząc, a kiedy kawalkada musiała nieco przyspieszyć, złorzeczył i pokrzepiał się częściej, niż było trzeba wódką z prosa. Wówczas on również doznawał kołysania, choć nie nierównością terenu spowodowanego! Słowem, całe towarzystwo czuło się jak na wzburzonym morzu.

Lecz do Si-anu, dawnej stolicy Państwa Środka, gdzie cesarze z dynastii Tang mieli ongi swą rezydencję, Kin Fo wraz z towarzyszami wjechali konno - na kiepskich koniach oczywiście.

Aby jednak dotrzeć do odległej prowincji Szensi, aby przebyć jej nie kończące się równiny, jałowe i nagie, ileż trudów trzeba było znieść, a nawet niebezpieczeństw!

Słońce majowe, na szerokości geograficznej odpowiadającej położeniu południowej Hiszpanii, prażyło niemiłosiernie, a w powietrzu unosił się drobniutki pył z dróg, gdzie nigdy nie położono bruku. Z tej żółtawej chmury kurzu, zanieczyszczającej powietrze jak gryzący dym, wychodziło się szarym od stóp do głowy. Były to tereny lessowe, specyficzna dla Chin Północnych formacja geologiczna, co to - według określenia Leona Rousseta - "nie jest już ziemią i nie jest jeszcze skałą, a ściślej mówiąc jest kamieniem, który nie zdążył jeszcze stężeć".

Niebezpieczeństwa były aż nadto realne w kraju, gdzie funkcjonariusze policji boją się niesłychanie pchnięcia nożem rzezimieszków. Jeżeli w miastach tipao zostawiają szumowinom wolną rękę, jeżeli w centrum miasta mieszkańcy nie mają odwagi wyjść w nocy na ulicę, można sobie łatwo wyobrazić, co się dzieje na drogach! Kilkakrotnie grupy podejrzanych osobników zatrzymywały się, ujrawszy naszych podróżników, gdy zapuszczali się w wąskie parowy wydrążone głęboko w pokładach lessu, lecz widok rewolwerów u pasa Fry-Craiga wzbudzał szacunek u tych ciemnych typów. Mimo to agenci nieraz odczuwali lęk, nie tyle o własne osoby, ile o żywy milion, jaki eskortowali. Czy Kin Fo zginie od sztyletu Wang, czy od noża złoczyńcy, rezultat będzie ten sam. Taki czy inny, cios ugodzi w kasę towarzystwa.

W tych okolicznościach zresztą Kin Fo, również nie gorzej od nich uzbrojony, jak najbardziej pragnął się bronić. Zależało mu teraz na życiu jak nigdy i -jak twierdzili Craig-Fry "dałby się zabić, żeby je zachować".

Mało prawdopodobne było, aby w Si-anie mieli odnaleźć jakiś ślad filozofa. Żadnemu dawnemu tajpingowi nie przyszłoby na myśl szukać tam schronienia. Jest to miasto, którego grubych murów rebelianci nie byli w stanie zdobyć, a teraz zajmował je silny liczebnie garnizon mandzurski. Jeżeli nie miał szczególnego zainteresowania dla przepelniających to miasto ciekawostek archeologicznych ani nie był biegły w tajnikach petroglifów, których muzeum, zwane Lasem Kamiennych Tablic, zawiera nieprzeliczone skarby kultury, po cóż by Wang pokazywał się tutaj?

Toteż nazajutrz Kin Fo opuścił to miasto, ważny ośrodek handlu między Azją Środkową, Tybetem, Mongolią i Chinami, i podjął dalszą drogę na północ.

Przez powiaty Kaoling i Lintung, doliną rzeki Wejhe o wodach zażółconych lessem, w którym wyłobila sobie łożysko, wędrowcy przybyli do Huasien, centrum potężnego powstania muzułmańskiego w roku 1860. Stamtąd, częściowo łożnią, częściowo na wózku, karawana nasza, wielce umęczona, dotarła do fortecy Tungkuan, leżącej u zbiegu rzek Wejhe i Huanghe.

Huanghe to słynna Żółta Rzeka. Spływa z północy, a przemierzywszy prowincje wschodnie, wpada do morza noszącego jej imię, mimo że nie jest ono bardziej żółte niż Morze Czerwone - czerwone, Morze Białe -białe i Morze Czarne - czarne. Tak! Słynna to rzeka, niewątpliwie niebiańskiego pochodzenia, gdyż jej kolor jest kolorem cesarzy - Synów Nieba, ale też "nieszczęście Chin", które to określenie zawdzięcza kolosalnym wylewom, jakie spowodowały, że Kanał Cesarski jest obecnie częściowo nie do użytku.

W Tungkuanie podróżnicy czuli się pewnie, nawet w nocy. Nie jest to już miasto handlowe, lecz placówka wojskowa, zajęta nie czasowo, ale na stałe przez stacjonujące tam wojska mandzurskie, wyborowe oddziały armii chińskiej. Może Kin Fo ma zamiar wypocząć tu kilka dni? Może zatrzyma się w jakimś przyzwoitym hotelu z dobrym pokojem, dobrą kuchnią; dobrym łóżkiem - co na pewno przypadłoby do gustu spółce Craig-Fry, a tym bardziej Sunowi!

Cóż, kiedy ten niezdara popełnił nieostrożność - co kosztowało go spory kawałek warkocza - i przy odprawie celnej podał zamiast zmyślnego prawdziwe nazwisko swego pana. Zapomniał, że już

nie u Kin Fo ma zaszczyt służyć, lecz u pana Ki Nana. Pan jego wpadł w taką wściekłość, że natychmiast opuścił miasto. Skutki ujawnienia nazwiska nie dały na siebie czekać. Słynny Kin Fo przybył do Tungkuanu! Wszyscy zapragnęli ujrzeć tego niezwykłego człowieka, "którego jedynym i wyłącznym pragnieniem było doczekać setnego roku życia"!

Rozdrażniony podróżnik ze swą ochroną i sługą ledwie miał czas umknąć przed zbiorowiskiem gapiów, deptających mu po piętach. Pieszo tym razem — pieszo! — wdrapał się na skarpę Żółtej Rzeki i szedł tak aż do chwili kompletnego wyczerpania, własnego i towarzyszy. Zatrzymał się w jakiejś mieścinie, gdzie incognito zapewniało mu kilka godzin spokoju.

Sun, całkowicie zdruzgotany, nie śmiał powiedzieć ani słowa. Teraz on z kolei, z tym zabawnym mysim ogonkiem, jaki mu pozostał, stał się obiektem bardzo nieprzyjemnych żarcików! Gawiedź biegła za nim, zasypując go tysiącem najdziwaczniejszych okrzyków.

Toteż chciał jak najprędzej przybyć. Ale dokąd, skoro jego pan -jak to sam powiedział do Williama J. Bidulpha - zamierzał iść i wciąż szedł przed siebie?

Tym razem o dwadzieścia li od Tungkuanu, w skromnej mieścinie, gdzie Kin Fo znalazł schronienie, brakło koni i osłów, wózków i lektyk. Nie było innej rady, jak albo zostać tam, albo kontynuować podróż na -piechotę. Nie poprawiło to samopoczucia uczniowi filozofa Wanga, który niezbyt filozoficznie ustosunkował się do tej sytuacji. Przeklinał wszystkich, a powinien był mieć pretensje tylko do siebie. Ach, jakże żałował teraz czasów, kiedy po prostu żył! Jeżeli, aby docenić szczęście, należało zaznać trosk, trudów i cierpień, jak mu to przepowiedział Wang, poznał je teraz, i to dogłębnie!

Poza tym w swej wędrówce widział na własne oczy ludzi bez grosza, a jednak szczęśliwych! Miał okazję zaobserwować po drodze różne formy szczęścia, jakiego dostarcza praca radośnie wykonywana.

Tu rolnicy pochyleni nad zagonami; tam robotnicy śpiewający przy pracy. Czy to nie właśnie brak pracy był powodem braku pragnień, a co za tym idzie, szczęścia na tym padole? Ach, lekcja była wystarczająca! Tak przynajmniej uważał! Nie, przyjacielu Kin Fo, to jeszcze nie wszystko!

Tymczasem po wielu poszukiwaniach w miasteczku, pukaniu do każdych drzwi, Craig i Fry zdobyli wehikuł, ale jeden jedyny! Mógł on przewieźć tylko jedną osobę, i - co bardzo ważne - brakowało mu siły pociągowej.

Były to taczki, być może wynalezione tutaj jeszcze przez starożytnych wynalazców prochu, pisma, busoli i latawców. Tylko że w Chinach koło takiego pojazdu, o dosyć dużej średnicy, umieszczone jest nie na przodzie wózka, lecz w środku, a górna jego część wystaje nad pudło pojazdu, jak koło główne niektórych parowców. Pudło więc przedzielone jest wzdłuż swej osi na dwie części: w jednej z nich sadowi się podróżny, druga przeznaczona jest na bagaże.

Wehikuł ten jest i może być poruszany tylko przez człowieka, który nie ciągnie pojazdu, lecz popycha go przed sobą. Znajduje się więc za pasażerem i nie zasłania mu widoku, niczym woźnica angielskiego kabrioletu. Kiedy wiatr jest sprzyjający, to znaczy gdy dmucha z tyłu, popychający wykorzystuje tę siłę naturalną, która go nic nie kosztuje; osadza na pudle mały maszt, wciąga kwadratowy żagiel i przy silniejszym wietrze zamiast popychać taczki, sam jest przez nie ciągnięty - często szybciej, niżby sobie tego życzył.

Zakupiono wehikuł z całym wyposażeniem. Kin Fo zajął w nim miejsce. Wiatr był sprzyjający, wciągnięto zatem żagiel.

- Dalejże, Sun! - zawołał Kin Fo.

Sun miał właśnie zamiar wyciągnąć się w drugiej przegrodzie pudła.

- Pchaj! - krzyknął Kin Fo tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Panie... kiedy ja... kiedy mnie... - odpowiedział Sun, któremu nogi z góry zaczęły drżeć jak u przemęczonego konia.

- Miej pretensje tylko do siebie, swojego języka i głupoty!

- No, Sun, prędej! - zachęcili go Craig i Fry.

- Pchaj! - powtórzył Kin Fo, patrząc wymownie na resztki warkocza biedaka. - Pchaj, bałwanie, i nie próbuj się nawet opierać, bo inaczej...

Wskazujący i środkowy palec Kin Fo, złożone w kształt nożyczek, miały taką wymowę, że Sun zarzucił szelki na ramiona i ujął uchwyty w obie ręce. Craig i Fry ustawili się po bokach i z pomocą wiatru karawana ruszyła truchcikiem.

Trudno opisać głuchą i bezsilną wściekłość Suna, który przejął obowiązki konia! Craig i Fry zgodzili się go luzować.. Na szczęście południowy wiatr stale przychodził im z pomocą i wykonywał za nich trzy czwarte roboty. Taczki, dzięki umieszczeniu koła w środku, utrzymywały się w równowadze, toteż praca pchającego sprowadzała się do zajęcia, jakiemu oddaje się człowiek przy sterze na statku: musiał jedynie utrzymywać dobry kierunek.

W tym to więc pojeździe północne prowincje Chin zobaczyły Kin Fo: idącego, jeżeli chciał rozprostować nogi, leżącego, gdy pragnął wypocząć.

Kin Fo, ominąwszy miasta Huaicing i Kaifeng, pojechał brzegiem Żółtej Rzeki w górę słynnego Kanału Cesarskiego, który przed dwudziestu zaledwie lata tworzył piękną splawną drogę na przestrzeni kilkuset mil: od Hangzou - krainy herbaty, aż do Pekinu.

Następnie nasz bohater przez miasta Cinan i Hecien zawędrował do prowincji Czyli, gdzie leży Pekin, czterokrotna stolica Niebiańskiego Cesarstwa.

Potem minął Tiencin broniony przez otaczające go szanie i dwa forty - wielkie, czterystutysięczne miasto; jego rozległy port, utworzony z połączenia rzeki Pajhe i Kanału Cesarskiego, importując wyroby bawełniane z Manchesteru, wełnę, miedź, żelazo, zapalki niemieckie, drzewo sandałowe itd., a eksportując jujubę, płatki kwiatu lotosu, tytoń itd., dokonuje transakcji na łączną sumę stu siedemdziesięciu milionów. Kin Fo nie myślał o zwiedzeniu w tym interesującym mieście sławnej pagody Mąk Piekielnych; nie przespacerował się zabawnymi uliczkami Lampionów i Staroci na wschodnim przedmieściu, nie zjadł obiadu w gospodzie "Zgoda i Przyjaźń" prowadzonej przez mużłamanina Liu Laoci, którego wina cieszą się wielką sławą, cokolwiek mógłby o tym pomyśleć Mahomet; nie złożył swej wielkiej czerwonej karty wizytowej - i słusznie - w pałacu Li Hungczanga, namiestnika prowincji od roku 1870, członka rady prywatnej, czyli Rady Cesarskiej.

Nie! Kin Fo, ciągle wieziony na taczkach, Sun nadal je pchający, przejechali przez nabrzeże z piramidami worków soli, minęli przedmieścia, koncesje angielską i amerykańską, pole wyścigowe, łąny jęczmienia, sezamu, sorgo, winnice, ogrody warzywne pełne jarzyn i owoców, równiny, skąd tysiącami uciekały zające, kuropatwy i przepiórki przed polującymi na nie sokołami i kobuzami. Wszyscy czterej posuwali się długą na ponad sto kilometrów brukowaną drogą, prowadzącą do Pekinu wśród drzew o różnorodnych zapachach i wielkiej trzciny rzecznej, i tak wkroczyli do Tungzou, cali i zdrowi - Kin Fo wciąż wart dwieście tysięcy dolarów, Craig-Fry równie wypoczęci jak na początku podróży, a Sun zadyszany, kulejący, utrudzony i z resztką warkocza na czubku głowy.

Był już 19 czerwca. Termin naznaczony Wangowi upływa dopiero za siedem dni!

Gdzie jest Wang?

# ROZDZIAŁ 13

## W KTÓRYM USŁYSZYMY SŁYNNĄ PIEŚŃ "PIĘĆ STRAŻY STULATKA"

- Panowie - rzekł Kin Fo do swych gwardzistów, gdy taczki zatrzymały się u rogatek Tungczou - jesteście zaledwie cztery li od Pekinu i mam zamiar zatrzymać się tutaj, dopóki umowa między Wangiem a mną nie straci ważności. W czterystutysięcznym mieście niełatwo będzie mnie poznać, o ile Sun nie zapomni, że jego pan, skromny kupiec z prowincji Szensi, nazywa się Ki Nan.

Nie, oczywiście, Sun nie zapomni! Z powodu swego gapiostwa musiał przez tydzień spełniać rolę konia i ma nadzieję, że pan Kin Fo...

- Ki... - poprawił go Craig.

- Nan! - dokończył Fry.

...przywróci go do zwykłych zajęć. A tymczasem, ponieważ jest ogromnie utrudzony, prosiłby pana Kin Fo...

- Ki... - zaczął Craig.

- Nana! - powtórzył Fry.

...o pozwolenie przespania się bez przerwy przez czterdzieści osiem godzin!

- Tydzień nawet, jeżeli chcesz! - odparł Kin Fo. - Przynajmniej będę miał pewność, że śpiąc, nie będziesz gadał głupstw!

Kin Fo wraz z towarzyszami zajął się wyszukaniem przyzwoitego hotelu, o co w Tungczou nie było trudno. Prawdę powiedziawszy, to rozległe miasto jest ogromnym przedmieściem Pekinu. Całą brukowaną drogę łączącą je ze stolicą obsiadły domy, wille, folwarki, grobowce, małe pagody, pełne zieleni zakątki, a panuje tam nieustający ruch kołowy, konny i pieszy.

Kin Fo znał miasto i kazał się zaprowadzić do Świątyni Oświeconych Władców. Jest to po prostu klasztor służący również jako zajazd, gdzie podróżni mogą dosyć wygodnie mieszkać.

Kin Fo, Fry i Craig rozlokowali się tam natychmiast - agenci w pokoju sąsiadującym z pokojem ich cennego klienta. Sun natomiast zniknął: położył się spać w przeznaczonym mu kącie i więcej go nie ujrano.

W godzinę później Kin Fo i jego przybocznicy opuścili pokoje, zjedli z apetytem obiad i zaczęli się zastanawiać, co teraz robić.

- Przede wszystkim - orzekli Craig-Fry - trzeba przeczytać "Gazetę Stołeczną", czy nie ma tam czegoś, co nas dotyczy.

- Słusznie - odpowiedział Kin Fo. - Może dowiemy się, co się stało z Wangiem.

Wyszli więc z hotelu. Agenci przezornie zajęli miejsca po bokach klienta, lustrując przechodniów i nie pozwalając nikomu się zbliżyć. Wąskimi uliczkami miasta doszli do nabrzeża. Zaraz kupili "Gazetę Stołeczną" i przeczytali ją chciwie.

Nic. Tylko obietnica nagrody (dwa tysiące dolarów lub tysiąc trzysta taelów) za powiadomienie Williama J. Bidulpha o obecnym miejscu pobytu pana Wanga z Szanghaju.

- To znaczy - skomentował Kin Fo - że się nie pojawił!

- I nie czytał ogłoszenia - dodał Craig.

- I musi się trzymać brzmienia umowy - dorzucił Fry.

- Ale gdzież on może być? - zawołał Kin Fo.

- A czy w ostatnich dniach - rzekli Craig-Fry - czuje się pan bardziej zagrożony?

- Oczywiście - odparł Kin Fo. - Jeżeli Wang nie wie o zmianach, jakie zaszły w moim położeniu,



a to wydaje się prawdopodobne, nie będzie mógł uniknąć konieczności dotrzymania obietnicy. Jutro więc, pojutrze czy za trzy dni będę bardziej zagrożony niż dzisiaj, a za sześć dni jeszcze bardziej!

- A gdy termin wygaśnie?...

- Wtedy już nie będą się miał czego obawiać.

- A zatem - odparli Craig-Fry - aby uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa w ciągu tych sześciu dni, powinien pan zastosować jeden z trzech środków.

- Jaki jest pierwszy?

- Wrócić do hotelu, zamknąć się w swym pokoju i przeczekać, aż termin wygaśnie - odpowiedział Craig.

- Drugi środek?

- Kazać się aresztować jako przestępca - zabrał głos Fry - i dać się *zamknąć* w bezpiecznej celi więzienia w Tungczou!

- A trzeci środek?

- Udać nieboszczyka - odpowiedzieli zgodnie Craig-Fry - i zmartwychwstać, gdy będzie już po wszystkim.

- Nie znacie Wanga! — zawołał Kin Fo. — Wang potrafiłby znaleźć mnie i w hotelu, i w więzieniu, i w grobie! Jeżeli nie zabił mnie dotychczas, to dlatego, że nie chciał, że wolał, bym się pobawił lub pomęczył czekaniem. Kto wie, jakimi motywami się powoduje. Ja w każdym razie wolę zaczekać na wolności.

- No to czekajmy!... A jednak... - bąknął Craig.

- Wydaje mi się, że... - dorzucił Fry.

- Panowie - rzekł suchym tonem Kin Fo - zrobię, co uznam za stosowne. Ostatecznie, jeżeli umrę przed 25 czerwca, ile straci towarzystwo?

- Ależ... - przerazili się Craig-Fry - dwieście tysięcy dolarów! Dwieście tysięcy dolarów, które trzeba będzie zapłacić pańskim spadkobiercom!

- A ja stracę cały majątek i na dodatek życie! Jestem więc chyba bardziej zainteresowany w tej sprawie!

- Słusznie!

- Święta prawda!

- Czuwajcie więc nade mną najlepiej, jak potraficie, ale ja robił będę to, co mi się podoba!

Na to nie było odpowiedzi.

Craig-Fry musieli się więc ograniczyć do wzmożenia opieki nad klientem i zdwojenia ostrożności. Zdawali sobie jednak sprawę, że powaga sytuacji rośnie z dnia na dzień.

Tungczou to jedno z najstarszych miast Niebiańskiego Cesarstwa. Położone jest na skanalizowanej odnodze Pajhe, u ujścia innego kanału, który łączy je z Pekinem, a skupia się w nim ogromny ruch handlowy. Na jego przedmieściach panuje nadzwyczajne ożywienie. To podniecenie uderzyło jeszcze bardziej Kin Fo i jego towarzyszy, gdy doszli do wybrzeża, gdzie cumują sampany i dżonki handlowe.

Craig i Fry po dokładnym rozważeniu sytuacji doszli do wniosku, że pewniej będzie znaleźć się w dużym tłumie. Śmierć ich klienta miała być na pozór samobójcza. List, który by przy nim znaleziono, nie pozostawiałby co do tego żadnych wątpliwości. Wang mógł więc zabić go tylko w szczególnych okolicznościach, a takowe nie nadarzą się na uczęszczanych ulicach lub placu miejskim. Toteż obrońcy Kin Fo nie musieli się obawiać bezpośredniego ataku. Należało tylko upewnić się, czy dawny tajping, rozwinięty genialną zręcznością, nie szedł ich śladami, odkąd opuścili Szanghaj. Nic więc nie robili, tylko przyglądali się przechodniom.

Naraz padło obok nich nazwisko, na które szybko nadstawili ucha.

- Kin Fo! Kin Fo! - krzyczały podskakując i klaszcząc w ręce dzieci chińskie, znajdujące się w tłumie.

Rozpoznano więc Kin Fo i witano go jak zwykle?

Bohater mimo woli zatrzymał się. Craig-Fry stali, gotowi w razie potrzeby osłonić go szansem ze swych ciał.

Lecz te krzyki nie do Kin Fo były skierowane. Nikt chyba nie podejrzewał, że można go tu spotkać. Nie poruszył się zatem, tylko czekał, ciekaw przyczyny, dla jakiej wypowiedziano jego nazwisko.

Grupa mężczyzn, kobiet i dzieci otoczyła wędrownego śpiewaka, widocznie bardzo lubianego przez uliczną publiczność. Wołano, tupano, oklaskiwano go z góry. Śpiewak stwierdziwszy, że audytorium jest już wystarczające, wyjął plik afiszy zdobnych w kolorowe rysunki i donośnym głosem zawołał: "Pięć straży Stulatka"!

Była to owa sławna pieśń obiegająca Niebiańskie Cesarstwo.

Craig-Fry chcieli wyprowadzić z tłumy klienta, lecz tym razem Kin Fo uparł się, że zostanie. Nikt go tu nie znał. Nigdy nie słyszał pieśni opiewającej jego życie i czyny. Z przyjemnością jej posłucha.

Śpiewak tak zaczął:

"O pierwszej straży księżyc oświetla spiczasty dach domu w Szanghaju. Kin Fo jest młody. Ma dwadzieścia lat. Przypomina wierzbę usianą drobnymi, zielonymi się listkami."

"O drugiej straży księżyc oświetla ścianę wschodnią bogatego jamenu. Kin Fo ma czterdzieści lat. Jego dziesięć tysięcy interesów wyśmienicie prosperuje. Sąsiedzi go wychwalają."

Śpiewak zmieniał wyraz twarzy i przy każdej zwrotce zdawał się coraz starszy. Zasypywano go oklaskami. A on ciągnął dalej:

"O trzeciej straży księżyc oświetla przestrzeń. Kin Fo ma sześćdziesiąt lat. Po zielonych listkach lata, żółte chryzantemy jesieni."

"O czwartej straży księżyc zachodzi. Kin Fo ma osiemdziesiąt lat. Jego ciało jest pomarszczone jak krewetka wrzucona do wrzącej wody. Gaśnie, gaśnie razem z gwiazdą nocy!"

"O piątej straży koguty witają rodzący się dzień. Kin Fo ma sto lat. Umiera, jego najgorętsze pragnienie spełniło się, ale Jenwang z pogardą odmawia przyjęcia go. Jenwang nie lubi Judzi tak starych, którzy plotkują na jego dworze. Stary Kin Fo nie może nigdzie odpocząć i błąka się przez całą wieczność!"

Tłum oklaskuje śpiewaka, a on sprzedaje setkami swoją pieśń po trzy sapeki egzemplarz.

Dlaczego Kin Fo nie miałby także kupić? Wyjął garść drobnych monet z kieszeni i trzymając je w dłoni, wyciągnął rękę poprzez pierwsze rzędy tłumy. Nagle jego dłoń otworzyła się, a monety posypały się na bruk. Naprzeciw niego stał mężczyzna i ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Ach! - nie mógł się powstrzymać od okrzyku, pytającego i pełnego zdumienia jednocześnie.

Craig-Fry w momencie doskoczyli do niego: wyobrażali już sobie, że ktoś go rozpoznał, przestraszył, uderzył, może zabił!

- Wang! - zawołał Kin Fo.

- Wang! - powtórzyli Craig-Fry.

Istotnie, był *to* Wang we własnej osobie! Dostrzegł swego dawnego ucznia, ale zamiast rzucić się na niego, odepchnął stojących obok ludzi i zaczął uciekać na łeb, na szyję!

Kin Fo nie wahał się. Pragnął nareszcie skończyć z tą nieznośną sytuacją i rzucił się w pościg za Wangiem, eskortowany przez Fry-Craiga, którzy uważali, aby go nie wyprzedzić ani nie zostać w tyle.

Oni również poznali nieuchwytnego Wanga i zrozumieli ze zdumienia, jakie okazał, że tak samo nie spodziewał się ujrzeć Kin Fo, jak Kin Fo nie spodziewał się znaleźć go tutaj.

Ale dlaczego Wang uciekał? Nie pojmowali tego, lecz faktem było, że uciekał, jakby mu cała policja Niebiańskiego Cesarstwa następowała na pięty.

Zaczął się szaleńczy pościg.

- Nie jestem zrujnowany! Wang, Wang! Nie jestem zrujnowany! - krzyczał Kin Fo.

- Bogaty! Bogaty! - wtórowali mu Fry-Craig.

Lecz Wanga dzieliła od nich zbyt duża odległość, by mógł usłyszeć słowa, które powinny go były zatrzymać. Przebiegł nabrzeże, wzdłuż kanału i zbliżał się do przedmieścia zachodniego.

Trzej ścigający pędzili za nim jak na skrzydłach, ale nie mogli go dogonić. Przeciwnie, uciekający oddalał się coraz bardziej.

Z pół tuzina Chińczyków dołączyło do Kin Fo, nie mówiąc o kilku tipao, którzy człowieka tak dobrze umykającego wzięli za przestępcę.

Ciekawy widok przedstawiała ta grupa: wszyscy zadyszani, wołali, wrzeszczeli wniebogłosy, a dołączali do nich po drodze liczni ochotnicy. Zgromadzeni dokoła śpiewaka doskonale słyszeli, jak Kin Fo wymówił nazwisko Wanga. Na szczęście filozof nie odwzajemnił mu się, inaczej całe miasto byłoby się rzuciło za tak sławnym człowiekiem. Lecz nazwisko Wanga, naraz wyjawione, wystarczyło. Wang! Ależ to owa zagadkowa osoba, za której odnalezienie wyznaczono olbrzymią nagrodę. Wiedzano o tym. W ten sposób Kin Fo biegł za swoimi ośmiuset tysiącami dolarów, Craig-Fry za dwustu tysiącami ubezpieczenia, inni zaś za dwoma tysiącami obiecanej nagrody, a każdy się zgodzi, że wszyscy mieli powód, aby nie oszczędzać nóg.

- Wang! Wang! Jestem bogatszy niż dawniej! - wołał ciągle Kin Fo, o ile tylko pozwalał mu na to szybki bieg.

- Nie zrujnowany! Nie zrujnowany! - powtarzali Craig-Fry.

- Stać! Stać! - krzyczał ciągle rosnący tłum ścigających.

Wang nic nie słyszał. Z łokciami przyciśniętymi do boków nie chciał ani się męczyć odpowiadaniem, ani tracić na szybkości, odwracając głowę.

Minięto już przedmieście. Wang rzucił się na brukowaną drogę wzdłuż kanału. Na tej drodze, akurat prawie pustej, mógł biec swobodnie. Toteż ucieczka jego przybrała jeszcze na szybkości, ale oczywiście wzmógł się także zapal ścigających.

Ten szaleńczy pościg trwał prawie dwadzieścia minut. Nic nie pozwalało przewidzieć, jaki będzie jego wynik. Zdawało się jednakże, iż uciekinier zaczyna nieco słabnąć. Dystans utrzymujący się dotychczas pomiędzy nim a goniącymi zmniejszył się. Wang, świadom tego, zboczył za zielonym trawnikiem pagody, po prawej stronie drogi.

- Dziesięć tysięcy taelów temu, kto go zatrzyma! — krzyknął Kin Fo.

- Dziesięć tysięcy taelów! - powtórzyli Craig-Fry.

- Ja! Ja! Ja! - ryknęło czoło grupy.

Wszyscy skręcili śladami Wanga i okrążyli mur pagody. Wang znowu się ukazał. Biegł po wąskiej poprzecznej ścieżce, wzdłuż kanału nawadniającego, i aby zmylić ślady, znów skręcił i znalazł się z powrotem na brukowanej drodze.

Ale teraz było już widoczne, że się zmęczył, gdyż parokrotnie odwrócił głowę. Natomiast Kin Fo, Craig i Fry nie osłabli. Biegli, pędzili i ani jeden z szybkich kandydatów do nagrody nie potrafił ich przegonić nawet o krok.

Zbliżało się więc zakończenie turnieju. Było ono już tylko kwestią czasu, i to czasu względnie krótkiego paru minut najwyżej.

Wszyscy - Wang, Kin Fo i jego towarzysze - dobiegli do miejsca, gdzie główna droga prowadzi przez rzekę po słynnym moście Palicio.

Osiemnaście lat wcześniej, 21 września 1860 roku, nie mieliby swobody ruchów w tym punkcie prowincji Czyli. Szosa zatłoczona była wówczas uciekinierami innego rodzaju. Armia generała Sunggerinczina, stryja cesarza, odepchnięta przez francuskie bataliony, zatrzymała się na moście Palicio - wspaniałym dziele sztuki z balustradą z białego marmuru, zdobną podwójnym szeregiem gigantycznych lwów. I tu właśnie Tatarów mandżurskich, tak niezwykle dzielnych wyznawców fatalizmu, zmiażdżyły kule europejskich armat. Ale most, którego rzeźby nosiły jeszcze ślady dawnej bitwy, teraz był wolny.

Wang, słabnąc, rzucił się na szosę. Kin Fo i inni z największym wysiłkiem zbliżyli się do niego. Niebawem dzieliło ich tylko dwadzieścia kroków, potem piętnaście, potem dziesięć.

Nie miały już sensu próby zatrzymania Wanga zbędnymi słowami, których nie mógł albo nie chciał słyszeć. Trzeba go było dogonić, schwytać, w razie potrzeby skępować... Wyjaśnienia nastąpią później.

Wang zrozumiał, że go dogonią, i jakby przez jakiś niezrozumiały upór lękał się spotkania twarzą w twarz ze swym dawnym uczniem, wolał zaryzykować życie, by umknąć przed nim.

Jednym skokiem znalazł się na balustradzie mostu i rzucił się do Pajhe.

Kin Fo zatrzymał się na moment i zawołał:

—Wang! Wang!

Po czym, nabierając rozpędu, skoczył do rzeki, krzycząc:

- Dostanę go żywym!

- Craig? - spytał Fry.

- Fry? - spytał Craig.

- Dwieście tysięcy dolarów w wodzie!

I obaj, przeskoczywszy balustradę, pospieszyli na pomoc rujnującemu ich firmę klientowi.

Niektórzy z ochotników poszli w ich ślady. Wyglądało to, jakby szereg kłownów skakał z trampoliny.

Ale cały ten zapał okazał się daremny. Kin Fo, Fry-Craig i chciwi nagrody przeszukali Pajhe, Wanga nie udało im się jednak odnaleźć. Bez wątpienia nieszczęsnego filozofa uniósł prąd.

Czy Wang, rzucając się do rzeki, chciał tylko uciec przed pościgiem, czy z jakichś innych tajemniczych przyczyn postanowił skończyć ze sobą? Nikt nie umiałby na to odpowiedzieć.

W dwie godziny później Kin Fo, Craig i Fry, rozczarowani, ale dobrze wysuszeni i wypoczęci, oraz Sun, klnący na czym świat stoi, że go wyrwano z głębokiego snu, wyruszyli w drogę do Pekinu.

# ROZDZIAŁ 14

## W KTÓRYM CZYTELNIK BEZ TRUDU PRZEMIERZY CZTERY MIASTA W JEDNYM

Czyli, najbardziej na północ wysunięta spośród osiemnastu prowincji chińskich, dzieli się na dziewięć okręgów. Stolicą jednego z tych okręgów jest miasto Szuntien, to znaczy „Powolne Niebiosom”. Tym miastem jest Pekin.

Niech sobie czytelnik spróbuje wyobrazić chińską łamigłówkę o powierzchni sześciu tysięcy hektarów i obwodzie trzydziestu kilometrów, której nierówne części powinny ułożyć się w idealny prostokąt - taki jest właśnie ów tajemniczy Chanbałyk, ciekawie opisany przez Marca Polo z końcem XIII wieku, taka jest stolica Niebiańskiego Cesarstwa.

W rzeczywistości Pekin zamyka w swych murach dwa odrębne miasta, przedzielone szerokim bulwarem i ufortyfikowanym murem: jedno, w kształcie prostokąta, to miasto chińskie; drugie - omal doskonały kwadrat - to miasto tatarskie; to ostatnie zawiera w sobie jeszcze dwa miasta: Miasto Cesarskie - Huangczeng i Cycinczeng - Miasto Purpurowe lub Zakazane.

Ongi zespół ten liczył ponad dwa miliony mieszkańców. Lecz emigracja, spowodowana skrajną nędzą, zredukowała tę liczbę do miliona najwyżej. Są to Tatarzy i Chińczycy, trzeba jednak dodać do nich około dziesięciu tysięcy muzułmanów oraz pewną liczbę Mongołów i Tybetań-czyków, stanowiących ludność napływową.

Miasta te, położone jedno obok drugiego, mają na planie wygląd olbrzymiej szafy, której bufet tworzy miasto chińskie, a kredens - miasto tatarskie.

Mur warowny o długości ponad trzydziestu kilometrów, wysoki i szeroki na ponad czterdzieści stóp, pokryty z zewnątrz ceglami, broniony przez rozstawione co dwieście metrów wysunięte wieże, otacza tatarskie miasto przepiękną brukowaną promenadą i styka się przy czterech ogromnych bastionach narożnych, gdzie mieszczą się posterunki straży.

Widać, że cesarz, Syn Nieba, jest dobrze strzeżony.

W centrum tatarskiego miasta, w Mieście Cesarskim o powierzchni sześciuset sześćdziesięciu hektarów, z ośmioma bramami, mieści się: wysokie na trzysta stóp Wzgórze Węglowe - najwyższy punkt stolicy; wspaniałe jezioro z marmurowym mostem, zwane Morzem Środka; dwa klasztory buddyjskie; Pałac Egzaminów; zbudowana na półwyspie Świątynia Białych Obłoków, która wydaje się zawieszona nad przejrzystymi wodami jeziora; Pajtang - siedziba misjonarzy katolickich; wspaniała pagoda cesarska z dachem z dzwiecznych dzwoneczków i lazurowych dachówek; wielka świątynia wzniesiona na cześć przodków dynastii rządzącej; Świątynia Duchów, Świątynia Bóstwa Wiatrów, Świątynia Bóstwa Gromów, świątynia wynalazcy jedwabiu, świątynia Pana Nieba, pięć Pawilonów Smoka, klasztor Wiecznego Odpoczynku itd. .

I oto w centrum tego czworoboku kryje się Miasto Zakazane o powierzchni blisko osiemdziesięciu hektarów, opasane fosą, którą przecina siedem marmurowych mostów. Rzecz oczywista, że ponieważ panującą jest dynastia mandżurska, pierwsze z tych trzech miast zamieszkuje głównie ludność tejże rasy. Chińczycy zepchnięci zostali na zewnątrz, do niższej części szafy, do miasta dobudowanego.

Do wnętrza tego zakazanego miasta, otoczonego murami z czerwonej cegły zwieńczonymi galeryjkami z dachówek powleczonych złotą farbą, wchodzi się przez Bramę Południową, która otwiera się tylko przed cesarzem. Tam wznosi się świątynia przodków dynastii tatarskiej, pokryta podwójnym dachem z różnokolorowych dachówek; świątynie Sze i Ci poświęcone duchom ziemskim

i niebieskim; Pałac Najwyższej Harmonii przeznaczony do wystawnych uroczystości oficjalnych; pałac Środkowej Harmonii, gdzie Syn Nieba odpoczywa przed i po audiencjach; Pałac Zachowania Harmonii, gdzie odbywają się wystawne uczyty; pawilon, gdzie obraduje Rada Cesarska pod przewodnictwem księcia Kunga, ministra spraw zagranicznych, stryja po mieczu ostatniego władcy; Pawilon Słonecznego Blasku, gdzie cesarz raz w roku zgłębia starożytne księgi; pawilon, gdzie składa się ofiary na cześć Konfucjusza; biblioteka cesarska; kancelaria dziejopisów, gdzie przechowuje się miedziane i drewniane plansze do drukowania książek; warsztaty, w których szyje się garderobę dworską; Pałac Czystości Niebiańskiej, miejsce rozważania spraw rodzinnych; Pałac Ziemijskiego Spokoju, gdzie mieszka młoda cesarzowa; Pałac Medytacji, do którego chroni się monarcha, gdy jest chory; trzy pałace, gdzie wychowywane są dzieci cesarskie; Pawilon Przodków; cztery pałace przeznaczone dla wdowy i konkubin Sienfenga, zmarłego w roku 1861; Pałac Wiecznej Harmonii - rezydencja żon cesarzy; pałac Wzniosłej Łaski - miejsce oficjalnych zebrań dam dworu; Pałac Powszechnego Spokoju - szczególnie nazwa jak na szkołę dzieci wyższych oficerów; Pałac Postu; Pałac Nefrytowej Czystości zamieszkały przez książęta krwi; świątynia opiekuna miasta; Biała Pagoda o architekturze tybetańskiej; magazyn koronny; intendentura dworu; budynki mieszkalne eunuchów dworskich których jest nie mniej niż pięć tysięcy w Mieście Purpurowym; wreszcie inne pałace w łącznej liczbie czterdziestu ośmiu, zamknięte w cesarskich murach, nie licząc Cykuang Ke - Pawilonu Szkarłatnych Promieni, położonego na brzegu jeziora w Mieście Cesarskim, gdzie 19 czerwca 1873 roku dopuszczono przed oblicze cesarskie pięciu posłów: Stanów Zjednoczonych, Rosji, Holandii, Anglii i Niemiec.

Jakie antyczne miasto posiadało kiedy taką ilość budynków, o tak różnorodnych kształtach i tak pełnych cennych przedmiotów? Jakież miasto, a nawet stolica europejska, mogłaby pochwalić się takim spisem?

A do tego wszystkiego należy jeszcze dodać Jüan Ming Jüan — cesarską rezydencję letnią, znajdującą się pięć mil pod Pekinem. Po zniszczeniu w roku 1860, dziś w jej ruinach zaledwie można odnaleźć ogrody Jasności Doskonałej i Jasności Spokojnej, Nefrytowe Źródło czy wzgórze Dziesięciu Tysiąch, ncy Lat Bezgranicznego Życia.

Dokoła Miasta Cesarskiego rozciąga się miasto tatarskie. Tu mieszczą się poselstwa francuskie, angielskie i rosyjskie, szpital Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego, misje katolickie Wschodu i Północy, dawne stajnie słoni, z których pozostał już tylko jeden, stuletni i ślepy na jedno oko. Tu wznosi się Wieża Bębnow z czerwonym dachem otoczonym zielonymi dachówkami, Świątynia Konfucjusza, klasztory i świątynie buddyjskie, starożytne Obserwatorium z grubą, kwadratową wieżą, jamen jezuitów, Akademia Cesarska, gdzie odbywają się egzaminy na uzyskanie stopni naukowych. Tu wznoszą się bramy Zachodnia i Wschodnia. Tu leżą jeziora: Morze Północne i Morze Środkowe, zasłane lotosami, zasilające kanał Miasta Cesarskiego. Tu widać pałace, gdzie rezydują książęta krwi, ministrowie wydatków, rytuału, armii, pracy i handlu, spraw zewnętrznych; a obok - Urząd Sprawozdawczy, Izba Astronomiczna, Akademia Medyczna. Wszystko to przemieszane ze sobą pośród ciasnych uliczek, pokrytych kurzem w lecie, błotnistych zimą, obsadzonych w przeważnej części nędznymi, niskimi domostwami, między którymi wznosi się jakiś budynek wysokiego dygnitarza, ocieniony pięknymi drzewami. A dalej na zatłoczonych ulicach widać bezpańskie psy, mongolskie wielbłądy objuczone węglem, palankiny z czterema lub ośmioma tragarzami - zależnie od rangi urzędnika, lektyki, pojazdy zaprzężone w muły, wózki, biedaków, którzy, według Choutzého, tworzą niezależny klan żebraków, sięgający siedemdziesięciu tysięcy; i na tych ulicach, pokrytych cuchnącym i czarnym błotem, poprzecinanych bajorami, gdzie nogi zapadają się po kolana, nierzadko zdarza się, że utopi się jakiś ślepy żebrak.

Pod wieloma względami chińska część Pekinu, której nazwa brzmi Wajczeng, czyli Miasto Zewnętrzne, przypomina miasto tatarskie, pod innymi jednak różni się od, niego.

Część południową zajmują dwie słynne świątynie: Świątynia Nieba i Świątynia Ziemi i Zboża, do nich trzeba dodać ołtarze: Bogini Jedwabników, Ziemi, Słońca, Księżyca, Duchów Nieba i Duchów Ziemi, stawy złotych rybek, Świątynię Źródła Dharmy, rynki, teatry itd.

Ten prostokąt przecina z północy na południe ważna arteria, zwana Wielką Aleją, prowadząca od Bramy Wiecznej Stałości na południu do Bramy Niebiańskiego Pokoju na północy. Prostopadle do niej biegnie inna arteria, dłuższa, a prowadzi ona od Bramy Szerokiego Kanału na wschodzie do Bramy Uroczystych Ceremonii na zachodzie. Nosi ona nazwę Czakua i właśnie o sto kroków od punktu jej przecięcia z Wielką Aleją mieszkała przyszła żona Kin Fo.

Pamiętamy, że w kilka dni po liście donoszącym jej o ruinie Kin Fo, młoda wdowa otrzymała drugi list, anulujący poprzedni i uwiadamiający, że przed upływem siódmego miesiąca "jej młodszy braciszek" powróci do niej.

Nie trzeba podkreślać, że począwszy od tego dnia, 17 maja, Liu liczyła dni i godziny. Ale Kin Fo nie dał więcej znaku życia podczas swej szaleńczej podróży, nie chcąc pod żadnym pretekstem podawać osobliwej marszruty. Liu napisała do Szanghaju. Listy jej pozostały bez odpowiedzi. Można więc sobie wyobrazić, jaki musiał być jej niepokój, gdy 19 czerwca nadal nie dostała żadnego listu.

Toteż w ciągu tych wszystkich długich dni kobieta nie opuszczała mieszkania przy ulicy Czakua. Czekala z niepokojem. Zgryźliwa Nan nie uprzyjemniała jej samotności. "Stara matka" zrobiła się bardziej zrzędna niż kiedykolwiek i sto razy w ciągu księżyca zasługiwała, by ją wyrzucić za drzwi.

Ale ileż nie kończących się i pełnych udręki godzin upłynie jeszcze, zanim Kin Fo przybędzie do Pekinu! Liu liczyła je, ale przez to stawały się jeszcze dłuższe!

O ile religia Lao jest najstarszą w Chinach, o ile doktryna Konfucjusza, powstała w tej samej epoce (około 500 lat przed narodzeniem Chrystusa), jest religią cesarstwa, uczonych i wysokich mandarynów, to buddyzm, czyli "doktryna fo", liczy najwięcej wiernych - prawie trzysta milionów na obszarze globu ziemskiego.

Buddyzm dzieli się na dwa odłamy: w jednym z nich kapłani przywdziewają szare szaty i czerwone nakrycia głowy, w drugim kapłani noszą miano lamów, a ubierają się na żółto.

Liu była wyznawczynią pierwszego odłamu. Kapłani często ją widywali w świątyni bogini Kuanjin. Tam składała śluby na intencję swego przyjaciela bijąc czołem o posadzkę i paliła wonne trociczki.

Tego dnia postanowiła raz jeszcze udać się do bogini Kuanjin i błagać ją goręcej niż zwykle. Przeczucie mówiło jej, że jakieś poważne niebezpieczeństwo zagraża temu, kogo oczekiwała z tak uzasadnioną niecierpliwością.

Liu zawołała więc "starą matkę" i kazała jej iść po lektykę na róg Wielkiej Alei. Nan, zgodnie ze swoim wstrętnym zwyczajem, wzruszyła ramionami i poszła wykonać otrzymane polecenie.

Młoda wdowa tymczasem, znalazłszy się sama w buduarze, spojrzała smutnie na niemy aparat, który nie przekazywał jej już głosu nieobecnego.

- Ach! - rzekła do siebie - niech wie przynajmniej, że nie przestałam myśleć o nim i niech usłyszy moje słowa, gdy przyjedzie.

I przycisnąwszy sprężynę wprawiającą w ruch wałek fonografu, Liu wymówiła głośno najczulsze słowa, jakie jej serce podyktowało.

Nan gwałtownym wejściem przerwała ten tkliwy monolog.

Lektyka czeka na panią, "która lepiej by zrobiła, gdyby siedziała . w domu!"

Liu nie słuchała. Pozwoliła "starej matce" wygadywać, co się jej spodoba, i wyszła, a usiadłszy

w lektyce, kazała się zanieść do świątyni.

Droga wiodła całkiem prosto. Trzeba było tylko skręcić na rogu Czakua i przejść Wielką Aleją aż do Bramy Niebiańskiego Pokoju.

Ale lektyka posuwała się z trudnością. O tej porze załatwiano jeszcze interesy i duży tłok panował w jednej z najruchliwszych dzielnic stolicy. Budy wędrownych kramarzy nadawały ulicy wygląd placu jarmarcznego z rozbrzmiewającym na nim tysiącem hałasów i okrzyków. Poza tym mówcy, uliczni bazarze, wróżbici, fotografowie, karykaturzyści nie zanadto liczący się z władzą mandaryńską, krzyczeli pod gołym niebem i włączali się w ogólny zgiełk. Tu przechodził uroczysty pogrzeb i wstrzymywał ruch; tam ślub, mniej może wesóły niż kondukt żałobny, lecz równie blokujący drogę. Tłum zgromadził się przed jamenem sędziego. Jakiś oskarżyciel uderzał w "gong skarg", domagając się interwencji sprawiedliwości. Na "kamieniu skazanych" klęczał przestępca, którego właśnie obito i którego pilnowali policjanci w mandzurskich czapkach z czerwonymi pomponami, z krótką piką i dwiema szablami w jednej pochwie. Trochę dalej kilku opierających się Chińczyków, związanych ze sobą warkoczami, prowadzono na posterunek. Jeszcze dalej jakiś biedak, z lewą ręką i prawą nogą uwięzionymi w otworach tych samych dyb, szedł kulejąc jak cudaczne zwierzę. To znów złodziej z głową uwięzioną w górnym otworze drewnianej klatki i pozostawiony miłosierdziu publicznemu; to znów inni, z dybami na karku, schyleni jak woły w jarzmie. Ci nieszczęśliwcy widocznie szukali najbardziej uczęszczanych miejsc w nadziei na lepszy zarobek, licząc na litość przechodniów kosztem żebraków wszelkiego rodzaju - jednorękich, kulawych, paralityków, szeregów ślepców prowadzonych przez jednookiego, i tysiąca odmian kalek prawdziwych i fałszywych, od jakich roją się miasta Państwa Kwitnącego.

Lektyka posuwała się więc powoli. Tłok był coraz większy, gdyż zbliżała się do zewnętrznego bulwaru. Przybyła w końcu jednak i zatrzymała się przy wartowni strzegącej bramy, obok świątyni bogini Kuanjin.

Liu wysiadła z lektyki, weszła do świątyni, najpierw uklękła, a potem padła na twarz przed posągiem bogini. Następnie podeszła do przyrządu noszącego nazwę młynka modlitewnego. Przypominał on motowidło: na koniec każdego z jego ośmiu ramion zatknięto skrawki papieru z wypisanymi modlitwami. Obok przyrządu bonza z powagą oczekiwał pobożnych, a zwłaszcza opłaty za pobożność.

Liu dała słudze Buddy kilka taelów na związane z kultem wydatki, po czym ujęła prawą dłońią rączkę młynka i nadała mu lekki ruch obrotowy, lewą dłoń przyciskając do serca. Młynek jednak nie dość szybko się obracał, aby modlitwa mogła być skuteczna.

- Prędeej! - powiedział bonza, zachęcając ją gestem.

Kobieta posłuchała go. Trwało to prawie kwadrans, po czym bonza stwierdził, że modły zostaną wysłuchane.

Liu pochyliła się znów przed posągiem bogini Kuanjin, wyszła ze świątyni i wsiadła do lektyki, by wrócić do domu.

Lecz tragarzy, w chwili gdy mieli skręcić w Wielką Aleję, zmuszono, by się spieszenie usunęli. Żołnierze brutalnie odsuwali przechodniów. Na rozkaz kupcy zamykali sklepy, a wyloty bocznych ulic pod strażą policjantów zasłonięto niebieskimi płachtami.

Liczny orszak zajmował część alei i hałaśliwie posuwał się naprzód. To cesarz Kuang S, którego imię oznacza "Promienne Dziedzictwo", wracał do swego tatarskiego miasta i otwierano już przed nim główną bramę.

Za przednią strażą postępował pluton włóczników ustawionych w dwa rzędy z pikami na ramieniu. Za nimi grupa oficerów wyższej rangi trzymała rozpięty żółty parasol z falbankami i ze



smokiem, który jest symbolem cesarza, jak feniks jest symbolem cesarzowej.

Następnie ukazał się palankin z podniesioną żółtą zasłoną z jedwabiu, niosło go szesnastu tragarzy w czerwonych strojach usianych białymi "rozetami" i w jedwabnych pikowanych kamizelkach. Książęta krwi i dygnitarze, na koniach w uprzęży z żółtego jedwabiu na znak wysokiego pochodzenia, eskortowali cesarski wehikuł.

W palankinie pólleżał Syn Nieba, kuzyn cesarza Tungczy i bratanek księcia Kunga. Za palankinem szli stajenni i zmiennicy tragarzy. Cały ten orszak wchłonęła brama ku zadowoleniu przechodniów, przekupniów i żebraków, którzy mogli wrócić do swoich spraw.

Lektyka Liu również zatem ruszyła w dalszą drogę i zatrzymała się przed bramą jej domu po dwugodzinnej nieobecności wdowy.

Ach! Jakąż niespodziankę zgotowała młodej kobiecie dobra bogini Kuanjin!

W chwili, gdy lektyka zatrzymała się, zakurzony wóz zaprzężony w dwa muły stanął przed bramą. Wysiadał z niego Kin Fo, a za nim Craig, Fry i Sun!...

- To ty! To ty! - zawołała Liu, nie wierząc własnym oczom.

- Droga młodsza siostrzyczko! - odpowiedział Kin Fo. - Chyba nie wątpiłaś w mój powrót!...

Liu nic nie powiedziała. Wzięła swego przyjaciela za rękę i zaprowadziła go do buduaru, gdzie stał mały fonograf, dyskretny powiernik jej zmartwień.

- Ani przez moment nie przestałam czekać na ciebie, drogie serce haftowane jedwabiem - odparła.

I założywszy wałek, nacisnęła sprężynę, która wprowadziła go w ruch.

Kin Fo usłyszał słodki głosik powtarzający słowa, jakie tkliwa Liu wypowiedziała przed kilku godzinami:

"Wróć, ukochany braciszku! Wróć do mnie! Niech nasze serca nie będą wciąż rozdzielone jak gwiazdy Wolarza i Tkaczki. Myślę bez przerwy o twoim powrocie..."

Aparat zamilkł na sekundę... Tylko na jedną sekundę. Po czym odezwał się, lecz całkiem innym, skrzeczącym głosem:

"Nie dość mieć panią, trzeba jeszcze będzie mieć i pana w domu! Niech ich oboje Jenwang zadusi!"

Ten drugi głos był łatwy do rozpoznania. To mówiła Nan. Nieznośna "stara matka" po wyjściu Liu dalej gderała, a fonograf cały czas funkcjonował i rejestrował - czego się wcale nie domyślała - jej nieostrożne słowa!

Służące i służący, unikajcie chlebobawców z fonografem!

Tego samego dnia Nan dostała wypowiedzenie: nie czekano z nim nawet do ostatnich dni piątego miesiąca.

# ROZDZIAŁ 15

## W KTÓRYM NIESPODZIANKA OCZEKUJE NA KIN FO, A MOŻE I NA CZYTELNIKA

Nic nie stało już na przeszkodzie, aby bogaty Kin Fo z Szanghaju pojął za żonę uroczą Liu z Pekinu. Sześć dni brakowało do terminu naznaczonego Wangowi na spełnienie obietnicy; ale nieszczęsny filozof życiem przypłacił swą niewytłumaczalną ucieczkę. Nie było się więc już czego obawiać. Ślub mógł się odbyć. Tak postanowiono i ustalono datę na dwudziesty piąty dzień czerwca, który miał być ostatnim dniem życia Kin Fo.

Młoda kobieta poznała wówczas całą prawdę. Dowiedziała się, przez jak różne przygody przeszedł ten, co za pierwszym razem nie chcąc uczynić ją nędzarką, a za drugim wdową, wracał do niej, gdy mógł nareszcie uczynić ją szczęśliwą.

Liu dowiedziawszy się o śmierci filozofa, nie mogła powstrzymać łez. Znała go i lubiła; on był pierwszym powiernikiem jej uczuć do Kin Fo.

- Biedny Wang! - westchnęła. - Będzie go nam bardzo brakowało na ślubie.

- O, tak! - odparł Kin Fo, który również żałował towarzysza swej młodości, przyjaciela od dwudziestu lat. - A jednak - dodał - on byłby mnie zabił, bo przysiągł, że to zrobi!

- Nie, nie! - odparła żywo Liu, potrząsając ładną główką. - Kto wie? Może dlatego znalazł śmierć w falach Pajhe, żeby nie spełnić tej strasznej obietnicy?

Niestety! Bardzo prawdopodobne było przypuszczenie, że Wang postanowił się utopić, aby uniknąć swego zobowiązania. Pod tym względem Kin Fo myślał tak samo jak narzeczona i w tych dwóch sercach obraz filozofa nie miał się nigdy zatrzeć.

Zbyteczne dodawać, że po katastrofie na moście Palicio gazety chińskie przestały drukować śmieszne ogłoszenia czcigodnego Williama J. Bidulpha i krępująca popularność Kin Fo zgasła równie szybko, jak się narodziła.

A co teraz zrobią ze sobą Craig i Fry? Powinni byli bronić interesów „Stulecia” do trzydziestego czerwca, to znaczy przez dziesięć dni jeszcze, ale, prawdę mówiąc, Kin Fo nie potrzebował już ich usług. Czy można było obawiać się zamachu Wanga na jego osobę? Nie, skoro Wang już nie żył. Czy mogli się lękać, że ich klient sam podniesie na siebie uzbrojoną dłoń? Oczywiście, że nie, Kin Fo pragnął teraz żyć, dobrze żyć i możliwie jak najdłużej. Bezustanna czujność Fry-Craiga nie miała już zatem w ogóle racji bytu.

Ale ostatecznie te dwa oryginały to byli bardzo przyzwoici ludzie. Choć ich oddanie odnosiło się jedynie do klienta "Stulecia", niemniej było prawdziwe i ofiarne. Kin Fo zaprosił ich więc na uroczystość zaślubin. Nie odmówili.

- Bogiem a prawdą - zauważył żartobliwie Fry - małżeństwo też czasem bywa samobójstwem!

- Zachowuje się swoje życie, by je oddać komu innemu! - odpowiedział z miłym uśmiechem Craig.

Zaraz następnego dnia zgryźliwą Nan zastąpiła w domu przy alei Czakua bardziej odpowiednia służba. Pani Liu Talou, ciotka narzeczonej, przyjechała, by aż do ceremonii ślubu pełnić rolę jej matki. Pani Liu Talou, żona mandaryna czwartej rangi, drugiej klasy z niebieską gałką, dawnego lektora cesarskiego i członka Akademii Hanlin, posiadała wszystkie zalety fizyczne i moralne, jakich wymagało wypełnienie tych ważnych obowiązków.

Kin Fo zamierzał opuścić Pekin zaraz po swym ślubie, nie należał bowiem do tych Niebiańczyków, którzy lubią się trzymać w sąsiedztwie dworu. Prawdziwie szczęśliwy mógł się czuć

jedynie w swym bogatym jamenie w Szanghaju razem z młodą żoną.

Musiał więc wyszukać tymczasowe mieszkanie i znalazł to, czego potrzebował. "Tian Fu Tang" - "Podwórzec Niebiańskiego Szczęścia", był to komfortowy hotel z restauracją, położony przy Bramie Niebiańskiego Spokoju, pomiędzy dwoma miastami: tatarskim i chińskim. Tam też ulokowani zostali Craig i Fry, którzy z przyzwyczajenia nie chcieli opuścić swego klienta. Sun natomiast podjął swą służbę stale narzekając, ale badał uważnie, czy nie ma w pobliżu jakiegoś niedyskretnego fonografu. Przygoda Nan nauczyła go pewnej ostrożności.

Kin Fo z przyjemnością spotkał w Pekinie dwóch przyjaciół z Kantonu: kupca Jin Panga i uczonego Hua. Poza tym znał w stolicy kilku urzędników i handlowców i wszyscy uważali za miły obowiązek uczestniczyć w tak doniosłej uroczystości.

Ten ongi zblazowany, obojętny na wszystko uczeń filozofa Wanga czuł się teraz naprawdę szczęśliwy! Dwa miesiące trosk, niepokojów, zmartwień, cały ten burzliwy okres jego egzystencji, wystarczająco nauczyły go cenić to, czym jest, czym powinno być, czym może być szczęście na ziemi. Tak, mądry filozof miał słuszość! Czemuż nie było go tutaj! Czemuż nie mógł przekonać się raz jeszcze o doskonałości swej doktryny!

Kin Fo spędzał z przyszłą żoną cały czas wolny od przygotowań do ceremonii. Liu była szczęśliwa, gdy znajdował się przy niej. Po co ogołacał najbogatsze sklepy stolicy, aby ją obsypywać wspaniałymi podarkami? Ona myślała tylko o nim i powtarzała sobie mądre maksymy słynnej Pan Huajpan:

"Jeżeli kobieta ma męża wybranego sercem, to już na całe życie!"

"Kobieta powinna darzyć bezgranicznym szacunkiem tego, kogo nazwisko nosi i stale uważać na siebie."

"Kobieta w domu ma być tylko cieniem i echem."

"Małżonek jest niebem małżonki."

Tymczasem przygotowania do uroczystości ślubnej, którą Kin Fo życzył sobie mieć wystawną, posuwały się.

Już w mieszkaniu przy ulicy Czakua stało trzydzieści par haftowanych pantofelków, koniecznych w wyprawie ślubnej. Ciastka z firmy Sinjüan, konfitury, suszone owoce, cukierki, śliwki, pomarańcze, imbir i cytrusy w syropie; wspaniałe sztuki jedwabiu, klejnoty z delikatnie cyzelowanego złota i drogich kamieni, pierścionki, bransoletki, futeraliki na paznokcie, szpilki do włosów itd., wszystkie te fantastyczne wyroby jubilerskiej sztuki pekińskiej wypełniały buduar Liu.

W tym przedziwnym Państwie Środka, gdy młoda dziewczyna wychodzi za męża, nie wnosi żadnego posagu. Jest ona dosłownie kupowana przez rodziców męża lub przez samego męża, a o ile nie ma braci, może odziedziczyć tylko część majątku rodzicielskiego, jeżeli ojciec złoży odpowiednie oświadczenie. Sprawy te zazwyczaj załatwiają swatki zwane mejżen i dopiero po uzgodnieniu wszystkich warunków małżeństwo może dojść do skutku.

Wówczas narzeczona zostaje przedstawiona rodzicom męża. Mąż dotąd jej nie widział. Zobaczy ją dopiero, gdy przybędzie w zamkniętej lektyce pod małżeński dach. Wtedy podają małżonkowi klucz do lektyki. Małżonek otwiera drzwi. Jeżeli narzeczona podoba mu się, wyciąga do niej rękę, jeżeli mu nie odpowiada - zamyka gwałtownie drzwi i z tą chwilą wszystko jest zerwane, tylko, zgodnie z obowiązującym zwyczajem, zadatek zostaje u rodziców niedoszłej żony.

Nic podobnego nie mogło się zdarzyć w małżeństwie Kin Fo. Znał młodą kobietę, nie potrzebował nikogo kupować. To bardzo upraszczało sprawy.

Nadszedł wreszcie 25 czerwca. Wszystko było gotowe.

Od trzech dni, jak każe zwyczaj, mieszkanie Liu pozostawało oświetlone. Od trzech nocy pani Liu

Talou, reprezentująca rodzinę oblubienicy, musiała wstrzymać się zupełnie od snu. Jest to sposób okazywania smutku w chwili, gdy narzeczona opuszcza dom rodzicielski. Gdyby Kin Fo miał jeszcze rodziców, jego dom byłby tak samo oświetlony na znak żałoby, ponieważ, jak głoszą starożytne księgi, "małżeństwo syna winno być uważane za równoznaczne ze śmiercią ojca, po którym syn ma dziedziczyć".

Ale choć te zwyczaje nie mogły dotyczyć związku ludzi absolutnie wolnych, były jeszcze inne, z którymi należało się liczyć.

Tak więc żadna z astrologicznych formalności nie została zaniedbana. Horoskopy, stawiane według wszelkich reguł, wykazywały doskonałą zgodność usposobień i przyszłych losów. Zarówno pora roku, jak i położenie księżyca okazały się pomyślne. Nigdy jeszcze małżeństwo nie miało tak szczęśliwych wróżb.

O ósmej wieczorem miało się odbyć przyjęcie oblubienicy w "Podwórku Niebiańskiego Szczęścia", to znaczy żona miała być z wielką pompą odprowadzona do mieszkania małżonka. W Chinach para małżeńska nie staje ani przed urzędnikiem cywilnym, ani przed kapłanem: lama, bonzą czy innym.

O siódmej wieczorem Kin Fo, ciągle w asyście Fry i Craiga, promieniejących, jakby byli świadkami europejskiej uroczystości ślubnej, przyjmował przyjaciół w progu swego mieszkania.

Cóż za powódź uprzejmości! Te znamienite osoby otrzymały na czerwonym papierze wdzięcznym pismem tak zredagowane zaproszenie: "Kin Fo z Szanghaju pokornie pozdrawia pana... i prosi go jeszcze pokorniej, by zechciał wziąć udział w skromnej ceremonii..." itd.

Wszyscy przyszli, aby uhonorować młodych małżonków i wziąć udział w wystawnym przyjęciu w męskim gronie, podczas gdy damy miały się zebrać przy specjalnie dla nich przygotowanym stole.

Był więc kupiec Jin Pang i uczoney Hua. Było kilku mandarynów z czerwoną, wielką jak jajo gołębie gałką na urzędowej czapce, co oznaczało przynależność do dwóch pierwszych rang. Inni, niżsi rangą, mieli gałki niebieskie lub białe. Większość gości to urzędnicy cywilni pochodzenia chińskiego, gdyż tylko tacy mogli być przyjaciółmi szanghajczyka wrogiego rasie tatarskiej. Wszyscy pięknie ubrani, w bogatych szatach, odświeżonych przybraniach głowy, tworzyli świetny orszak weselny.

Kin Fo - jak tego wymagały reguły uprzejmości - czekał na nich u wejścia do hotelu. Gdy tylko przybyli, zaprowadził ich do salonu recepcyjnego, poprosiwszy najpierw dwukrotnie, aby zechcieli przejść przed nim przez wszystkie drzwi, jakie otwierali lokaje. W rozmowie z gośćmi wymieniał ich "szlachetne" nazwiska rodowe, informował się o "szlachetne" zdrowie, zapytywał o "szlachetne" rodziny. Słowem, najbaczniejszy obserwator tej dziecinnej i wytwornej uprzejmości nie mógłby się dopatrzeć najłżejszego uchybienia w jego zachowaniu.

Craig i Fry podziwiali te grzeczności, lecz równocześnie nie tracili z oczu swego nieposzlakowanego klienta. W głowach obydwóch zaświtała naraz ta sama myśl. A nuż Wang nie zginął, jak wszyscy sądzili, w nurtach rzeki?... Jeżeli snuje się tu, wśród gości?... Dwudziesta czwarta godzina dwudziestego piątego dnia czerwca - ostateczna godzina! - jeszcze nie wybiła! Dłoń tajpinga nie została rozbrojona! Jeżeli w ostatniej chwili?...

Nie! Było to nieprawdopodobne, choć możliwe. Toteż, przyzwyczajeni do ostrożności, Craig i Fry obserwowali starannie całe zgromadzenie. Nie zobaczyli jednak żadnej podejrzanego fizjonomii.

Oblubienica tymczasem wyszła ze swego domu przy alei Czakua i wsiadła do zamkniętego palankinu.

Kin Fo nie chciał włożyć stroju mandaryna, jaki przysługuje każdemu narzeczonemu - przez szacunek dla instytucji małżeństwa, którą dawni prawodawcy mieli w wielkim poważaniu - Liu

natomiast zastosowała się do wymogów wysokich sfer. Rozsiewała blask dokoła w czerwonej toalecie ze wspaniałego haftowanego jedwabiu. Jej twarzyczka ginęła, można powiedzieć, za firanką drobnych pereł - zdawały się one spływać z bogatego diademu, opasującego złotą obręczą jej czoło. W kunsztownie uczesanych włosach lśniły klejnoty i sztuczne kwiaty w najlepszym guście. Kin Fo musi ją ujrzeć bardziej urocą niż kiedykolwiek, gdy będzie wysiadała z palankinu, który jego ręka niebawem otworzy.

Orszak ruszył w drogę. Skręcił na rogu, by wejść w Wielką Aleję i skierować się na bulwar. Zapewne byłby on wspanialszy, gdyby asystował pogrzebowi zamiast weselu, lecz i tak zwracał uwagę przechodniów zatrzymujących się, aby go podziwiać.

Przyjaciółki i koleżanki Liu postępowały za palankinem, niosąc uroczyście różne partie wyprawy. Na przodzie szło dwudziestu grajków wśród wielkiego hałasu miedzianych instrumentów, gdzie rozlegał się donośny gong. Palankin otaczał tłum niosący pochodnie i latarnie w tysiącach kolorów. Oblubienica była wciąż ukryta przed oczami wszystkich. Według przepisów etykiety pierwsze winno spocząć na niej spojrzenie małżonka.

I tak, wśród hałaśliwego zbiegowiska gapiów, orszak przybył około godziny ósmej wieczorem przed "Podwórzec Niebiańskiego Szczęścia".

Kin Fo stał przed bogato przystrojoną bramą. Czekał na przybycie palankinu, by otworzyć jego drzwiczki. To uczyniwszy, pomoże oblubienicy wysiąść i zaprowadzi ją do zarezerwowanego apartamentu, gdzie oboje pokłonią się czterokrotnie niebu. Potem udadzą się na ucztę weselną. Oblubienica cztery razy skłoni się przed mężem, on uczyni to samo dwukrotnie. Złożą ofiarę z kilku kropli wina. Ofiarują strawę duchom przodków. Wówczas podadzą państwu młodym dwie czarki pełne wina. Opróżnią je do połowy, a to, co pozostanie, zmieszają razem i wypiją wspólnie. Związek będzie uświęcony.

Palankin przybył. Kin Fo wyszedł mu naprzeciw. Mistrz ceremonii podał mu klucz. Wziął go, otworzył drzwiczki i wyciągnął rękę do bardzo wzruszonej, ładniutkiej Liu. Oblubienica zeskoczyła lekko i przeszła przez szpaler gości, którzy skłonili się przed nią z szacunkiem, unosząc rękę na wysokość piersi.

W chwili, gdy młoda kobieta miała przekroczyć próg hotelu, dano sygnał. Olbrzymie świecące latawce uniosły się w powietrzu, powiewając przed tchnieniem wiatru różnobarwnymi malunkami smoków, feniksów i innych symboli małżeńskich. Gołębie, zaopatrzone w małe świstawki przytwierdzone do ogonków, wleciały w górę i napełniły atmosferę niebiańskimi odgłosami. Zasyczały racy o tysiącach kolorów i z ich olśniewającego bukietu trysnął złoty deszcz.

Nagle nad bulwarem dał się słyszeć daleki gwar. Krzyki mieszały się z ostrymi dźwiękami trąbki. Chwila milczenia i znów wzmagął się hałas. Cała ta wrzawa przybliżała się i niebawem dosięgła ulicy, przy której zatrzymał się orszak.

Kin Fo słuchał. Przyjaciele z niezdecydowaniem czekali, żeby narzeczona weszła do hotelu.

Lecz w tej chwili na ulicy zapanował szczególny ruch. Nasiliły się dźwięki zbliżającej się trąbki.

- Co to jest? — spytał Kin Fo.

Liu zbladła jakiegoś niedobre przeczucie przyspieszyło bicie jej serca.

Naraz tłum wtargnął na ulicę. Otaczał on konnego herolda w szacie cesarskiego urzędnika, eskortowanego przez kilku tipao.

Herold wśród ogólnego milczenia rzucił tych parę słów, powitanych głuchym szmerem:

- Cesarzowa-wdowa nie żyje! Wzbronione! Wzbronione!

Kin Fo zrozumiał. Ten cios godził w niego bezpośrednio. Nie mógł powstrzymać gniewnego gestu.

Po śmierci wdowy po ostatnim cesarzu nakazano żałobę cesarską. Przez okres, jaki określi prawo, nie wolno nikomu golić głowy, nie wolno urządzać zabaw publicznych ani widowisk teatralnych, nie wolno funkcjonować sądom, nie wolno odprawiać uroczystości weselnych!

Liu, zrozpaczona, lecz mężna, aby nie powiększać zmartwień narzeczonego, robiła dobrą minę do złej sprawy. Ujęła rękę swego drogiego Kin Fo.

- Zaczekamy - powiedziała, usiłując zapanować nad wzruszeniem.

I palankin odstawił ją z powrotem do domu przy alei Czakua, ceremonia została zawieszona, stoły opróżnione, orkiestry odprawione, a przyjaciele zboląłego Kin Fo pożegnali się, wyraziwszy mu swe współczucie. Nie wolno bowiem gwałcić cesarskiego edyktu!

Złośliwy los zdecydowanie zawziął się na Kin Fo. Znów miał sposobność skorzystać z lekcji filozofii, jakie otrzymywał od swego mistrza!

Kin Fo został sam z Fry i Craigiem w pustym apartamencie w "Podwórku Niebiańskiego Szczęścia", którego nazwa wydała mu się teraz gorzką kpina. Termin zakazu mógł być przedłużony, jak długo spodoba się Synowi Nieba. A on tak chciał wrócić zaraz do Szanghaju, ulokować młodą żonę w bogatym jamenie, odtąd już do niej należącym, i rozpocząć nowe życie w nowych warunkach!...

W godzinę później posługacz hotelowy wszedł i doręczył mu list właśnie przyniesiony przez posłańca.

Kin Fo nie mógł powstrzymać okrzyku, rozpoznawszy pismo na kopercie. List był od Wanga, a oto, co zawierał:

"Przyjacielu, nie umarłem, lecz gdy otrzymasz ten list, nie będę już wśród żywych!

Umieram, gdyż nie miałem odwagi dotrzymać swej obietnicy, ale bądź spokojny: o wszystkim pomyślałem.

Twój list ma Lao Szen, przywódca tajpingów, mój dawny towarzysz. On będzie miał twardsze serce i pewniejszą rękę niż ja, aby dopełnić straszliwej misji, którą kazałeś mi przyjąć. Jemu więc przypadnie kapitał, jaki mnie zapisałeś, przelałem go na niego i podejmie go, gdy ciebie już nie będzie!...

Żegnaj! Wcześniej od ciebie odchodzę do krainy cieni, ale spotkamy się niebawem, przyjacielu! Żegnaj!

WANG"

# ROZDZIAŁ 16

## W KTÓRYM KIN FO, WCIAŻ W KAWALERSKIM STANIE, ZNÓW ROZPOCZYNA SWĄ GONITWĘ PO KRAJU

Zatem tak przedstawiały się sprawy Kin Fo, tysiąc razy poważniej niż kiedykolwiek dotąd.

Tak więc Wang, pomimo danego słowa, nie mógł się zdobyć na uśmiercenie swego dawnego ucznia. Tak więc Wang nic nie wiedział o zmianie, jaka zaszła w sytuacji majątkowej Kin Fo, bo jego list wcale o tym nie wspominał! Tak więc Wang zobowiązał kogo innego do dotrzymania obietnicy, i to kogo! Jednego z najgroźniejszych tajpingów, któremu żadne skrupuły nie przeszkodzą w popełnieniu zabójstwa, gdyż nawet odpowiadać za nie nie będzie! List Kin Fo zapewniał mu bezkarność, a upoważnienie Wanga sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów!

- Ach, zaczynam już mieć tego wszystkiego dosyć! - zawołał Kin Fo w zrozumiałym porywie gniewu.

Craig i Fry zapoznali się z pismem Wanga.

- Czy pański list — spytał Kin Fo — nie podaje dwudziestego piątego czerwca jako ostatecznej daty?

- Skądże! - odpowiedział zapytany. - Wang musiał i mógł go datować dopiero w dniu mojej śmierci! A teraz ten Lao Szen ma wolną rękę i nie jest ograniczony czasem!

- Och - zauważyli Craig-Fry - on ma interes w tym, żeby zrobić to jak najszybciej.

- Dlaczego?

- Aby polisa zachowała ważność i nie umknęła mu! Argument był aż nadto słuszny.

- To prawda - zgodził się Kin Fo. - W każdym razie nie mogę tracić czasu i muszę odebrać mój list, choćbym nawet miał zapłacić za niego tę zagwarantowaną kwotę pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

- W samej rzeczy - potwierdził Craig.

- Słusznie! - dodał Fry.

- Wyjadę zatem. Na pewno wiadomo, gdzie jest teraz ten przywódca tajpingów. Nie będzie chyba tak nieuchwytny jak Wang!

Mówiąc to, Kin Fo nie mógł usiedzieć na miejscu. Chodził po pokoju tam i z powrotem. Te wszystkie niespodziewane ciosy, jakie na niego spadły, doprowadziły go do niebywałego podniecenia.

- Wyjeżdżam! - oświadczył. - Udaję się na poszukiwanie Lao Szena! A wy, panowie, zrobicie, co uznacie za stosowne.

- Ależ, proszę pana - odparli Craig-Fry - interesy "Stulecia" są teraz bardziej zagrożone, niż były dotąd. Gdybyśmy pana w tych okolicznościach zostawili, uchylibyśmy naszym obowiązkom. My pana nie opuścimy!

Nie było chwili do stracenia. Przede wszystkim jednak należało się dowiedzieć dokładnie, kim jest ten Lao Szen i gdzie konkretnie się znajduje. A był tak znany, że nie przedstawiało to trudności.

Dawny towarzysz Wanga w ruchu rewolucyjnym "długowłosych" wycofał się na północ Chin, poza Wielki Mur, w rejon sąsiadujący z Zatoką Liaotung, ta zaś jest po prostu odnogą Zatoki Pohaj. Jeżeli rząd cesarski nie pertraktował z nim dotąd, jak to zrobił z innymi przywódcami rebeliantów, których nie mógł ujarzmić, to przynajmniej pozwolił mu działać spokojnie na terytoriach położonych poza granicami Chin właściwych, gdzie Lao Szen, pogodziwszy się ze skromniejszym stanowiskiem, uprawiał profesję zawodowego rabusia. Ach! Wang wybrał właściwego człowieka! Ten typ nie miał

żadnych skrupułów i jedno więcej pchnięcie nożem nie obciążą jego sumienia!

Kin Fo i jego gwardziści otrzymali wyczerpujące informacje na temat tajpinga i dowiedzieli się, że ostatnio widziano go w okolicach Funingumałego portu nad Zatoką Liaotung. Postanowili więc udać się tam bezzwłocznie.

Przede wszystkim Liu została poinformowana o tym, co zaszło. Zwiększyło to jej udręki. Piękne oczy tonęły we łzach. Usiłowała odradzić ten wyjazd ukochanemu. Czy nie wychodził przez to niebezpieczeństwu naprzeciw? Czy nie lepiej zaczekać, zniknąć, opuścić w razie potrzeby Niebiańskie Cesarstwo, ukryć się w jakiejś części świata, gdzie ten okrutny Lao Szen nie mógłby go dosięgnąć?

Lecz Kin Fo wytłumaczył narzeczonej, że żyć pod nieustanną groźbą, na łasce opryszka, dla którego jego śmierć jest jednoznaczna z fortuną - nie, takiej perspektywy nie zniesie! Trzeba tę sprawę definitywnie załatwić. Wyjedzie dziś jeszcze wraz ze swymi obrońcami, odnajdą tajpinga, wykupią za każdą cenę ten przeklęty list i wrócą do Pekinu, zanim edykt zabraniający wszelkich uroczystości zostanie odwołany.

- Droga siostrzyczko - rzekł do niej - prawie wdzięczny jestem losowi, że nasze małżeństwo uległo kilkudniowemu opóźnieniu. Gdyby doszło do skutku, jakież byłoby teraz twoje położenie?

- Gdyby doszło do skutku - odparła Liu - miałabym prawo i obowiązek towarzyszyć ci i byłabym to zrobiła!

- O, nie! — odparł żywo Kin Fo. — Wolałbym ponieść tysiąc razy śmierć, niż ciebie narazić na jedno niebezpieczeństwo!... Żegnaj, Liu!...

I Kin Fo z wilgotnymi oczami wyrwał się z ramion kobiety, która usiłowała go zatrzymać.

Tego dnia jeszcze Kin Fo, Craig-Fry i Sun, którego pech ścigał bez przerwy, opuścili Pekin i skierowali się do Tungczou. Była to kwestia godziny.

A oto co zadecydowano:

Podróż lądowa przez prowincję niezbyt pewną przedstawiała poważne trudności. Gdyby chodziło tylko o dotarcie do Wielkiego Muru, na północ od stolicy, jakiegokolwiek niebezpieczeństwa groziłyby na przestrzeni tych czterdziestu li, trzeba by było stawie im czoła. Ale nie na północy, lecz na wschodzie znajdował się port Funing. Bezpieczniej i szybciej byłoby udać się tam drogą morską. W ciągu czterech czy pięciu dni Kin Fo i jego towarzysze mogli się tam dostać i wówczas zastanowią się, co robić dalej. Lecz czy znajdą statek odpływający do Funingu? O tym należało się najpierw upewnić w agencji morskiej w Tungczou.

Tym razem Kin Fo, którego uparcie nękał szereg niepowodzeń, miał szczęście. Okręt z ładunkiem do Funingu czekał u ujścia Pajhe.

Pozostawało więc wsiąść do jednego z pospiesznych parowców, jakie obsługują rzekę, wsiąść w zatoce i przesiąść się na statek morski.

Craig i Fry poprosili o godzinę czasu na przygotowania i zużyli ją na zakupienie wszystkich znanych przyrządów ratunkowych, poczynając od prymitywnego pasa korkowego, a kończąc na uniemożliwiającej zatonięcie odzieży kapitana Boytona. Kin Fo ciągle był wart dwieście tysięcy dolarów. Wybierał się na morze nie uiszczając dodatkowych opłat, gdyż ubezpieczył się przeciw wszelkim wypadkom. A katastrofa nie była wykluczona. Należało wszystko przewidzieć i rzeczywiście wszystko zostało przewidziane.

W południe zatem 26 czerwca Kin Fo, Craig-Fry i Sun wsiedli na "Paj Tang" i popłynęli z biegiem Pajhe. Zakręty tej rzeki są tak kapryśne, że na przebycie jej trzeba dokładnie dwa razy więcej czasu niż w linii prostej, która połączyłaby Tungczou z jej ujściem; jest jednak uspławniona, siłą rzeczy żeglowna dla statków o dosyć dużym tonażu. Toteż ruch tam panuje znaczny, większy niż



na biegnącej równolegle do niej głównej trasie.

"Paj Tang" posuwał się szybko pomiędzy bojami toru wodnego, bijąc kołami żółtawe wody rzeki i mącąc wzbijanymi falami kanały irygacyjne na obydwóch brzegach. Niebawem wyminięto wysoką wieżę pagody w Tungczou, która zniknęła za ostrym zakrętem.

W tych okolicach Pajhe nie była jeszcze szeroka. Płynęła raz między piaszczystymi wydiami, to znów wzdłuż pól, wśród pejzażu dość zadrzewionego, przecinanego sadami i żywopłotami. Pojawiło się kilka ważnych miasteczek: Matou, Hesiwu, Nanczacun, Jangcun, gdzie jeszcze dają się odczuć przyływy morza.

Wkrótce ukazał się Tiencin. Stracono trochę czasu, gdyż trzeba było kazać otworzyć most wschodni łączący oba brzegi rzeki i przepłynąć, nie bez trudu, przez port zatłoczony setkami statków. Nie obyło się bez wielkich wrzasków i niejedna łódź postradała cumy. Przecinano je zresztą nie troszcząc się o szkody, jakie z tego mogły wyniknąć. Stąd zamieszanie, natłok dryfujących statków, który przysporzyłby wiele pracy dozorcóm portu, gdyby takowi w Tiencinie istnieli.

Podczas całej tej żeglugi Craig i Fry byli bardziej niż zwykle przejęci swą rolą i - można śmiało powiedzieć - nie odstępowali swego klienta ani na krok.

Nie chodziło tu już o filozofa Wanga — porpzumienie z nim nie sprawiłoby trudności, gdyby można go było uprzedzić — lecz o Lao Szena, którego nie znali, co czyniło go tym groźniejszym. Skoro wybierali się do jego siedziby, mieli prawo przypuszczać, że tam będą bezpieczni, lecz kto mógł zaręczyć, że nie wyruszył on w drogę ku swej ofierze? A w takim razie jak go uniknąć, jak go uprzedzić? Craig i Fry w każdym pasażerze "Paj Tanga" widzieli zbrodniarza! Nie mogli już jeść, nie mogli spać, w ogóle ledwie żyli!

Kin Fo, Craig i Fry byli poważnie zaniepokojeni, Suna natomiast nie opuszczał rozpaczliwy strach. Na samą myśl o płynięciu morzem dostawał mdłości. Bładł coraz bardziej, w miarę jak "Paj Tang" zbliżał się do Zatoki Pohaj. Nos mu się zatykał, usta zaciskały, a przecież na spokojnych wodach rzeki parowiec nie doznawał najłżejszego kołysania.

Cóż to będzie, gdy Sunowi przyjdzie znosić krótkie fale na małym morzu, fale, które wprawiają statek w żywsze i częstsze kołysanie!

- Nigdy nie płynąłeś morzem? - spytał go Craig.

- Nigdy.

- Źle się wtedy czujesz? - spytał go Fry.

- Źle.

- Radzę trzymać podniesioną głowę - dorzucił Craig.

- Głowę?...

- I nie otwierać ust - dorzucił Fry.

- Ust?...

Sun dał więc agentom do zrozumienia spojrzeniem, że woli się nie odzywać i ulokował się w środkowej części statku, rzuciwszy melancholijne spojrzenie na bardzo szeroką już rzekę, spojrzenie człowieka skazanego na ciężkie, choć trochę śmieszne zmagania z chorobą morską.

W dolinie, którą biegła rzeka, krajobraz już był inny. Prawy brzeg, bardziej urwisty, różnił się wyższą skarpą od lewego, gdzie na piaszczystej plaży zbierała się piana przyniesiona lekką falą. Dalej ciągnęły się rozległe pola obsadzone kukurydzą, sorgo, pszenicą, prosem. Jak w całych Chinach - u tej matki, co ma miliony dzieci do wyżywienia - nie było ani skrawka urodzajnej ziemi leżącej odłogiem. Wszędzie kanały irygacyjne lub bambusowe maszyny- rodzaj prymitywnych podnośników- czerpały i rozprowadzały obficie wodę. Tu i ówdzie, obok lepianek z żółtej gliny, rosły kępy drzew, między innymi stare jabłonie, jakich nie powstydziałaby się równina normandzka.

Na skarpach kręciło się wielu rybaków wykorzystujących kormorany niczym psy myśliwskie, a raczej rybackie. Ptaki te nurkowały na znak swego pana i przynosiły mu ryby, których nie mogły połknąć, gdyż szyje ścisnęła obręcz. Oprócz tego stadami leciały kaczki, wrony, kruki, sroki, jastrzębie wypłoszone z wysokich traw stukotem parowca.

Mimo że główna trasa wzdłuż rzeki była w tej chwili pusta, ruch morski na Pajhe nie malał. Ileż wszelkiego rodzaju statków płynęło w dół i w górę rzeki! Dżonki wojenne z baterią dział, o dachu wklęsłym na kształt łuku od dziobu do rufy, wprawiane w ruch dwoma poziomami wiosel albo kołem łopatkowym poruszonym ludzką ręką; dwumasztowe dżonki celne o skośnych żaglach naciągniętych na poziomych drzewcach, zdobne na dziobie i na rufie głowami i ogonami fantastycznych stworów; dżonki handlowe, o dosyć dużej wyporności i szerokich kadłubach, napełnione ładunkiem najcenniejszych produktów Niebiańskiego Cesarstwa, dżonki pasażerskie, poruszane wiosłami lub holowane na linach w zależności od pływów morza, zbudowane dla ludzi, którzy mają czas do stracenia; dżonki mandarynów - małe jachty spacerowe, holowane przez łodzie właściwie; sampany różnych kształtów, pokryte matą trzcinową, z których najmniejsze, kierowane przez młode kobiety - wiosło w garści, a dziecko na grzbiecie -zasługują w pełni na swą nazwę "trzy deski"; wreszcie olbrzymie tratwy -istne pływające miasta z chatami, warzywnikami i sadami - zbudowane z drzew jakiegoś mandżurskiego lasu, zwalonego w całości przez drwali.

Tymczasem miasteczka stawały się coraz rzadsze. Między Tiencinem a leżącym u ujścia rzeki Taku jest ich może ze dwadzieścia. Na brzegach kopciły piece, gdzie wypalano cegły, a ich dym, mieszając się z dymem parowca, zanieczyszczał powietrze. Zbliżał się wieczór, poprzedzony długim pod tą szerokością czerwcowym zmierzchem. Niebawem w mroku zarysował się szereg białych wydm, symetrycznie rozlokowanych i o jednakowym zarysie. Były to sterty soli zebrane z pobliskich solanek. Tam też, wśród nieurodzajnych terenów, otwiera się ujście Pajhe, smutny pejzaż, cały z piasku, soli, prochu i popiołu.

Nazajutrz, 27 czerwca, przed wschodem słońca "Paj Tang" wpływał do portu Taku, prawie u ujścia rzeki.

W tym miejscu na obu brzegach wznoszą się forty: północny i południowy, teraz w ruinach, zdobyte w roku 1860 przez armię angielsko-francuską. Tam 24 sierpnia tegoż roku miał miejsce sławny atak generała Collineau; tam kanonierki sforsowały dostęp do rzeki; tam rozciąga się słabo zamieszkały wąski pas terytorium, który nosi nazwę koncesji francuskiej; tam widoczny jest nagrobek, gdzie leżą oficerowie i żołnierze polegli w pamiętnych walkach.

"Paj Tang" nie miał wypływać poza mierzeję. Wszyscy pasażerowie musieli więc wysiąść w Taku. Jest to miasto już dziś dość ważne, które jednak rozwinęłoby się ogromnie, gdyby mandaryni zechcieli kiedyś przeprowadzić kolej żelazną łączącą je z Tiencinem.

Statek z ładunkiem do Funingu miał podnieść żagle jeszcze tego dnia. Kin Fo zatem i jego towarzysze nie mieli chwili do stracenia. Przywołali wobec tego sampan i w kwadrans później byli już na pokładzie "San Je".

# ROZDZIAŁ 17

## W KTÓRYM WARTOŚĆ RYNKOWA KIN FO ZNÓW JEST ZAGROŻONA

Tydzień wcześniej do portu w Taku zawinął jakiś statek amerykański. Wynajęty przez „Szóstą Spółkę Chińsko-Kalifornijską”, załadowany był na rachunek agencji Ting-Tong, rezydującej na cmentarzu Laurel-Hill w San Francisco. Tam to właśnie zmarli w Ameryce Chińczycy czekają na repatriację, zgodnie z wierzeniami nakazującymi im spocząć w ziemi rodzinnej.

Statek ten, zmierzający do Kantonu, zabrał za pisemnym upoważnieniem agencji ładunek dwustu pięćdziesięciu trumien, z których siedemdziesiąt pięć miało być wyładowane w Taku i dostarczone dalej, do prowincji północnych. Przeładowanie tej części ładunku ze statku amerykańskiego na chiński odbyło się tego właśnie poranka, 27 czerwca, i zaraz odpływał on do Funingu.

Najego to pokład wsiadł Kin Fo z towarzyszami. Na pewno nie byliby go wybrali, lecz w braku innych statków płynących do Zatoki Liaotung, musieli z niego skorzystać. Chodziło zresztą o krótki, dwu-trzydniowy najwyżej rejs, i to bardzo o tej porze roku łatwy.

„San Je” była to dżonka morska o wyporności około trzystu ton. Wyporność innych dochodzi nawet do tysiąca ton przy zanurzeniu tylko sześciu stóp, co pozwala im na przebycie mielizn na rzekach Niebiańskiego Cesarstwa. Zbyt szerokie w stosunku do długości, jeśli nie płyną z wiatrem, to z trudem się posuwają, za to potrafią wirować w miejscu, kręcąc się jak bąk, co daje im przewagę nad statkami o smuklejszych liniach. Pióro ich olbrzymiego steru jest podziurkowane - system to zachwalany w Chinach, ale jego wyniki wydają się dosyć sporne. Jakkolwiek bądź, te obszerne jednostki chętnie wyjeżdżają na wody przybrzeżne. Opowiadają nawet, że jedna dżonka, wynajęta przez firmę w Kantonie, pod dowództwem kapitana amerykańskiego przywiozła do San Francisco ładunek herbaty i porcelany. Dowiedziono zatem, że te statki dobrze trzymają się na morzu, a ludzie kompetentni utrzymują, iż Chińczycy są doskonałymi marynarzami.

- „San Je”, o nowoczesnej konstrukcji, prawie prosta na całej swej długości, przypominała wymiarami kształt kadłubów statków europejskich. Zbudowana bez gwoździ i kołków, lecz z powiązanych bambusów, uszczelniona pakułami i żywicą z Kambodży, nie miała nawet pompy do odwadniania ładowni. Dzięki swej lekkości unosiła się na wodzie jak kawałek korka. Kotwica z dobrego, twardego drewna, olinowanie z włókien palmowca, sprzęzyste żagle stawiane z pokładu, rozwijające się i zwijające na kształt wachlarza, dwa maszty ustawione jak główny i przedni maszt francuskiego skośnożaglowca, bez żagla gaflowego, bez foka - taka była ta dżonka, dobrze pomyślana i dobrze wyekwipowana dla potrzeb żeglugi przybrzeżnej.

Widząc „San Je”, nikt na pewno nie byłby się domyślił, że jej wynajemcy przemienili ją tym razem w gigantyczny karawan. Bo istotnie, skrzynki z herbatą, bele jedwabiu, paczuski z chińskimi pachnidłami zastąpił wiadomy ładunek. Ale nie straciła swych żywych kolorów. Na przedniej i tylnej pokładówce kołysały się różnobarwne proporce i kity. Na dziobie otwierało się wielkie, błyszczące oko, nadające jej wygląd jakiegoś olbrzymiego morskiego zwierza. Bryza rozwijała jaskrawą etaminę flag chińskich na czubkach masztów. Dwa działka wystawiały ponad burty swe błyszczące paszcze, odbijające jak zwierciadło promienie słoneczne. Użyteczny to sprzęt na tych morzach, wciąż jeszcze nękanych przez piratów. Całość była wesoła, zalotna i przyjemna dla oka. Bo, ostatecznie, czyż nie repatriacji dokonywała dżonka „San Je”? Repatriacji nieboszczyków, to prawda, lecz nieboszczyków zadowolonych!

Ani w Kin Fo, ani w Sunie rejs w tych warunkach nie mógł budzić odrazy. Zanadto byli

Chińczykami. Craig i Fry natomiast, jak wszyscy ich współziomkowie nie przepadający za przewożeniem tego rodzaju ładunku, woleliby jakikolwiek inny statek handlowy, ale nie mieli wyboru.

Kapitan i sześciu ludzi tworzących załogę wystarczało do stawiania żagli. Mówią, że busołę wynaleziono w Chinach. Możliwie, lecz marynarze floty przybrzeżnej nigdy się nią nie posługują i pływają „na oko”. Tak właśnie robił kapitan statku, Jin, uważając zresztą, by nie stracić z oczu wybrzeża zatoki.

Ten kapitan Jin, mały, stale uśmiechnięty cz zatowieczek, ruchliwy i wymowny, stanowił uosobienie nierozwiązalnego problemu, jakim jest *perpetuum mobile*. Nie potrafił usiedzieć na miejscu. Wszystko było u niego jednym ruchem. Jego ramiona, dłonie, oczy mówiły więcej jeszcze niż język, choć i jemu nieczęsto pozwolił odpoczywać. Szorstki dla swych ludzi, poganiał ich ciągle, wyzywał, wyklinał, ale w gruncie rzeczy był dobrym marynarzem, świetnie obeznanym z wybrzeżem, a kierował dżonką, jakby ją trzymał w ręku. Wysoka cena, jaką Kin Fo uścił za siebie i towarzyszy, nie zmniejszyła jego jowialnego humoru. Pasażerowie, którzy zapłacili sto pięćdziesiąt taelów za sześćdziesięciogodzinny rejs - cóż to za niezwykła gratka, zwłaszcza jeśli nie będą wymagać większych wygod i pożywienia niż ich towarzysze podróży ściśnięci w ładowni!

Kin Fo, Craig i Fry zostali jako tako ulokowani w tylnej pokładówce, a Sun w przedniej. Agenci, ciągle nieufni, oddali się drobiazgowemu badaniu załogi i kapitana. Lecz w zachowaniu tych dzielnych ludzi nie znaleźli niczego podejrzanego. Byłoby czymś zupełnie nieprawdopodobnym przypuszczać, że są w porozumieniu z Lao Szenem, skoro przypadek oddał tę dżonkę do dyspozycji ich klienta, a jakże przypadek mógłby być współnikiem osławionego tajpinga! Podczas rejsu mieli się niepokoić zatem jedynie niebezpieczeństwami grożącymi na morzu. Dali więc klientowi trochę więcej swobody.

On zresztą wcale się oto nie gniewał. Zamknięty w swej kabinie, oddał się spokojnie „filozofowaniu”. Biedny człowiek, co nie umiał docenić swego szczęścia ani zrozumieć, jaką wartość miało wolne od trosk życie w jamenie w Szanghaju i które praca mogła całkiem odmienić! Niech tylko odzyska swój list, a wówczas okaże się, czy lekcja na coś się przydała, czy głupiec może zmadrzeć!

Tylko czy odzyska ten list? Och, bez wątpienia, gdyż nazaczył cenę za jego zwrot. Dla Lao Szena powinna to być wyłącznie kwestia pieniędzy! W każdym razie należało zaskoczyć jego, a nie dać się samemu zaskoczyć! W tym cała trudność. Lao Szen musiał na bieżąco wiedzieć o wszystkim, co robił Kin Fo, a Kin Fo nie miał pojęcia, co porabia Lao Szen. Tu tkwiło poważne niebezpieczeństwo; groziło ono z chwilą, gdy klient Fry - Craiga znajdzie się na obszarze będącym terenem działalności tajpinga. Wszystko więc zależało od uprzedzenia go. Bez wątpienia Lao Szen wolałby zainkasować pięćdziesiąt tysięcy dolarów od Kin Fo żywego niż taką samą kwotę za umarłego. Oszczędziłoby mu to podróży do Szanghaju i wizyty w biurze „Stulecia”, co mogło być niezupełnie dla niego bezpieczne pomimo wielkoduszności, jaką okazywał mu rząd.

Tak rozmyślał ów przemieniony na korzyść Kin Fo i niechybnie w jego projektach na przyszłość sporo miejsca zajmowała pewna miła wdowa z Pekinu.

A o czym tymczasem rozmyślał Sun?

Sun nie rozmyślał. Sun, wyciągnięty w swej pokładówce, spłacał haracz złośliwym bóstwom zatoki. Jeżeli zdołał wysilić się na jakąś myśl, to tylko po to, by przeklinać i swojego pana, i filozofa Wanga, i bandytę Lao Szena! Jego serce jest całkiem głupie! Ajja! Jego myśli są głupie, uczucia też są głupie! Nie myśli już ani o herbacie, ani o ryżu. Ajja! Jakiż to wiatr przez omyłkę popchnął go tutaj? Tysiąc razy, dziesięć tysięcy razy zblądził, godząc się na służbę u człowieka, który wybrał się

na morze! Oddałby chętnie resztę warkocza, aby nie być tutaj! Wolałby raczej ogolić całkiem głowę, zostać bonzą! Żółty pies! Żółty pies pożera mu wątrobę i wnętrzności! Ajja!

Tymczasem pod tchnieniem miłego wiatru południowego "San Je" płynęła w odległości trzech czy czterech mil od niskich plaży wybrzeża ciągnącego się ze wschodu na zachód. Minęła Pejtang u ujścia rzeki tej samej nazwy, niedaleko od miejsca, gdzie lądowały armie europejskie, potem Hejjency i Tacinghe u ujścia rzeki Tao.

Ta część zatoki stawała się już pusta. Ruch morski, bardzo ożywiony u ujścia Pajhe, trwał tylko w promieniu dwudziestu mil. Kilka handlowych dżonek przybrzeżnych, z tuzin łodzi rybackich, wykorzystujących bogate w ryby wody przybrzeżne, i rozległy, absolutnie pusty horyzont - tak wyglądała ta część morza.

Craig i Fry zauważyli, że łodzie rybackie, nawet te, których ładowność nie przekraczała pięciu czy sześciu ton, uzbrojone były w jedną lub dwie armatki.

Gdy zapytali o to kapitana Jina, ten, zacierając ręce, odpowiedział:

- Trzeba przecież napędzić strachu piratom!

- Piraci w tej części Zatoki Czyli! - wykrzyknął nie bez pewnego zdziwienia Craig.

- Dłaczego nie! - odpowiedział Jin. - Tak tutaj, jak gdzie indziej! Tych dzielnych ludzi nie brak na chińskich morzach!

I kapitan śmiał się, pokazując dwa rzędy wspaniałych zębów.

- Nie zanadto się pan ich obawia! - zauważył Fry.

- Alboż to nie mam dwóch armat? To zuchy i głośno gadają, jak się zbytnio do nich zbliżyć.

- Działka są nabite? - spytał Craig..

- Przeważnie.

- A teraz?

- Nie.

- Dłaczego? - zainteresował się Fry.

- Bo nie mam prochu na pokładzie! - odparł spokojnie Jin.

- W takim razie po co działka? - spytali wspólnie Craig i Fry, niezbyt zadowoleni z odpowiedzi.

- Jak to, po co! - oburzył się kapitan. - Żeby ratować ładunek, kiedy wart jest obrony, kiedy moja dżonka pełna jest aż po brzegi herbaty albo opium! Ale dzisiaj, z takim ładunkiem!...

- Ale skąd piraci mogą wiedzieć - spytał Craig - czy pańską dżonkę warto atakować, czy nie?

- Boi się pan wizyty tych zuchów? - zapytał kapitan, kręcąc się i wzruszając ramionami.

- Oczywiście - rzekł Fry.

- Przecież nic nie macie na pokładzie!

- Owszem — dodał Craig — ale mamy specjalne powody, aby nie pragnąć ich wizyty!

- Och, nie ma się co niepokoić! — odrzekł kapitan. — Piraci, jeżeli nawet ich spotkamy, nie zechcą polować na naszą dżonkę!

- A dlaczego?

- Dlatego, że z góry będą wiedzieli, co myśleć o naszym ładunku, gdy tylko nas zobaczą.

I kapitan pokazał białą flagę, opuszczoną do połowy masztu dżonki.

- Żałobna flaga opuszczona do połowy masztu. Żałobna flaga! Te zuchy nie będą się fatygowały, aby łupić ładunek trumien.

- Ale mogą myśleć, że pan płynie pod żałobną flagą przez ostrożność -zauważył Craig - i mogą wejść na pokład, aby sprawdzić...

- Jeżeli przyjdą, to ich przyjmiemy - odparł kapitan - a gdy nam złożą wizytę, odejdą tak, jak przysli!

Craig-Fry nie nalegali, lecz nie zanadto podzielali niewzruszony spokój kapitana. Przechwycenie trzystutonowej dżonki, nawet z balastem, przyniosłoby wystarczającą korzyść "zuchom", jak ich nazywał kapitan, aby spróbowali zaryzykować. Tak czy inaczej, na razie trzeba było się poddać i mieć nadzieję, że podróż przebiegnie szczęśliwie.

Kapitan zresztą nie zaniedbał niczego, by zapewnić sobie pomyślny rejs. Przed odpłynięciem odbyła się ofiara z koguta na cześć bóstw morskich. Na przednim maszcie wisały jeszcze pióra nieszczęsnego ptaka. Kilka kropli krwi rozlanej na mostku i mała czarka wina wylana do morza uzupełniły tę ofiarę błagalną. Tak uświęcona, czegóż mogła się obawiać dżonka "San Je" pod komendą zacnego kapitana Jina?

Należy jednak przypuszczać, że kapryśne bóstwa nie zostały zadowolone. Czy kogut był za chudy, czy wina nie zrobiono z najlepszego ryżu z Szaosingu, dość że na dżonkę runęło straszne uderzenie wiatru. Nic na to nie wskazywało, gdyż dzień był czysty, jasny, jakby wymieciony piękną bryzą. Najbystrzejszy marynarz nie mógł przeczuć, że coś "wisi w powietrzu".

Około ósmej wieczorem "San Je" przygotowała się do opłynięcia ciał przylądka, jaki tworzy wybrzeże, ciągnąc się na północny wschód. Dalej dżonka miała już podążać z wiatrem bocznym, bardzo dla niej korzystnym. Kapitan Jin spodziewał się, nie przeceniając swych sił, że w ciągu dwudziestu czterech godzin dotrze do Funingu.

Toteż Kin Fo wyczekiwał zarzucenia kotwicy z pewną niecierpliwością, która u Suna stała się nieopanowana. Craig-Fry zaś obliczali, że jeżeli ich klient w ciągu trzech dni odbierze od Lao Szenia zagrożający jego życiu list, to stanie się to dokładnie w chwili, gdy "Stulecie" przestanie się niepokoić jego losem. Istotnie bowiem polisa chroniła go do północy 30 czerwca, gdyż na ręce czcigodnego Williama J. Bidulpha dokonał tylko wpłaty za dwa miesiące. Wobec czego: \_ - All... - zaczął Fry.

- ... right! - dokończył Craig.

Wieczorem, gdy dżonka zbliżała się do Zatoki Liaotung, z północnego wschodu niespodziewanie uderzył wiatr, po czym dwie godziny później dmuchał z północnego zachodu.

Gdyby kapitan Jin miał barometr na pokładzie, mógłby stwierdzić, że słupek rtęci gwałtownie opadł o cztery do pięciu milimetrów. Otóż to gwałtowne rozrzedzenie powietrza zapowiadało bliskość tajfunu, którego ruchy odciążały już pokłady atmosferyczne. Z drugiej strony, gdyby kapitan Jin znał spostrzeżenia Anglika Paddingtona i Amerykanina Maury'ego, próbowałby zmienić kierunek i płynąć na północny wschód, aby znaleźć się w mniej niebezpiecznym rejonie, poza ośrodkiem przyciągania wirującej burzy.

Ale kapitan Jin nie używał nigdy barometru i nie znał prawa cyklonów. Czyż nie ofiarował zresztą koguta i czyż ta ofiara nie powinna go ustrzec przed wszelkimi niespodziankami?

Niemniej przesądny ów Chińczyk był dobrym marynarzem i dowiódł tego w ciężkich okolicznościach. Instynktownie manewrował swą dżonką tak, jak by to robił europejski kapitan.

Tajfun nie należał do największych, ale miał dużą szybkość obrotową i prędkość postępową przekraczającą sto kilometrów na godzinę. Popchnął więc dżonkę na wschód, co było zresztą okolicznością pomyślną, gdyż tak unoszona oddalała się od wybrzeża, które nie dawało żadnej ochrony i gdzie nieuchronnie rozbiłaby się niebawem.

O jedenastej wieczorem burza osiągnęła największe nasilenie. Kapitan Jin przy pomocy załogi kierował dżonką jak prawdziwy wilk morski. Nie śmiał się już, lecz zachował całą zimną krew. Jego ręka, wczepiona silnie w drążek steru, prowadziła lekki statek, który unosił się na fali jak mewa.

Kin Fo wyszedł z tylnej pokładówki. Oparty o parapet, spoglądał na niebo - rozproszone, poszarpane huraganem chmury rozwłóczyły na wodach strzępy swych oparów. Patrzył na morze,

całkiem białe wśród ciemnej nocy, i pod gigantycznym oddechem tajfunu wznoszące swe fale znacznie powyżej normalnego poziomu. Niebezpieczeństwo nie dziwiło go ani nie przerażało. Stanowiło część przeżyć, jakich nie szczędził mu zawzięty na niego los. Sześćdziesięciogodzinna przejażdżka morzem w pełni lata, bez burzy, była dla szczęśliwców, a on od dawna już do nich nie należał.

Craig i Fry czuli się coraz bardziej niespokojni z powodu wysokiej wartości klienta. Ich życie, oczywiście, warte było tyle samo co życie Kin Fo. Gdyby zginęli razem z nim, nie musieliby się więcej przejmować interesami "Stulecia". Lecz ci sumienni agenci, zapominając o sobie, myśleli tylko, aby wypełnić swój obowiązek. Zginąć, owszem! Razem z Kin Fo? Proszę bardzo, ale nie wcześniej, jak 30 czerwca o północy! Ocalić milion - oto czego pragnęli Craig-Fry. Oto o czym myśleli Craig-Fry!

Sun natomiast nie wątpił wcale, że dżonka jest w niebezpieczeństwie, a raczej dla niego niebezpieczeństwo istniało, odkąd puszczono się w drogę na tym zdradzieckim żywiole, nawet przy najpiękniejszej pogodzie. Ach! pasażerowie w ładowni godni byli zazdrości! Ajja! Nie odczuwali żadnego kołysania! Ajja! I biedny Sun zadawał sobie pytanie, czy na ich miejscu też by cierpiał na chorobę morską!

Przez trzy godziny dżonka była w wielkich opałach. Zgubiłby ją jeden fałszywy ruch steru, gdyż morze przetoczyłoby się przez pokład. Chociaż nie mogła się przewrócić jak balia, ale mogła nabrać wody i zatonać.

O utrzymaniu jej w stałym kierunku na falach chłostanych wirem cyklonu szkoda było marzyć, podobnie jak o oszacowaniu drogi już przebytej i pozostającej do przebycia.

Tymczasem szczęśliwy przypadek sprawił, że "San Je" dotarła bez większych uszkodzeń do centrum tego gigantycznego wiru atmosferycznego, zajmującego powierzchnię stu kilometrów. Tam, na przestrzeni dwóch czy trzech mil, morze było spokojne, wiatr ledwie wyczuwalny. Jak spokojne jezioro pośród wzburzonego oceanu.

Ocaleniem dla dżonki było, że huragan popchnął ją tam bez żagli. Około trzeciej nad ranem wściekłość cyklonu ustała jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, a szalejące wody zaczęły się uspokajać wokół tego jeziora.

Ale gdy narodził się dzień, na próżno szukano jakiegoś lądu na horyzoncie. Nigdzie żadnego wybrzeża. Aż po półkolistą linię nieba dżonkę ze wszystkich stron otaczały wody zatoki.

# ROZDZIAŁ 18

## W KTÓRYM CRAIG I FRY POWODOWANI CIEKAWOŚCIĄ ZWIEDZAJĄŁADOWNIĘ 'SAN JE'

- Gdzie jesteśmy, kapitanie Jin? - spytał Kin Fo, gdy minęło niebezpieczeństwo.
- Dokładnie tego nie wiem - odpowiedział kapitan, któremu wrócił jowialny humor.
- W Zatoce Czyli?
- Być może.
- Czy w Zatoce Liaotung?
- I to możliwe.
- Ale gdzie przybijemy do brzegu? - Gdzie nas pchnie wiatr!
- A kiedy?
- Nie umiem panu na to odpowiedzieć.

- Prawdziwy Chińczyk jest zawsze zorientowany, panie kapitanie - podjął z niezadowoleniem Kin Fo, cytując powiedzonko bardzo modne w Państwie Środka.

- Na lądzie, tak! - odpowiedział kapitan Jin. - Ale nie na morzu. I rozciągnął usta w uśmiechu od ucha do ucha.

- Nie widzę powodu do śmiechu - zauważył Kin Fo.

- Ani do płaczu! - odparował kapitan.

Prawdą jest, że choć sytuacja nie była groźna, kapitan nie umiał określić, gdzie znajduje się "San Je". Jak mógłby ustalić jej położenie podczas wirującej burzy, bez busoli i pod wpływem wiatru rozproszonego na trzech czwartych róży kompasu? Dżonka ze zwiniętymi żaglami, wymykając się prawie całkiem działaniu steru, była igraszką huraganu. Nie bez racji zatem odpowiedzi kapitana brzmiały tak niepewnie. Tylko że mógł je wyrażać z mniejszym zadowoleniem.

Tak czy owak, zaniesiona do Zatoki Liaotung czy odepchnięta do Zatoki Czyli, dżonka musiała bez wahania wziąć kurs na północny zachód. Ziemia na pewno tam się znajdowała. Pozostawała jedynie kwestia odległości.

Kapitan Jin byłby więc podniósł żagle i podążył w kierunku słońca błyszczącego wówczas pełnym blaskiem, gdyby istniała możliwość takiego manewru. Ale tego nie dało się uczynić.

Nastała bowiem cisza morska po tajfunie - żadnych prądów atmosferycznych ani tchnienia wiatru. Morze bez zmarszczek, wzdęte jedynie martwą falą, zwykle kołysanie pozbawione ruchu postępowego. Dżonka wznosiła się i opadała pod wpływem stałej siły, która nie ruszała jej z miejsca. Gorąca para wisiała nad wodą, a niebo, tak mocno zachmurzone nocą, wydawało się teraz niezdolne do walki żywiołów. Była to cisza, której trwania niepodobna przewidzieć.

- Doskonale! - rzekł do siebie Kin Fo. - Po burzy, która nas zawlokła na pełne morze, brak wiatru, który nam nie pozwala wrócić na ląd!

Po czym, zwracając się do kapitana, spytał:

- Jak długo może potrwać ta cisza?

- O tej porze roku, panie? A któż mógłby to wiedzieć?

- Godziny czy dni?

- Dni lub tygodnie! - odparł Jin z tak pełnym rezygnacji uśmiechem, że Kin Fo omal nie wpadł we wściekłość.

- Tygodnie?! - wykrzyknął. - Czy pan myśli, że ja mogę czekać tygodniami?



- A jednak trzeba będzie, chyba że weźmiemy dżonkę na hol!

- Niech diabli wezmą pańską dżonkę i tych wszystkich, których wiezie, a mnie pierwszego za ten idiotyczny pomysł, by wsiąść na jej pokład!

- Czy chce pan, bym mu dał dwie dobre rady? - spytał Jin.

- Słucham!

- Pierwsza, to spokojnie się przespać, co ja również zaraz zrobię i co będzie bardzo rozsądne po całej nocy spędzonej na pokładzie.

- A druga? - spytał Kin Fo, którego spokój kapitana wyprowadzał z równowagi tak samo jak cisza morska.

- Druga? - odparł Jin. - Brać przykład z moich pasażerów w ładowni. Oni się nigdy nie skarżą i niczym się nie przejmują.

Po tej filozoficznej uwadze, godnej samego Wanga, kapitan poszedł do swojej kabiny, zostawiając ludzi z załogi wyciągniętych na pokładzie.

Kin Fo przez kwadrans przechadzał się tam i z powrotem ze skrzyżowanymi ramionami, kręcąc palcami młynka z niecierpliwości. Potem, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ten ponury bezmiar, którego środek zajmowała dżonka, wzruszył ramionami i wrócił do pokładówki, nie odzywając się ani słowem do Fry-Craiga.

Oni tymczasem, oparci o reling, prowadzili według swego zwyczaju ożywioną konwersację, nie odzywając się ani słowem. Słyszeli pytania Kin Fo i odpowiedzi kapitana, ale nie włączyli się do rozmowy. Co by im dało, gdyby się do niej w mieszał, a przede wszystkim dlaczego mieliby się skarżyć na to opóźnienie, które tak denerwowało ich klienta?

Jeżeli bowiem tracili na czasie, to zyskiwali na bezpieczeństwie. Skoro Kin Fo nic na pokładzie nie groziło i ręka Lao Szena nie mogła go tu dosięgnąć, czego mogli więcej pragnąć?

Poza tym zbliżał się termin, po którym będą zwolnieni z odpowiedzialności. Jeszcze czterdzieści godzin i choćby cała armia tajpingów rzuciła się na byłego klienta "Stulecia", nie ruszą palcem w jego obronie. Ci Amerykanie są bardzo praktyczni! Oddani Kin Fo dopóty, dopóki wart był dwieście tysięcy dolarów. Absolutnie obojętni na to, co mu się może przydarzyć, gdy nie będzie wart jednego sapeka.

Tak rozumując, Craig i Fry zjedli śniadanie z doskonałym apetytem. Pożywienie było pierwszorzędnej jakości. Jedli z tego samego półmiska, tego samego talerza, tyle samo kęsów chleba i kawałków zimnego mięsa. Wypili jednakową ilość kielichów znakomitego wina szaosińskiego za zdrowie czcigodnego Williama J. Bidulpha. Wypalili wspólnie pół tuzina cygar i dowiedli raz jeszcze, że można być braćmi syjamskimi z upodobań i nawyków, nawet nie będąc nimi z urodzenia.

Dzielni Jankesi wierzyli, że ich kłopoty skończone!

Dzień minął bez wypadków i przypadków. Ciągłe ta sama cisza na morzu, ciągle ten sam niewyraźny koloryt nieba. Nic nie wskazywało na zmiany meteorologiczne. Morze było tak nieruchome jak jezioro.

Około czwartej Sun ukazał się na pokładzie, chwiejąc się i zataczając jak pijany, mimo że nigdy w życiu nie pił mniej niż w ostatnich dniach.

Twarz jego, z początku fioletowa, potem błękitna, potem niebieska, potem zielona, zaczynała teraz na powrót żółknąć. Gdy znalazłszy się na lądzie, wróci do swego normalnego, pomarańczowego koloru i kiedy atak złości ubarwi ją na czerwono, można będzie stwierdzić, że przeszła kolejno przez całą gamę barw tęczy.

Sun powlókł się ku agentom z przymkniętymi oczami, gdyż nie śmiał spojrzeć za burtę "San Je".

- Przybyliśmy?

- Nie - odparł Fry.
- Przybywamy?...
- Nie - odparł Craig.
- Ajja! - jęknął Sun.

I zrozpaczony, nie mając nawet siły mówić więcej, położył się pod głównym masztem, wstrząsany konwulsyjnymi drgawkami, od których jego króciutki warkocz podskakiwał jak ogon małego pieska.

Tymczasem na rozkaz kapitana Jina otwarto luki, aby przewietrzyć ładownię. Przeworność rozsądnego człowieka. Słońce bowiem powinno szybko wchłonąć wilgoć powstałą od wody nabranej podczas tajfunu.

Craig-Fry, przechadzając się po pokładzie, zatrzymali się kilkakrotnie przed luką. W końcu ciekawość skłoniła ich do zwiedzenia tej żałobnej ładowni. Zeszli więc po prowadzącym tam karbowanym słupie.

Słońce rzucało właśnie pęk promieni prostopadle do luki, ale część przednia i tylna ładowni pozostawała w głębokiej ciemności. Oczy Fry - Craiga przyzwyczyały się jednak wkrótce do mroku i mogli dostrzec ułożenie szczególnego ładunku "San Je".

Ładownia nie była przedzielona, jak to zwykle bywa na handlowych dżonkach, poprzecznymi grodziami. Całą przeznaczono ją zatem dla ładunku, jakikolwiek on był, gdyż pokładówki wystarczały jako pomieszczenie załogi.

Pod każdą ścianą ładowni, czystej jak przedsionek pustego grobowca, piętrzyło się siedemdziesiąt pięć trumien, mających dotrzeć do Funingu. Porządnie złożone, nie mogły ani spaść na skutek kołysania, ani zagrozić bezpieczeństwu dżonki.

Wolne przejście pozostawione między podwójnym rzędem trumien pozwalało swobodnie dostać się z jednego końca ładowni do drugiego, zarówno w pełnym świetle przy otwartych lukach, jak we względnych ciemnościach.

Craig i Fry, milczący i skupieni, jakby znajdowali się w mauzoleum, zapuścili się w to przejście. Nie bez pewnej ciekawości spoglądali dokoła.

Stały tam trumny wszelkich kształtów i wymiarów, jedne bogate, inne ubogie. Spośród emigrantów, których życie zapędziło za Pacyfik, ci właśnie - niestety, nieliczni - zrobili majątki na złotonośnych pokładach kalifornijskich, w kopalniach Newady lub Kolorado. Inni wyjechali jako nędzarze i jako tacy wracali. Lecz wszyscy ciągnęli do ojczyzny, równi wobec śmierci. Jakieś dziesięć trumien z cennego drewna, ozdobionych z całym przepychem chińskiej fantazji, a reszta zbita po prostu z czterech desek, źle dopasowanych i pomalowanych na żółto - tak wyglądał ładunek statku. Biedna czy bogata, każda trumna miała wizytówkę, którą Fry-Craig odczytywali przechodząc. Lien Fu z Yunpingu, Nan Lu z Funingu, Szen Cin z Lincia, Luang z Kulihua itd. Omyłki były wykluczone. Każdy nieboszczyk, starannie oznaczony, miał być wysłany pod swój adres i czekać tam, wśród zieleni, na otwartym polu, na chwilę ostatecznego pogrzebu.

- Dobrze pomyślane! - przyznał Fry.
- Dobrze wykombinowane! - zgodził się Craig.

Nie inaczej mówiliby o sklepie kupca lub magazynach odbiorcy towarów w San Francisco czy Nowym Jorku!

Doszedłszy do końca ładowni, do jej najciemniejszej części, zatrzymali się i patrzyli na przejście przypominające aleję cmentarną.

Ukończywszy swój rekonesans, zamierzali wrócić na pokład, kiedy zwrócił ich uwagę lekki szmer.

- Jakiś szczur! - stwierdził Craig.

- Jakiś szczur! - potwierdził Fry.

Niefortunny ładunek dla tych gryzoni! Owies, ryż lub kukurydza bardziej by je ucieszyły!

A szmer nie ustawał. Rozlegał się na wysokości człowieka, na prawej burcie, czyli na wyższym piętrze trumien. Albo to był zgrzyt zębów, albo też drapanie pazurami czy paznokciami.

- A sio! A sio! - odezwali się Craig i Fry. Szmer nie ustawał.

Agenci podeszli bliżej i słuchali, wstrzymując oddech. Bez żadnej wątpliwości drapanie dochodziło z wnętrza którejś trumny.

- Czyżby włożono do jednej z tych skrzyń jakiegoś Chińczyka w letargu? - zainteresował się Craig.

- I który się budzi po pięcioletniej podróży? - dorzucił Fry. Obaj położyli ręce na podejrzanym trumnie i ponad wszelką wątpliwość stwierdzili, że w jej wnętrzu coś się rusza.

- Do diaska! - rzekł Craig.

- Do diaska! - zawtórował mu Fry.

Naturalnym biegiem rzeczy w głowach obydwóch zrodziła się myśl, że ich klientowi grozi jakieś bliskie niebezpieczeństwo.

Natychmiast, cofając z wolną ręką, poczuli, że wieko trumny ostrożnie się podnosi.

Craig i Fry, jako ludzie, których nic zadziwić nie może, stanęli nieruchomo, a nie mogąc niczego dojrzeć w głębokich ciemnościach, słuchali z pewnym niepokojem.

- To ty, Cuo? - spytał jakiś głos z nadzwyczajną ostrożnością. Prawie równocześnie z uchylonej nieco trumny na lewej burcie inny głos szepnął:

- To ty, Fasiem?

Po czym nastąpiła szybka wymiana zdań:

- To ma być tej nocy?...

- Tej nocy.

- Przed wschodem księżyca?

- O drugiej straży.

- A nasi towarzysze?

- Są uprzedzeni.

- Trzydzieści sześć godzin w trumnie, mam już dość!

- Ja też!

- Trudno, Lao Szen kazał!

- Cicho!

Na dźwięk imienia osławionego tajpinga Craig-Fry, mimo że tak opanowani, nie mogli wstrzymać się od lekkiego drgnienia.

Naraz wieka opadły na podłużne skrzynie. W ładowni "San Je" zapanowało całkowite milczenie.

Fry i Craig, czołgając się na kolanach, dotarli do oświetlonej przez luk części przejścia i wyszli po słupie. Zatrzymali się za pokładówką, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć.

- Nieboszczycy, którzy mówią... - zaczął Craig.

- ... nie są nieboszczycami - skończył Fry. Jedno imię wszystko im wyjaśniło: imię Lao Szena!

A więc towarzysze tego groźnego tajpinga wśliznęli się na pokład. Trudno było sądzić, że stało się to bez współdziałania kapitana Jina, jego załogi i tragarzy w porcie Taku, którzy ładowali żalobny ładunek! Po wyładowaniu z okrętu amerykańskiego przybyłego z San Francisco, trumny pozostały na nabrzeżu przez dwa dni i dwie noce. Dziesięciu, może dwudziestu, a może i więcej rzezimieszków należących do bandy Lao Szena, profanując trumny, wyrzuciło zwłoki i zajęło ich miejsca. Ale w

takim razie, aby zaryzykować ten wyczyn zainspirowany przez szefa, musieli oni wiedzieć, że Kin Fo miał wsiąść na "San Je". Otóż właśnie: jak mogli się tego dowiedzieć?

Rzecz absolutnie niezrozumiała, ale nie czas było teraz ją wyjaśniać. Craig-Fry na pewno wiedzieli jedynie, że Chińczycy najgorszego autoramentu znajdowali się na pokładzie dżonki od chwili jej wypłynięcia z Taku, że imię Lao Szena padło z ust jednego z nich i że życie Kin Fo b było bezpośrednio i niechybnie zagrożone!.

Ta noc jeszcze, noc z 28 na 29 czerwca, miała "Stulecie" kosztować dwieście tysięcy dolarów, a pięćdziesiąt cztery godziny później - ponieważ polisa nie została odnowiona - towarzystwo nie musiałoby nic płacić spadkobiercom rujnującego je klienta.

Nie znałby Fry-Craiga ten, kto by sądził, że stracili głowy w tak ciężkiej sytuacji. Niezwłocznie podjęli decyzję: trzeba zmusić Kin Fo, aby opuścił dżonkę, nim nastanie druga straż, i uciec razem z nim.

Ba, ale jak uciec? Zagarnąć jedyną szalupę, znajdującą się na pokładzie? Niemożliwe. Była to ciężka łódź i ruszenie jej z miejsca i spuszczenie na morze wymagało wysiłku całej załogi. Kapitan Jin ani jego załoga nie przyłożą do tego ręki. Trzeba więc działać inaczej, bez względu na niebezpieczeństwa.

Wybiła siódma wieczór. Kapitan ciągle siedział zamknięty w swej kabinie. Czekał widocznie, aż nadejdzie godzina umówiona z kompanami Lao Szena.

- Ani chwili do stracenia! - powiedzieli sobie Craig-Fry.

Ani chwili! Agenci czuliby się mniej zagrożeni na branderze puszczonej na pełne morze z zapalonym lontem.

Dżonka zdawała się dryfować. Jeden jedyny marynarz spał na dziobie.

Craig i Fry pchnęli drzwi tylnej pokładówki i podeszli do Kin Fo. Kin Fo spał.

Obudził go dotyk czyjejś ręki.

- O co chodzi? - spytał.

W kilku słowach wprowadzili go w sytuację. Odwaga i zimna krew nie opuściły go.

- Wrzucimy wszystkie te fałszywe trupy do morza! - krzyknął. Zuchwały pomysł, lecz całkowicie niewykonalny z uwagi na współnictwo kapitana i jego pasażerów z ładowni.

- Więc co robić? - spytał.

- Włożyć to! - odparli Craig-Fry.

To mówiąc otworzyli jedną z paczek załadowanych w Tungczou i podali swemu klientowi wspaniały ekwipunek żeglarski, wynalazek kapitana Boytona. Paczka zawierała jeszcze trzy takie aparaty z różnymi dodatkowymi przyrządami, które czyniły z nich pierwszorzędny sprzęt ratunkowy.

- Dobrze - rzekł Kin Fo. - Idźcie po Suna.

Fry przyprowadził całkiem oglupiałego Suna. Trzeba go było ubrać. Pozwolił robić ze sobą wszystko, pojękując tylko swoje rodzierające ajja!

O ósmej wszyscy byli gotowi. Wyglądali jak cztery foki z mórz północnych w chwili, gdy mają dać nurka. Przy czym foka Sun niezbyt pochlebne pojęcie dawała o zadziwiającej zwinności owych ssaków morskich, tak była niezdarna i bezwolna w swym niezatapialnym stroju.

Na wschodzie zaczynało się ściemniać. Dżonka unosiła się na spokojnej powierzchni wód pośród zupełnej ciszy.

Craig-Fry pchnęli okienko tylnej pokładówki, otwierające się nad rufą dżonki. Sun został bez ceremonii podniesiony, przepchnięty przez okienko i wrzucony do morza. Kin Fo skoczył za nim. Wreszcie Craig i Fry, chwyciwszy potrzebne im przyrządy, rzucili się w fale.

Nikt nie podejrzewał, że pasażerowie "San Je" właśnie opuścili pokład.

# ROZDZIAŁ 19

## W KTÓRYM NIE KOŃCZY SIĘ DOBRZE ANI DLA KAPITANA JINA, ANI DLA JEGO ZAŁOGI

Ekwipunek kapitana Boytona to po prostu strój z kauczuku, składający się ze spodni, kaftana i kaptura. Ze względu na sam materiał jest więc nieprzemakalny. Ale nie przepuszczający wody, mógłby przepuszczać zimno przy dłuższym zanurzeniu. Składa się zatem z dwóch nałożonych na siebie warstw, pomiędzy które można wtłoczyć pewną ilość powietrza.

Powietrze to służy dwom celom: 1) utrzymuje aparat na powierzchni wody, 2) po nałożeniu go uniemożliwia jakikolwiek kontakt z wodą, zabezpieczając, siłą rzeczy, przed zamarznięciem. Człowiek tak ubrany mógłby pozostać niemal w nieskończoność zanurzony.

Rozumie się, że szczelność złączy w tych aparatach była doskonała. Spodnie, zakończone na stopach ciężkimi podeszwami, spięte były w talii metalowym pasem, wystarczająco szerokim, by umożliwić ciału swobodę ruchów. Umocowany u tego pasa kaftan posiadał porządny kołnierz, do którego przypinano kaptur. On zaś, okrywając głowę, przylegał hermetycznie do czoła, policzków i brody dzięki elastycznej wypustce. Widoczny był więc ,tylko nos, oczy i usta.

Do kaftana przymocowano rurki z kauczuku - służyły do wprowadzania powietrza i pozwalały regulować jego ilość zależnie od ciężaru, jaki się chciało osiągnąć. Można więc było dowolnie zanurzyć się po szyję lub do połowy ciała, albo nawet przybrać pozycję poziomą. Słowem, zupełna swoboda działania i ruchów, gwarantowane absolutne bezpieczeństwo.

Taki jest ten aparat, który przyniósł tyle sławy śmiałemu wynalazcy i którego praktyczna użyteczność ujawniła się w niejednym wypadku morskim. Uzupełniały go różne akcesoria: nieprzemakalny worek zawierający różne przyrządy, a przytroczony na pasach, gruby kij mocowany do tulejki na stopie, zaopatrzony w mały, trójkątny żagiel; lekkie wiosło spełniające w razie potrzeby rolę steru.

Tak wyekwipowani Kin Fo, Craig-Fry i Sun unosili się teraz na powierzchni fal. Popychany przez agentów Sun pozwolił robić ze sobą wszystko, i kilkoma pchnięciami wiosła cała czwórka oddaliła się od dżonki.

Noc, bardzo jeszcze ciemna, ułatwiała ten manewr. W razie gdyby kapitan lub którykolwiek z jego marynarzy wyszedł na pokład, nie dostrzegłby uciekinierów. Nikt zresztą nie mógł przypuszczać, że oddalili się w taki sposób. A łotry zamknięte w ładowni dowiedzą się dopiero w ostatniej chwili.

"O drugiej straży" - powiedział rzekomo nieboszczyk z ostatniej trumny - to znaczy blisko północy.

Kin Fo i jego towarzysze mieli więc kilka godzin przewagi i spodziewali się, że przez ten czas odpłyną po zawietrznej o milę od dżonki. Istotnie, chłodny wiatr zaczynał marszczyć zwierciadło wody, lecz tak lekki jeszcze, że aby oddalić się od dżonki, należało liczyć tylko na wiosło.

W przeciągu kilku minut Kin Fo, Craig i Fry tak zaznajomili się z aparatem, że instynktownie, bez wahania, potrafili zrobić odpowiedni ruch lub znaleźć dogodną pozycję w tym giętym żywiole. Nawet Sun przyszedł do siebie i czuł się bez porównania lepiej niż na pokładzie dżonki. Choroba morska minęła. Gdyż pomiędzy kołysaniem na łodzi a kołysaniem przez falę przy zanurzeniu w wodzie do połowy ciała jest wielka różnica, co Sun skonstatował z zadowoleniem.

Wprawdzie Sun nie był już chory, za to okrutnie się bał. Myślał o tym, że rekiny może jeszcze nie poszły spać i instynktownie podkurczał nogi, jakby go już miały złapać... Prawdę mówiąc, taki

niepokój nie był całkiem nieusprawiedliwiony.

Tak więc płynęli Kin Fo i jego towarzysze, których los nie przestawał rzucać w najbardziej niesamowite sytuacje. Wiosłując, utrzymywali się niemal poziomo. Gdy zatrzymywali się, wracali do pozycji pionowej.

W godzinę po opuszczeniu "San Je" dżonka znajdowała się w odległości pół mili po zawietrznej. Wówczas zrobili postój i zaczęli się naradzać, starając się mówić cicho.

- Cóż za łajdak z tego kapitana! - zagaił konferencję Craig.
- A ten nędznik Lao Szen! - zawtórował mu Fry.
- Dziwi to was? - rzekł Kin Fo tonem człowieka, którego nic już zadziwić nie może.
- Tak - odparł Craig - bo nie mogę zrozumieć, jakim sposobem te łotry dowiedziały się, że popłyniemy tą dżonką!
- To rzeczywiście niezrozumiałe! - dodał Fry.
- Nieważne - powiedział Kin Fo. - Faktem jest, że się dowiedzieli i żeśmy im umknęli!
- Umknęli! - podjął Craig. - Nie! Jak długo "San Je" będzie widoczna, tak długa będziemy w niebezpieczeństwie!
- W takim razie co robić?
- Odzyskać siły - odpowiedział Fry - i oddalić się tak daleko, żeby nas nie dostrzegli, gdy wstanie dzień.

I wtłoczywszy pewną ilość powietrza do swego aparatu, wydostał się z wody do połowy ciała. Przesunął swój worek do przodu, otworzył go, wyjął butelkę i szklanę, którą napełnił krzepiącą wódką i podał ją swemu klientowi.

Kin Fo nie dał się prosić i opróżnił szklanę do ostatniej kropli. Craig -Fry poszli w jego ślady, o Sunie też nie zapomniano.

- Teraz dobrze? - spytał go Craig.
- Lepiej! - stwierdził Sun, kiedy wypił. - Żeby tak jeszcze można było coś przekąsić!
- Jutro - oznajmił Craig - zjemy śniadanie skoro świt i wypijemy kilka filiżanek herbaty...
- Zimnej! - skrzywił się Sun.
- Gorącej! - oświadczył Craig.
- Rozpali pan ogień?!
- Rozpalę.
- No to po co czekać do jutra?
- Chcesz, żeby ogień zobaczył kapitan Jin i jego wspólnicy?
- Nie! Nie!
- Więc zaczekamy do jutra!

Ci dzielni ludzie rozmawiali, jakby byli u siebie w domu. Tylko leciutka fala poruszała ich z góry na dół, co wyglądało szczególnie zabawnie. Wznosili się w górę i zjeżdżali w dół, stosownie do kapryśnego falowania wody, jak klawisze instrumentu naciskane ręką pianisty.

- Bryza zaczyna się wzmacniać — zauważył Kin Fo.
- Podnosimy kotwicę! — odpowiedzieli Craig-Fry.

I gotowali się, by zamocować kij i rozwinąć na nim żagiel, kiedy nagle Sun wyrzucił z siebie okrzyk pełen strachu.

- Cicho bądź, głupcze! - zgromił go Kin Fo. - Czy chcesz, żeby nas odkryto?
- Kiedy ja zobaczyłem... - szepnął Sun.
- Co takiego?
- Ogromne zwierzę... które się do nas zbliżało... Jakiś rekin!

- Mylisz się, Sun! - rzekł Craig zlustrowawszy powierzchnię morza.

- Ale... On mnie dotknął... - upierał się Sun.

- Będziesz ty cicho, tchórze! - Kin Fo położył mu dłoń na ramieniu. -Choćby cię nawet złapał za nogę, zabraniam ci krzyczeć, bo inaczej...

- Bo inaczej - dorzucił Fry - jedno pchnięcie nożem w jego aparat i wyślemy go na dno, gdzie będzie mógł krzyczeć do woli!

Biedny Sun: jego udręki jeszcze się nie skończyły.

Zimny strach go dławił, lecz nie śmiał już ani pisać. Jeszcze chwila, a zacnie żałować dżonki i choroby morskiej, i pasażerów z ładowni.

Jak słusznie stwierdził Kin Fo, bryza się wzmogła; lecz był to tylko krótkotrwały wiatr, który o wschodzie słońca cichnie. Niemniej trzeba było go wykorzystać, aby możliwie jak najbardziej oddalić się od "San Je". Gdy towarzysze Lao Szenia nie znajdą Kin Fo w pokładówce, zaczną oczywiście poszukiwania, a jeżeli go dojrzą, to dzięki szalupie z łatwością go pojną. Za wszelką cenę zatem przed świtem należało być daleko stąd.

Bryza dmuchała ze wschodu. Obojętne, na jakie wody huragan popchnął dżonkę, czy znajdowali się gdzieś na Zatoce Liaotung, na Zatoce Czyli czy nawet na Morzu Żółtym - kierunek na zachód znaczy niewątpliwie zbliżanie się do lądu. Można tam napotkać statki handlowe płynące do ujść Pajhe. Barki rybackie kręcą się dniem i nocą w okolicach wybrzeża. Dawało to więc niejakię szansę ocalenia. Gdyby jednak powiał wiatr z zachodu i gdyby dżonkę unióś bardziej na południe niż wybrzeża Korei, zniknęłyby możliwości ocalenia. Przed nimi rozpostarłoby się niezmięzone morze, i gdyby nawet dopłynęli do wybrzeży japońskich, to tylko w charakterze zwłok w niezatapialnym pancerzu z kauczuku.

Lecz, jak już powiedzieliśmy, bryza prawdopodobnie ucichnie ze wschodem słońca, trzeba więc było ją wykorzystać, aby przezornie zniknąć z pola widzenia.

Była mniej więcej dziesiąta wieczór. Księżyc powinien się ukazać na horyzoncie trochę przed północą. Nie mieli zatem chwili do stracenia.

- Postawić żagle! - zakomenderowali Fry-Craig.

Wkrótce odkotwiczyli. Właściwie to nic łatwiejszego Podeszwa prawej stopy aparatu miała tulejkę stanowiącą nasadę dla kija, ten zaś służył jako maszt.

Kin Fo, Sun i agenci najpierw wyciągnęli się na plecach; potem, zginając nogę w kolanie, osadzili kij w tulejce, wsunawszy do niej uprzednio linkę żagla. Gdy wrócili do pozycji leżącej, kij, tworząc kąt prosty z ich ciałem, wyprostował się.

- Żagiel w górę! - rzucili następną komendę Fry-Craig.

I każdy z nich dzięki linie wciągnął na czubek masztu górną część żagla przykrojonego w trójkąt. Linkę przymocowali do metalowego pasa, szot trzymali w ręce, a bryza, wzdymając cztery żagle, uniosła na lekkiej fali małą flotyllę nurków.

Po dziesięciu minutach manewrowali z doskonałą łatwością i pewnością siebie. Płynęli razem, nie oddalając się od siebie. Można by rzec, że to grupa olbrzymich mew ze skrzydłem wystawionym na wiatr ślizga się lekko po powierzchni fal. Stan morza zresztą bardzo ułatwił ten rejs. Nic nie mąciło spokojnego falowania powierzchni. Tylko dwa lub trzy razy niezręczny Sun, zapominając o upomnieniach Fry-Craiga, chciał odwrócić głowę i połknął kilka łyków słonego płynu. Ale zaraz go zwrócił. To zresztą nie było najgorsze: bał się tylko spotkania stada okrutnych rekinów! Wy tłumaczono mu jednak, że znacznie mniej jest niebezpieczna pozycja pozioma niż pionowa. Układ bowiem pyska zmusza rekina do odwrócenia się, gdy ma chwycić zdobycz, a ten ruch nie przychodzi mu łatwo, kiedy chce złapać przedmiot płynący na płask. Co więcej, zwrócono mu uwagę, że

drapieżniki te rzucają się na ciała nieruchome, wahają się natomiast mając do czynienia z czymś, co się rusza. Sun powinien więc poruszać się bez przerwy i można sobie wyobrazić, jak chętnie to robił.

Nurkowie płynęli w ten sposób blisko godzinę. Tyle właśnie trzeba im było. Ani mniej, ani więcej. Mniej nie oddaliłoby ich dość szybko od dżonki - więcej byłoby ich zanadto zmęczyło, zarówno ze względu na naciąganie żagla, jak i przez wzmożone stłoczenie fal.

Wówczas Crag-Fry zarządzili postój. Zwolnili naciąg i flotylla zatrzymała się.

- Pięć minut odpoczynku odpowiada panu? - zapytał Craig, zwracając się do Kin Fo.

- I owszem.

Wszyscy z wyjątkiem Suna, który wołał leżeć "na wszelki wypadek" i nie przestawał machać nogami, wrócili do pozycji pionowej.

- Kieliszek wódki? - spytał Fry.

- Z przyjemnością - odpowiedział Kin Fo.

Kilka łyków pokrzepiającego napoju wystarczyło na razie. Głód im jeszcze nie dokuczał. Zjedli kolację godzinę przed opuszczeniem dżonki i mogli wytrzymać do rana. Rozgrzewać się nie potrzebowali. Powietrzny "materac" umieszczony między ciałem a wodą dostatecznie chronił ich przed chłodem. Normalna temperatura ich ciał na pewno nie spadła ani o jeden stopień od chwili wyruszenia na morze.

A czy "San Je" była wciąż widoczna?

Craig i Fry odwrócili się. Fry wyjął ze swego worka lornetę i zbadał dokładnie horyzont na wschodzie.

Nic! Żadnego, nawet słabo widocznego cienia, jaki rzucają statki na ciemne tło nieba. Poza tym noc czarna, trochę zamglona, uboga w gwiazdy tworzące na niebie rodzaj mgławicy. Ale prawdopodobnie księżyc, który miał już wkrótce ukazać swój półokrąg, rozproszy te mgły i wydobędzie więcej przestrzeni.

- Dżonka jest daleko! - stwierdził Fry.

- Te łajdaki śpią jeszcze - dodał Craig - i nie skorzystają z bryzy.

- Ruszamy? - Kin Fo naprężył swój szot i ustawił żagiel na wiatr. Towarzysze poszli za jego przykładem i pod tchnieniem nieco silniejszej bryzy podjęli poprzedni kierunek.

Płynęli więc na zachód. Wobec tego księżyc, wstający na wschodzie, nie uderzy ich wprost w oczy, lecz oświetli swymi pierwszymi promieniami przeciwległy horyzont, a właśnie ten horyzont należało śledzić uważnie. Może zamiast półkolistej linii, zakreślonej przez niebo i morze, ukaże się nierówny profil, postrzępiony poświatą księżycową? Nie, nie pomyłają się: to będzie wybrzeże Niebiańskiego Cesarstwa, i w jakimkolwiek punkcie wylądują, będą uratowani. Wybrzeże było dostępne, fala przybojowa nieznaczna. Lądowanie nie przedstawia więc niebezpieczeństwa. A gdy się raz znajdą na lądzie, zadecydują, co robić dalej.

Mniej więcej za kwadrans dwunasta słaba biel zabarwiła mglisty horyzont. Księżyc zaczął wychylać się spoza linii wody.

Ani Kin Fo, ani żaden z jego towarzyszy nie odwrócił się. Wzmagająca się bryza, podczas gdy mgły w górze rozpraszały się, unosiła ich dość szybko. Wyczuli jednak, że przestrzeń dokoła nich z wolna się rozjaśnia. Jednocześnie konstelacje gwiazd zarysowały się wyraźniej. Wzrastający wiatr omiatał mgłą, a wyraźna bruzda zostawała za głowami płynących.

Niebawem księżyc, przeszedłszy z miedzianej czerwieni w srebrzystą biel, rozjaśnił całe niebo.

Naraz soczyste, szczerze amerykańskie przekleństwo wybiegło z ust Craiga.

- Dżonka! - rzekł. Wszyscy zatrzymali się.

- Zwinąć żagle! - zawołał Fry.



W jednej chwili ściągnięto je i wyjęto kije z tulejek.

Przyjąwszy pozycję pionową, wszyscy spojrzeli za siebie.

O niecałą milę od nich "San Je" rysowała się czarno na rozjaśnionym horyzoncie. Wszystkie żagle miała postawione.

Tak, to była dżonka! Ruszyła korzystając z bryzy. Bez wątpienia kapitan Jin dostrzegł zniknięcie Kin Fo i nie mógł zrozumieć, w jaki sposób zdołał uciec. Na wszelki wypadek rzucił się wraz ze współnikami z ładowni w pościg i przed upływem kwadransa wszyscy czterej wpadną w jego ręce!

Ale czy dojrzano ich w tym snopie światła rzucanym przez księżyc na powierzchnię morza? Może i nie!

- Spuścić głowy! - zakomenderował ożywiony tą nadzieją Craig. Towarzysze zrozumieli go. Przez rurki aparatów wypuszczono nieco

powietrza i cztery skafandry zanurzyły się tak, że tylko zakapturzone głowy wystawały ponad wodę. Pozostało teraz czekać w zupełnym milczeniu, bez żadnego ruchu.

Dżonka zbliżała się szybko. Jej wysokie żagle rzucały dwa duże cienie na wodę.

Po upływie pięciu minut "San Je" oddalona była już tylko pół mili. Na pokładzie krążyli tam i z powrotem marynarze. Kapitan na rufie trzymał drążek steru. Nie wiadomo, czy chciał dogonić uciekinierów, czy też pragnął utrzymać się w zasięgu działania wiatru.

Nagle rozległy się krzyki. Na pokładzie "San Je" pojawiła się cała masa ludzi. Hałasy wzmogły się. Najwidoczniej wywiązała się walka pomiędzy żywymi nieboszczykami z ładowni i załogą dżonki.

Ale dlaczego walka? Czyż te łotry, marynarze i piraci, nie byli w porozumieniu?

Kin Fo i jego towarzysze słyszeli wyraźnie okrutne wrzaski z jednej strony, a z drugiej okrzyki bólu i rozpacz, które w przeciągu kilku minut umilkły. Potem gwałtowny chlupot wody wzdłuż dżonki wskazał, że ciała wrzucono do morza.

Nie! Kapitan Jin i jego załoga nie byli współnikami bandytów Lao Szena! Przeciwnie: ci biedacy zostali zaskoczeni i wymordowani. Nędznicy, którzy ukryli się na pokładzie - bez wątpienia przy pomocy tragarzy w Taku - mieli tylko jeden cel; zawładnąć dżonką dla tajpinga, i na pewno nie wiedzieli, że Kin Fo był pasażerem "San Je"!

Gdyby więc dostrzeżono ich teraz, to ani on, ani Fry-Craig, ani Sun nie mogli oczekiwać litości od tych bandytów.

Dżonka sunęła wciąż naprzód. Podpłynęła blisko, lecz dzięki szczęśliwemu przypadkowi, rzucała na nich wielki cień swoich żagli.

Zanurzyli się na moment. Gdy znów wypłynęli, dżonka minęła ich i uciekła z dużą szybkością. Za nią unosiły się na wodzie czyjeś zwłoki -- i fala przyniosła je do naszych pływaków.

Było to ciało kapitana ugodzonego sztyłem w bok. Szerokie fałdy ubrania utrzymywały je jeszcze na wodzie. Wkrótce jednak zanurzyło się i zniknęło w głębinie morskiej.

Tak zginął jowialny kapitan Jin, dowódca "San Je"

W dziesięć minut później dżonka zniknęła na zachodzie, a nasi uciekinierzy zostali sami na powierzchni morza.

# ROZDZIAŁ 20

## W KTÓRYM DOWIADUJEMY SIĘ, NA CO NARAŻENI SĄ LUDZIE UŻYWAJĄCY SPRZĘTU KAPITANA BOYTONA

W trzy godziny później pierwsze blaski zorzy pojawiły się na horyzoncie. Niebawem wstał dzień i można było widzieć bez przeszkód całą powierzchnię morza.

Dżonka zdążyła już zniknąć. Bez trudu oddaliła się od pływaków, którzy nie mogli z nią konkurować. Płynęli w tym samym kierunku, pod tchnieniem tej samej bryzy, ale „San Je” musiała teraz znajdować się ponad siedem mil przed nimi. Mogli zatem nie obawiać się jej pasażerów.

Ale mimo że uniknięto bezpośredniego niebezpieczeństwa, sytuacja nie przedstawiała się zbyt wesoło. Morze bowiem było absolutnie puste. Ani jednego statku, ani jednej łodzi rybackiej. Niczego, co by przypominało ziemię, ani na północy, ani na wschodzie. Nic, co by wskazywało na bliskość jakiegokolwiek wybrzeża. Czy te wody były wodami Zatoki Czyli, czy Morza Żółtego? Nikt tego nie wiedział.

Tymczasem resztki wiatru przebiegały jeszcze po powierzchni fal. Należało je wykorzystać. Kierunek, w jakim zniknęła dżonka, wskazywał, że wcześniej czy później ziemia ukaże się na zachodzie, a w każdym razie tam powinni jej szukać.

Postanowiono więc, że pływacy na powrót postawią żagle, posiliwszy się oczywiście uprzednio. Żołądki domagały się swoich praw, a dziesięć godzin drogi w takich warunkach zwiększyło ich natarczywość.

- Zjedzmy śniadanie - zaproponował Craig.

- I to obfite - dodał Fry.

Kin Fo skinął przyzwalająco, a Sun tylko znacząco kłapnął szczękami. Wygłodzony biedak nie myślał już, że może zostać każdej chwili pożarty. Przeciwnie.

Otwarto więc nieprzemakalny worek. Fry wyjął z niego różne artykuły spożywcze w dobrym gatunku - chleb, konserwy - oraz nakrycia stołowe, słowem wszystko, czego trzeba, aby zaspokoić głód i pragnienie. Wprawdzie na sto dań, jakie figurują w zwykłym chińskim jadłospisie obiadowym, brakowało dziewięćdziesięciu ośmiu, niemniej było czym pokrzepić czterech biesiadników, nikt też nie zamierzał grymasić. Zjedzono śniadanie z apetytem. Worek zawierał zapasy na dwa dni. Otóż w przeciągu dwóch dni albo wylądują na ziemi, albo nigdy do niej nie dotrą.

- Ale my mamy głęboką nadzieję! - oświadczył Craig.

- A dlaczegoż to macie głęboką nadzieję? - spytał Kin Fo ze szczyptą ironii.

- Dlatego, że szczęście do nas wraca - odpowiedział Fry.

- Ach! Tak pan uważa?

- Oczywiście! - podjął Craig. - Największym zagrożeniem była dżonka, a zdołaliśmy przed nią umknąć.

- Nigdzie - dorzucił Fry - odkąd mamy honor pilnować pańskiej osoby, nie był pan bezpieczniejszy niż tutaj.

- Wszyscy tajpingowie świata... - zaczął Craig.

- Nie mogliby pana dosięgnąć... - przyszedł mu w sukurs Fry.

- I pięknie pan płynie... - dorzucił Craig.

- Jak na człowieka, który waży dwieście tysięcy dolarów - dorzucił Fry.

Kin Fo nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Jeżeli tak pięknie płynę, to dzięki wam, panowie! Bez waszej pomocy byłbym teraz tam, gdzie biedny kapitan Jin!

- My także - odparli Craig-Fry.

- A ja dopiero! - zawołał Sun, przelitykając nie bez wysiłku ogromny kawał chleba.

- Wszystko jedno - rzekł Kin Fo. - Wiem, ile wam jestem winien.

- Nic nam pan nie jest winien - odparł Fry - skoro jest pan klientem "Stulecia"...

- Towarzystwa ubezpieczeń na życie...

- Z kapitałem gwarancyjnym: dwadzieścia milionów dolarów.

- I mamy nadzieję...

- Że i ono nie będzie nic panu winno!

W gruncie rzeczy Kin Fo był bardzo wzruszony oddaniem, którego dowodów nie szczędzili mu obaj agenci, jakiegokolwiek kierowały nimi motywy. Nie ukrywał też swojej wdzięczności.

- Porozmawiamy jeszcze o tym wszystkim - dodał - gdy Lao Szen zwróci mi list, którego Wang tak nierozsądnie się pozbyt.

Craig i Fry wymienili spojrzenie z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Najwidoczniej pomyśleli o tym samym.

- Sun! - zawołał Kin Fo.

- Słucham pana?

- Herbata?

- Proszę, oto jest - odpowiedział Fry.

I dobrze, że odpowiedział, bo Sun uważałby za absolutnie niemożliwe zaparzenie herbaty w tych warunkach.

Ale agenci wcale nie byli zakłopotani takim drobiazgiem.

Fry wyjął z worka mały przyrząd, niezbędny dodatek do ekwipunku Boytona. Może on mianowicie służyć nocą jako latarnia, jako ognisko, gdy jest zimno, jako piecyk, kiedy chce się mieć jakiś gorący płyn.

Nic prostszego, jak zastosowanie go. Rurka pięciocalowa, połączona z metalowym naczyniem zaopatrzoną w kurek na górze i na dole -a wszystko osadzone na płycie korkowej na podobieństwo termometrów wodnych używanych w łaźniach - tak oto wygląda ten aparat.

Fry umieścił to narzędzie na doskonale równej powierzchni wody. Jedną ręką otworzył kurek górny, drugą dolny, przylegający do zanurzonego naczynia. Natychmiast zabłysnął piękny płomień, z którego wydobyło się bardzo przyjemne ciepło.

- Oto piecyk! - objaśnił Fry. Sun nie wierzył własnym oczom.

- Pan rozpała ogień z wody? - zawołał.

- Z wody i z fosforu wapnia - odpowiedział Craig.

Istotnie, konstrukcja tego aparatu pozwalała wykorzystać szczególną właściwość fosforu wapnia, związku fosforu, który w kontakcie z wodą wytwarza fosforowodór. Gaz ten płonie samorzutnie na powierzchni i ani wiatr, ani deszcz, ani morze nie potrafią go zagasić. Toteż jest teraz używany do oświetlania udoskonalonych kół ratunkowych. Wrzucenie koła do morza powoduje zetknięcie wody z fosforem wapnia. Natychmiast wytryskuje długi płomień, który pozwala temu, kto wpadł do morza, dojrzeć koło wśród ciemności nocnych, a marynarzom przyjść z pomocą rozbitkowi.

Podczas gdy płomień świecił na końcu rurki, Craig trzymał nad nią imbryk napełniony słodką wodą, którą nalał z beczki zamkniętej w swym worku.

W ciągu kilku minut płyn zawrzał. Craig wlał go do czajnika, gdzie znajdowała się szczypta

doskonalej herbaty, i tym razem Kin Fo i Sun wypili ją na sposób amerykański - co zresztą nie wzbudziło żadnych zastrzeżeń z ich strony.

Gorący napój zakończył w sposób godziwy śniadanie podane na powierzchni morza, pod takim to a takim stopniem szerokości i długości geograficznej. Brakowało tylko sekstansu i chronometru, aby ustalić położenie z dokładnością do kilku sekund. Pewnego dnia instrumenty te znajdą się w worku z ekwipunkiem Boytona, a wówczas rozbitkom nie będzie groziło zabłąkanie się na oceanie.

Kin Fo i jego towarzysze, wypoczęci i posileni, rozwinęli swe żagielki i podjęli podróż na zachód przyjemnie przerwana tym rannym wypoczynkiem.

- Bryza utrzymywała się jeszcze przez dwanaście godzin i nasi podróżnicy bez przeszkód płynęli pełnym wiatrem. Od czasu do czasu tylko musieli poprawiać kierunek lekkim ruchem wiosła. W pozycji leżącej, łagodnie kołysani, czuli się nieco senni. Lecz sen w tych warunkach byłby bardzo niepożądany i należało zwalczyć tę senność. Craig i Fry, by się jej nie poddać, zapalili cygara jak wytworni pływacy na pływalni.

Kilkakrotnie naszych nurków niepokoiły skoki jakichś zwierząt morskich, budząc w nieszczęśliwym Sunie wielkie przerażenie. Na szczęście były to tylko nieszkodliwe morświny. Te błazny morskie chciały po prostu zbadać, co to za dziwne istoty pętają się po ich terenie - takie same ssaki, jak i one, ale wcale nie morskie.

Ciekawe to było widowisko! Morświny zbliżały się stadami, płynęły jak strzały, odbijając w falach swe szmaragdowe barwy; wzbijały się w powietrze na jakieś sześć stóp, a ten karkołomny skok świadczył o ich zręczności i sile mięśni. Ach, gdyby tak nasi pływacy mogli pruć wodę z taką prędkością, większą niż prędkość najlepszych statków, na pewno szybko dotarliby do lądu. Miało się ochotę ucześcić tych stworzeń i pozwolić im się holować. A te koziołki, to nurkowanie! Nie, lepiej już poczekać na bryzę, która działa wprawdzie wolniej, lecz jest za to bez porównania praktyczniejsza.

Tymczasem około południa wiatr ucichł całkiem. Skończyło się na kapryśnych podmuchach, pod którymi żagielki wzdymały się na moment i opadały bezsilnie. Szot nie napręzał już trzymającej go ręki. Woda nie szumiała ani u stóp, ani za głowami płynących.

- To poważna... - zaczął Craig.

- Komplikacja - dokończył Fry.

Zatrzymano się na chwilę. Zdjęto maszty, zwinięto żagle i wszyscy, przybrawszy pozycję stojącą, obserwowali horyzont.

Morze wciąż było puste. Ani żagla na morzu, ani dymu parowca na niebie. Palące słońce wypięło wszystkie opary i jakby rozrzedziło atmosferę. Temperatura wody byłaby wysoka nawet dla ludzi nie osłoniętych podwójną powłoką kauczuku.

Tymczasem, mimo iż zapewniali, że ta przygoda skończy się szczęśliwie, Craig i Fry wciąż byli niespokojni. Nie mogli bowiem ocenić przestrzeni przebytej w ciągu szesnastu godzin; lecz fakt, że nic nie zapowiadało bliskości wybrzeża - ani statek handlowy, ani łódź rybacka - stawał się coraz bardziej niewytłumaczalny.

Na szczęście Kin Fo, Craig i Fry nie byli ludźmi poddającymi się przedwcześnie rozpacz. Mieli jeszcze zapasy na jeden dzień, a nic nie wskazywało, aby pogoda miała się pogorszyć.

- Do wiosła! - zakomenderował. Kin Fo.

Był to sygnał do drogi i to na grzbiecie, to na brzuchu, pływacy podjęli, swą podróż na zachód.

Posuwali się raczej powoli. Wiosłowanie szybko męczyło nie przyzwyczajone ramiona. Trzeba było często zatrzymywać się i czekać na Suna, który zostawał w tyle i rozpoczynał swe biadania. Jego pan przyzywał go, łajał, groził mu, ale Sun, nie bojąc się o resztę warkocza chronioną grubym

kauczukowym kapturem, nic sobie z tego nie robił. Tylko z obawy, aby go nie zostawili samego, starał się trzymać w pobliżu.

Około drugiej ukazało się kilka ptaków. Były to mewy. Lecz te szybkie ptaki zapuszczają się bardzo daleko na morze. Nie mogli więc z ich obecności wywnioskować, czy ląd jest blisko. Niemniej uznali to za dobry znak.

W godzinę później pływacy natrafili na płataninę glonów i nie mogli się z niej wydostać. Utkwili jak ryby w sieci. Trzeba było użyć noży i wyciąć drogę poprzez te morskie zarośla. Kosztowało ich to dobre pół godziny czasu i sporo sił, które mogłyby być lepiej wykorzystane.

O czwartej nasi pływacy znów się zatrzymali, trzeba przyznać, mocno zmęczeni. Podniósł się dość silny wiatr, lecz dął z południa. Zaniepokoiła ich ta okoliczność. Nie mogli bowiem płynąć z wiatrem bocznym jak statek chroniony przed zboczeniem przez kil. Gdyby więc rozwinęli żagle, groziło im, że zostaną uniesieni na północ i stracą część tego, co zyskali w kierunku zachodnim. Co więcej, wytworzyła się dość duża martwa fala. Głośno pluskały długie fale głębinowe, przez co położenie płynących stało się dużo bardziej przykre.

Postój trwał więc dość długo. Wykorzystano go nie tylko dla odpoczynku, ale i zabierając się znów za zapasy. Obiad nie był tak wesoły jak śniadanie. Za kilka godzin zapadnie noc. Wiatr wzmagął się... Co począć?

Kin Fo, wsparty na wiosła, ze zmarszczonymi brwiami, bardziej zirytowany niż niespokojny tą zawziętością wrogiego losu, nie odzywał się. Sun stękał bez przerwy i kichał jak zwykły śmiertelnik, do którego dobiega się potężny katar.

Craig i Fry czuli, że ich towarzysze zadają im nieme pytanie, lecz nie wiedzieli, co na nie odpowiedzieć! W końcu niezwykle szczęśliwy przypadek dostarczył im odpowiedzi.

Trochę przed piątą Craig i Fry, wyciągając jednocześnie rękę w kierunku południowym, zawołali:

- Żagiel!

Rzeczywiście, trzy mile od nich ukazała się łódź z rozwiniętym żaglem. I jeśli dalej popłynie w tym kierunku, z wiatrem, będzie musiała prawdopodobnie znaleźć się niedaleko od miejsca, gdzie się zatrzymali! Pozostawało więc tylko przeciąć drogę łodzi, płynąc prostopadle na jej spotkanie.

Postąpiono więc stosownie do okoliczności. Siły wróciły im. Teraz, kiedy ocalenie jest już, można powiedzieć, w rękach, nie pozwolą mu się wymknąć.

Kierunek wiatru nie pozwalał na użycie żagli, ale wiosła musiały wystarczyć, odległość bowiem od łodzi była stosunkowo nieduża. Łódź szybko rosła w oczach pod wzmagającą się bryzą. Była to zwykła łódź rybacka, a jej obecność tutaj wskazywała, że brzeg nie może być bardzo oddalony, gdyż chińscy rybacy rzadko zapuszczają się na pełne morze.

- Śmiało! Śmiało! — krzyknęli Fry-Craig, żywo wiosłując.

Nie musieli zachęcać swych towarzyszy. Kin Fo, leżąc na powierzchni wody, płynął jak kajak regatowy. Sun zaś przechodził samego siebie i trzymał się twardo, tak bardzo bał się zostać w tyle.

Około pół mili trzeba było zrobić, aby znaleźć się na drodze łodzi. Zresztą był jeszcze jasny dzień i pływacy, jeżeli nie zbliżą się dostatecznie, aby ich ujrzano, zrobią tak, by ich usłyszano. Tylko czy rybacy na widok przemawiających do nich dziwnych stworzeń morskich nie uciekną? Było to zupełnie możliwe.

Tak czy inaczej nie mogli tracić ani chwili. Toteż ręce pracowały, wiosła uderzały szybko w grzbiety małych fal, odległość zmniejszała się coraz bardziej, kiedy nagle Sun, tym razem na przedzie, wydał przenikliwy okrzyk przerażenia.

- Rekin! Rekin!

Tym razem Sun nie mylił się.

W odległości około dwudziestu stóp z wody wystawały dwa ostre zakończenia. Były to płetwy żarłocznego stworzenia żyjącego w tych morzach, rekina tygrysięgo, zasługującego na tę nazwę, gdyż natura obdarzyła go podwójnym okrucieństwem: rekina i tygrysa.

- Noże! - krzyknęli Fry i Craig.

Była to jedyna broń, jaką rozporządzali, a może ona nie wystarczyć. Sun, jak łatwo się domyślić, zatrzymał się gwałtownie i szybko uciekał do tyłu.

Rekin dostrzegł pływaków i skierował się ku nim. Przez moment jego olbrzymie prążkowane i nakrapiane zielono cielsko ukazało się w przezroczystej wodzie. Miał ponad szesnaście stóp długości. Potwór!

Najpierw rzucił się ku Kin Fo, czyniąc półobrót, by go chwycić. Kin Fo nie stracił zimnej krwi. W chwili, gdy rekin miał go dosięgnąć, oparł mu wiosło na grzbiecie i odepchnąwszy się silnie, szybko się odsunął.

Craig i Fry zbliżyli się, gotowi do ataku i do obrony.

Rekin zanurzył się na moment i wypłynął z otwartą paszczą jak ogromne nożyce, najeżoną poczwórnym rzędem zębów.

Kin Fo chciał powtórzyć fortel, co mu się tak powiodł, ale wiosło trafiło w szczękę zwierzęcia i rekin natychmiast je odgryzł. I wówczas, pólżąc na boku, rzucił się na swoją zdobycz.

W tej chwili strumienie krwi wytrysnęły fontanną i morze zabarwiło się na czerwono. To Craig i Fry uderzyli potwora i mimo że skóra jego była bardzo twarda, amerykańskie noże o długich klingach zdołały ją rozciąć.

Pysk potwora rozwarł się wtedy i zamknął z głośnym kłapnięciem, a płetwa ogonowa biła wodę jak szalona. Jedno z jej uderzeń trafiło Fry a w bok, odrzucając go dziesięć stóp dalej.

- Fry! - krzyknął Craig z akcentem takiego bólu, jakby to on sam otrzymał cios.

- Hurra! - odpowiedział Fry, wracając na stanowisko.

Nie był ranny. Kauczukowy pancerz osłabił się uderzenia. Rekin znów został zaatakowany, i to z prawdziwą pasją. Odwracał się, wywracał. Kin Fo zdołał wepchnąć mu w oko ułamany koniec wiosła i ryzykując, że potwór rozszarpie go w strzępy, usiłował utrzymać zwierzę w bezruchu, podczas gdy Craig i Fry starali się ugodzić je w serce.

Należy przypuszczać, że im się to udało, gdyż potwór, szamocząc się resztkami sił, zniknął w ostatniej fali krwi.

- Hurra! hurra! hurra! - krzyknęli jednym głosem Craig i Fry, wymachując nożami.

- Dziękuję! - powiedział tylko Kin Fo.

- Nie ma za co! - odparł Craig - Dwieście tysięcy dolarów to nie kąsek dla byle ryby!

- Nigdy! - potwierdził z zapałem Fry.

A Sun? Gdzie był Sun? Na przedzie tym razem, i to dość blisko łodzi odległej o niecałe trzy kable. Tchórz uciekał, wiosłując co sił. O mało się to dla niego źle nie skończyło.

Rybacy zobaczyli go bowiem, ale nie mogli się domyślić, że pod strojem psa morskiego kryje się istota ludzka. Postanowili więc złowić go, jakby był delfinem czy foką. Gdy zatem rzekome zwierzę znalazło się dostatecznie blisko, długa lina zaopatrzona w silny harpun wyleciała z pokładu.

Harpun trafił powyżej pasa kombinezonu Suna, a ześliznąwszy się, rozdarł go na plecach aż do karku.

Sun, utrzymywany jedynie powietrzem zawartym w podwójnej powłoce spodni, wywinął kozła i znalazł się z nogami w powietrzu, a głową w wodzie.

Kin Fo, Craig i Fry nadpłynęli akurat i zagadnęli rybaków w poprawnej chińszczyźnie. Jakże

przerazili tych poczciwców! Foki, które mówią! Mieli chęć rozwinać żagle i uciec co prędzej!

Lecz Kin Fo uspokoił ich, upewnił, że i on, i jego towarzysze są ludźmi i takimi samymi Chińczykami, jak oni sami. W chwilę później trzy ziemskie ssaki były już na pokładzie.

Pozostawał Sun. Przyciągnięto go bosakiem i wyjęto głowę z wody. Jeden z rybaków złapał go za koniec warkocza i pociągnął... Warkocz Suna został mu cały w ręce, a biedaczysko znowu zniknął w falach.

Wówczas rybacy opasali go sznurem i nie bez trudu wciągnęli do łodzi.

Gdy tylko znalazł się na pokładzie i zwrócił morską wodę, której się nałykał, Kin Fo zbliżył się i rzekł do niego surowo:

- Więc ten warkocz był sztuczny!

- Jakżebym inaczej mógł służyć u pana, skoro znałem pana zwyczaję? - odpowiedział Sun.

A powiedział to tak zabawnie i żałośnie, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Rybacy byli ludźmi z Funingu. O niecałe sześć mil czekał na nich właśnie port, do którego chciał się dostać Kin Fo.

Jeszcze tego wieczoru, około ósmej, wylądowali w nim, a zrzuciwszy kombinezony kapitana Boytona, odzyskali wygląd istot ludzkich.

# ROZDZIAŁ 21

## W KTÓRYM CRAIG I FRY Z WIELKIM ZADOWOLENIEM OGLĄDAJĄ WSCHÓD KSIĘŻYCA

- A teraz do tajpinga!

Takie były pierwsze słowa, jakie wymówił Kin Fo następnego poranka, 30 czerwca, po nocnym odpoczynku, jakże zasłużonym przez bohaterów tych niezwykłych przygód.

Nareszcie byli na terenie działalności Lao Szenia. Niebawem rozpocznie się ostateczna walka. Czy Kin Fo wyjdzie z niej zwycięzcą? Bez wątplenia tak, jeżeli zaskoczy tajpinga, gdyż gotów jest zapłacić za list każdą cenę, jakiej zażąda Lao Szeń. Lecz na pewno nie, jeśli da się zaskoczyć i otrzyma cios sztyletem w pierś, zanim zdoła porozumieć się z okrutnym pełnomocnikiem Wanga.

- Do tajpinga! - odpowiedzieli Craig-Fry, wymienisz między sobą spojrzenia.

Przybycie Kin Fo, Fry-Craiga i Suna w przedziwnych kostiumach, sposób, w jaki rybacy znaleźli ich na morzu, wszystko to wzbudziło pewną sensację w małym porcie Funing. Trudno im było umknąć przed powszechną ciekawością. Eskortowano ich więc poprzedniego wieczoru do gospody, gdzie dzięki pieniądzom ukrytym w pasie Kin Fo i worku Fry--Craiga, mogli się postarać o bardziej odpowiedni ubiór. Gdyby Kin Fo i jego towarzysze nie byli tak otoczeni udając się do gospody, zauważyliby może pewnego Niebiańczyka, który nie odstępował ich ani na krok. Zdziwienie ich wzrosłoby na pewno, gdyby zobaczyli go, jak stoi na czatach przed oberżą przez całą noc. Wreszcie usprawiedliwioną nieufność wywołałoby odnalezienie go rano na tym samym miejscu.

Ale oni niczego nie widzieli, niczego nie podejrzewali, nie mieli też powodu zdziwić się, że ten podejrzany osobnik zaofiarował im swe usługi w charakterze przewodnika, gdy wychodzili z gospody. Był to mężczyzna około trzydziestki, wyglądający bardzo uczciwie.

Agenci mieli jednak pewne podejrzenia i zaczęli rozpytywać tego człowieka.

- Dlaczego chcesz być naszym przewodnikiem i dokąd pragniesz nas zaprowadzić?

Bardzo naturalnie zabrzmiało to podwójne pytanie, ale nie mniej naturalna była odpowiedź, jaką otrzymali.

- Przypuszczam, że jak wszyscy turyści, którzy przybywają do Funingu, macie zamiar zwiedzić Wielki Mur. Znam te strony i podejmuję się zaprowadzić was tam.

- Dobry człowieku - wtrącił Kin Fo - zanim podejmiemy decyzję, chciałbym wiedzieć, czy ta prowincja jest bezpieczna.

- Bardzo bezpieczna - odpowiedział przewodnik.

- A czy nie mówią w okolicy o jakimś Lao Szeniu?

- O Lao Szeniu, tajpingu?

- Tak

- Owszem - odrzekł przewodnik - ale po tej stronie Wielkiego Muru nie ma się go co obawiać. Nie śmiałyby zapuścić się na te ziemie. Jego banda działa tylko na terenach mongolskich.

- Czy wiadomo, gdzie on teraz przebywa? - spytał jeszcze Kin Fo. - Widziano go ostatnio w okolicach Cingtangu, o kilka li od Wielkiego Muru.

- A jaka odległość dzieli Funing od Cingtangu?

- Mniej więcej pięćdziesiąt li.

- Dobrze, przyjmuję twoje usługi.

- Mam pana zaprowadzić do Wielkiego Muru?



- Masz mnie zaprowadzić do obozowiska Lao Szana. Przewodnik nie zdołał powstrzymać zdziwienia.

- Dobrze ci zapłacę! — przyrzekł Kin Fo.

Przewodnik potrząsnął głową jak człowiek, który nie dba o przekroczenie granicy, po czym rzekł:

- Do Wielkiego Muru, dobrze! Poza mur, nie! Nie chcę narażać życia!

- Oceń, ile twoje życie warte! Zapłacę za nie.

- Niech będzie! - zdecydował się przewodnik. Odwracając się do agentów, Kin Fo dodał:

- Panowie nie musicie mi towarzyszyć!

- Tam, dokąd pan pójdzie... - zaczął Craig.

- Tam i my pójdziemy - dokończył Fry.

Klient "Stulecia" ciągle jeszcze wart był dla nich dwieście tysięcy dolarów.

Po tej rozmowie zresztą agenci wydawali się zupełnie uspokojeni w stosunku do osoby przewodnika. Lecz, gdyby mu wierzyć, poza barierą, jaką Chińczycy wzniesli przeciw napadom hord mongolskich, należało się wszystkiego spodziewać.

Wkrótce poczyniono przygotowania do odjazdu. Nie zapytano Suna, czy odpowiada mu wyruszenie w podróż. Musiało mu odpowiadać.

W małym miasteczku Funing brakowało całkowicie takich środków transportu, jak powozy czy wózki. Nie więcej było też koni i mułów. Znalazła się jednak pewna liczba wielbłądów, służących Mongołom do celów handlowych. Ci gotowi na ryzyko kupcy posuwają się karawanami drogą z Pekinu do Kiachty, pędząc przed sobą niezliczone stada tłustych baranów. Nawiązują w ten sposób kontakty między azjatycką Rosją a Niebiańskim Cesarstwem. Ale i oni nie ryzykują przeprawy przez szerokie stopy inaczej, jak w licznych i dobrze uzbrojonych grupach. "Są to ludzie dzicy i dumni - pisze de Beauvoir - dla których Chińczycy są jedynie przedmiotem pogardy."

Nabyto pięć wielbłądów z bardzo prostą uprzężą. Objuczono je zapasami, dokonano zakupu broni i odjechano pod wodzą przewodnika.

Przygotowania te wymagały jednak pewnego czasu. Odjazd więc nie mógł nastąpić wcześniej jak o pierwszej po południu. Pomimo tego opóźnienia przewodnik ręczył, że przed północą przybędą pod Wielki Mur. Tam rozbiją obozowisko, a nazajutrz rano, jeżeli Kin Fo będzie obstawał przy swej nierozsądnej decyzji, przekroczą Wielki Mur.

Okolice Funingu były pagórkowate. Gęste chmury żółtego pyłu unosiły się nad drózkami przecinającymi uprawne pola. Czuło się tu jeszcze żyzne tereny Niebiańskiego Cesarstwa.

Wielbłądy kroczyły odmierzoną krokiem, niespiesznym, lecz rytmicznym. Przewodnik wyprzedzał Kin Fo, Suna i Fry-Craiga, zagłębionych między dwoma garbami swych wierzchowców, Sunowi bardzo przypadł do gustu ten sposób podróżowania i w tych warunkach pojechałby nawet na koniec świata.

Droga nie była uciążliwa, ale panował duży upał. W powietrzu silnie rozgrzanym przez słońce powstawały ciekawe miraże. Rozległe wodne równiny, wielkie jak morze, zjawiały się na horyzoncie i znikwały zaraz, ku wielkiemu zadowoleniu Suna, który już zaczynał się lękać jakiejś nowej przeprawy morskiej.

Mimo że ta prowincja leżała przy najdalszych granicach Chin właściwych, nie należy sądzić, iż była bezludna. Niebiańskie Cesarstwo choć tak obszerne, jest jeszcze za małe dla ludności ściśniętej na jego powierzchni. Toteż nawet obrzeża azjatyckiej pustyni mają licznych mieszkańców.

Ludzie pracowali w polu. Kobiety tatarskie, łatwe do rozpoznania po różowych i niebieskich barwach ubrania, pomagały przy pracach rolnych. Stada żółtych baranów z długimi ogonami - na te ogony Sun nie mógł patrzeć bez zawiści - pasły się tu i tam, obserwowane z góry przez czarnego orła.

Biada nieszczęsnemu zwierzęciu, które odbiło się od stada! Okrutnie drapieżne, ptaki te atakują barany, muflony, młode antylopy, a Kirgizi ze stepów Azji Środkowej posługują się nawet nimi jak psami myśliwskimi.

Ze wszystkich stron ulatywały chmury dzikiego ptactwa. Strzelba by tu nie próżnowała, lecz prawdziwy myśliwy niechętnie spoglądałby na sidła, sieci i inne narzędzia zniszczenia godne najwyżej kłusownika, a pokrywające ziemię między zagonami pszenicy, prosa i kukurydzy.

Kin Fo i jego towarzysze jechali w tumanach mongolskiego pyłu. Nie zatrzymywali się ani w zacienionych miejscach drogi, ani w odosobnionych gospodarstwach, ani w miasteczkach sygnalizowanych z rzadka stupami, wzniesionymi na cześć jakiegoś bohatera legendy buddyjskiej. Posuwali się gęsiego, pozwalając się nieść wielbłodom, które mają zwyczaj chodzić jeden za drugim i których krok odmierzają wiszące na ich szyjach czerwone dzwoneczki.

W tych warunkach jakakolwiek rozmowa była niemożliwa. Przewodnik, z natury mało rozmowny, prowadził naszych wędrowców, obserwując teren w promieniu niezwykle ograniczonym przez gęsty pył. Nie wahał się jednak nigdy, jaką drogę obrać, nawet na skrzyżowaniach, przy których brakowało drogowskazów. Toteż Fry-Craig nie odczuwali już wobec niego nieufności i oddali się wyłącznie czuwaniu nad cennym klientem "Stulecia". Naturalną rzeczą kolejną, w miarę jak zbliżali się do celu, niepokój ich wzrastał. Istotnie, w każdej chwili mogli, nie będąc w stanie temu zapobiec, znaleźć się w obecności człowieka, który jednym dobrze odmierzonym ruchem pozbawiłby ich dwustu tysięcy dolarów.

Kin Fo zaś był w nastroju ducha, kiedy to wspomnienia przeszłości dominują nad lękami teraźniejszości i przyszłości. Przeżywał wydarzenia swego życia z ostatnich dwóch miesięcy. Ciągłe niepowodzenia bardzo poważnie go niepokoiły. Czyż od dnia, kiedy jego korespondent z San Francisco przysłał mu wiadomość o rzekomej ruinie, nie wszedł w okres zaiste niezwykłych złośliwości losu? Czyżby nie miał doznać równowagi między drugą częścią swej egzystencji a pierwszą, której przywilejów w głupocie swej nie dostrzegał? Czy ta seria przeciwności skończy się wraz z odebraniem listu z rąk Lao Szena, o ile zdoła mu go odebrać bez walki? Czy urocza Liu swoją obecnością, staraniami, czułością, miłą wesołością potrafi przepędzić złe duchy, co tak się na niego zawzięły? Tak, cała przeszłość wracała do niego, martwiła go i niepokoiła! A Wang! Nie może go oczywiście oskarżać o to, że chciał dotrzymać zaprzysiężonej obietnicy, ale Wang, filozof, stały mieszkaniec szanghajskiego jamenu, nie zjawi się tam już i nie nauczy go mądrości!

- Spadnie pan - krzyknął w tym momencie przewodnik, bo wielbłąda jego potracił wielbłąd Kin Fo i marzyciel omal nie znalazł się na ziemi.

- Przyjechaliśmy? - spytał.

- Jest godzina ósma - odparł przewodnik - i może zatrzymamy się tutaj i posilimy?

- A potem?

- Potem pojedziemy dalej.

- Zrobi się noc.

- O, niech się pan nie obawia, że pobłądzę! Do Wielkiego Muru jest jeszcze blisko dwadzieścia li i trzeba pozwolić odpocząć naszym zwierzętom.

- Niech będzie! - zgodził się Kin Fo.

Przed nimi na drodze stała opuszczona rudera. Obok, w krętym parowie, szumiał strumyk i zwierzęta mogły ugasić pragnienie.

Tymczasem, aby zdążyć przed nadejściem nocy, nasi podróżnicy ulokowali się w tej rudercie i tam zjedli posiłek z apetytem zaostrozonym długą podróżą.

Rozmowa nie kleiła się jednak. Parokrotnie Kin Fo skierował ją na Lao Szena. Zapytał

przewodnika, co to jest za człowiek, czy go zna. Przewodnik potrząsnął głową niepewnie i jak mógł, usiłował uniknąć odpowiedzi.

- Przyjeżdża kiedy do tej prowincji? - spytał Kin Fo.

- Nie - odpowiedział przewodnik- ale tajpingowie z jego bandy nieraz przekraczali Wielki Mur i niedobrze było ich spotkać. Niechaj Budda chroni nas przed tajpingami!

Po tych odpowiedziach, których znaczenia dla rozmówcy nie mógł odgadnąć przewodnik, Craig i Fry zerknęli na siebie marszcząc brwi, wyjęli zegarki, a spojrzawszy nań, pokiwali głowami.

- Dlaczego - pytali - nie mielibyśmy poczekać tutaj spokojnie na nadejście dnia?

- W tej ruderze? - oburzył się przewodnik. - Wolałbym zostać w pustym polu. Tam trudniej dać się zaskoczyć.

- Umówiliśmy się, że będziemy dziś w nocy pod Wielkim Murem -przerwał Kin Fo. - Życzę sobie być tam i będę.

Powiedział to tak nie znoszącym dyskusji tonem, że nawet Sun, już opanowany strachem, nie ośmielił się zaprotestować.

Po skończonym posiłku - była już prawie dziewiąta - przewodnik wstał i dał sygnał do odjazdu.

Kin Fo podszedł do swego wierzchowca. Craig i Fry zbliżyli się wówczas do niego.

- Czy jest pan zdecydowany - pytali - oddać się w ręce Lao Szena?

- Absolutnie zdecydowany - odparł. - Pragnę odzyskać list za wszelką cenę.

- Niebezpiecznie jest - podjęli - iść do obozu tajpinga!

- Nie po to tu przyjechałem, żeby teraz się cofać - odparł żywo Kin Fo. - Nie musicie mi towarzyszyć!

Przewodnik zapalił ręczną latarnię. Agenci zbliżyli się i znów spojrzeli na zegarki.

- Byłoby jednak przeczniej poczekać do jutra - nalegali.

- A to dlaczego? Lao Szen będzie równie niebezpieczny jutro czy pojutrze, jak dzisiaj! W drogę!

- W drogę! - powtórzyli Craig-Fray.

Przewodnik słyszał tę rozmowę. Kilka razy już podczas postoju, kiedy agenci usiłowali odwieść Kin Fo od dalszej drogi, na jego twarzy odmalowywało się pewne niezadowolenie. Teraz, gdy zobaczył, że znów nalegają, nie mógł powstrzymać odruchu zniecierpliwienia.

Nie uszło to uwagi Kin Fo, zdecydowanego w żadnym razie nie cofnąć się ani na krok. Ale wielkie było jego zdziwienie, kiedy pomagając mu dosiąść wielbłąda, przewodnik pochylił się i szepnął mu do ucha:

- Niech pan nie ufa tym ludziom!

Kin Fo chciał zażądać wyjaśnienia tych słów. Przewodnik dał mu znak, - by milczał, i stanął na czele pochodu: maleńka karawana zapuściła się w nocne bezdroża.

Czy ziarno nieufności utkwilo w mózgu klienta Fry-Craiga? Czy zupełnie nieoczekiwane i niezrozumiałe słowa przewodnika mogły przeważyć dwa miesiące poświęcenia, jakiego nie szczędzili mu agenci? Nie, oczywiście, że nie! A swoją drogą Kin Fo zadał sobie pytanie, dlaczego Fry-Craig namawiali go, aby odłożył swą wizytę u tajpinga lub zrezygnował z niej. Czyż nie dlatego tak nagle wyjechali z Pekinu, żeby się zobaczyć z Lao Szenem? Przecież również w interesie agentów "Stulecia" leżało, aby ich klient odzyskał ten głupi i niebezpieczny list. To ich naleganie było więc dosyć zagadkowe.

Kin Fo nie zdradził się ze swymi uczuciami. Zajął znów swe miejsce za przewodnikiem, Craig-Fry za nim, i tak jechali dobre dwie godziny.

Musiało już być blisko dwunastej, kiedy przewodnik zatrzymał się i pokazał na północy długą, czarną linię, rysującą się słabo na nieco jaśniejszym tle nieba. Za tą linią srebrzyły się jakieś ukryte

szczyty, już oświetlone pierwszymi promieniami księżycy, ukrytego jeszcze za horyzontem.

- Oto Wielki Mur! - oznajmił.

- Możemy go przekroczyć tej nocy jeszcze? - zapytał Kin Fo.

- Tak, jeżeli pan koniecznie chce! - odparł przewodnik.

- Chcę!

Wielbłądy zatrzymały się.

- Pójdę zbadać teren - oświadczył przewodnik. - Zaczekajcie na mnie.

I oddalił się.

W tej chwili Craig i Fry podeszli do Kin Fo.

- Panie... - rzekł Craig.

- Panie... - rzekł Fry.

I obaj jednym tchem wyrzucili z siebie:

- Czy był pan zadowolony z naszych usług, odkąd dwa miesiące temu czcigodny William J. Bidulph przydzielił nas do pańskiej osoby?

- Bardzo zadowolony!

- Czy zechciałby pan podpisać nam ten papierek świadczący, że nasze gorliwe i lojalne usługi zadowolili pana?

- Ten papier? - spytał Kin Fo, nieco zdziwiony na widok kartki wyrwanej z jego własnego notesu, którą podawał mu Craig.

- Za taki pisemny dowód otrzymamy pewnie pochwałę naszego przełożonego! - dodał Fry.

- I bez wątpienia dodatkową premię! - dodał Craig.

- Służę panu mym grzbietem w charakterze pulpitu do pisania - Craig pochylił się.

- A ja atramentem, aby pan mógł nam dać ten pisemny dowód uprzejmości - dodał Fry.

Kin Fo roześmiał się i podpisał.

- A teraz powiedzcie mi - rzekł - dlaczego urządzenie tę ceremonię w tym miejscu i o tej porze?

- W tym miejscu dlatego - objaśnił go Fry - że nie mamy zamiaru towarzyszyć panu dalej.

- A o tej porze dlatego - wyjaśnił Craig - że za kilka minut będzie północ!

- A co ma do tego godzina?

- Panie - podjął Craig - zainteresowanie, jakim darzyło pana nasze towarzystwo ubezpieczeniowe...

- Skończy się za kilka minut...

- I z tą chwilą może się pan zabić...

- Albo dać się zabić...

- Jeżeli się panu spodoba!...

Kin Fo patrzył, nie rozumiejąc, na agentów, którzy rozmawiali z nim tonem uprzejmej pogawędki towarzyskiej. W tej chwili na wschodzie pojawił się księżyc i rzucił na nich pierwszą wiązkę promieni.

- Księżyc!... - zawołał Fry.

- A dziś jest 30 czerwca!... - przypomniał Craig.

- Księżyc wschodzi o północy...

- A ponieważ pańska polisa nie jest przedłużona... - Nie jest pan już klientem "Stulecia"...

- Dobranoc, panie Kin Fo!... - rzekł Craig.

- Panie Kin Fo, dobranoc!... - rzekł Fry.

I agenci odwrócili się ze swymi wierzchowcami i zniknęli ku oszołomieniu klienta.

Zaledwie zamilkł odgłos kopyt wielbłądów unoszących tych może nieco zanadto praktycznych

Amerykanów, kiedy grupa mężczyzn prowadzona przez przewodnika rzuciła się na Kin Fo, który na próżno usiłował się bronić, i na Suna, który daremnie starał się uciec.

W chwilę później pan i służący znaleźli się w niskiej izbie jednego z opuszczonych bastionów Wielkiego Muru i brama zamknęła się za nimi dokładnie.

# ROZDZIAŁ 22

## KTÓRY CZYTELNIK MÓGLBY SAM NAPISAĆ, GDYŻ KOŃCZY SIĘ ON NIEZBYT NIEOCZEKIWANIE

Wielki Mur - parawan chiński, długości ponad półtora tysiąca kilometrów - zbudowany w III wieku przed naszą erą przez cesarza Cinszy Huanga, ciągnie się od Zatoki Liaotung, w której zwiłża swe dwa nasypy, aż do prowincji Kansu, gdzie maleje do wymiarów zwykłego muru. Jest to nieprzerwany ciąg podwójnych szanów bronionych przez bastiony i wieże, wysokich na pięćdziesiąt stóp, szerokich na dwadzieścia, u podstawy z głazów granitowych, wyżej z cegieł, zuchwale biegnących wzdłuż kapryśnej linii gór.

Od strony Niebiańskiego Cesarstwa mur jest w kiepskim stanie. Od strony mandzurskiej przedstawia się lepiej, a jego blanki tworzą jeszcze wspaniałą koronkę z kamieni.

Na tej długiej linii fortyfikacji nie ma żadnych obrońców, armat - tak samo. Rosjanin, Tatar, Kirgiz, równie jak Chińczycy, mogą swobodnie przechodzić przez wszystkie bramy. Parawan nie chroni już dawnej północnej granicy cesarstwa nawet przed drobnym pyłem mongolskim, który wiatr z północy niesie niekiedy aż do jego stolicy.

Pod bramą jednego z tych pustych bastionów Kin Fo i Sun, po bardzo złej nocy spędzonej na słomie, musieli przejść następnego ranka pod eskortą dwunastu ludzi, należących naturalnie do bandy Lao Szena.

A przewodnik zniknął. Kin Fo nie robił sobie już żadnych złudzeń. To przecież nie przypadek postawił go na ich drodze. Były klient „Stulecia” najwidoczniej był oczekiwany przez tego nędznika. Jego wahania i niechęć do zapuszczenia się poza Wielki Mur były po prostu podstępem dla odwrócenia podejrzeń. Ten łotr należał także do tajpinga i działał z jego rozkazów.

Zresztą Kin Fo nie miał pod tym względem wątpliwości, gdy zapytał człowieka, który wyglądał na dowódcę eskorty.

- Prowadzicie mnie pewnie do obozowiska Lao Szena, waszego przywódcy?

- Będziemy tam za jakąś godzinę - odpowiedział tamten.

Koniec końców, kogo tu szukał uczeń Wanga? Pełnomocnika filozofa! Prowadzono go więc tam, dokąd sam chciał iść! Czy to było z dobrej woli, czy siłą, jaka różnica? Nie miał powodu się skarżyć. Trzeba było raczej zostawić to Sunowi, któremu głowa trzęsła się ze strachu, a zęby szczękały. Kin Fo, jak zawsze flegmatycznie i z zimną krwią, pogodził się z przygodą i pozwolił się prowadzić. Nareszcie będzie mógł pertraktować z Lao Szenem w sprawie wykupu listu. Tego przecież pragnął. Wszystko w porządku.

Po przebyciu Wielkiego Muru grupka skierowała się nie na szeroką drogę prowadzącą ku Mongolii, lecz na strome ścieżki w górzystym rejonie prowincji. Szli około godziny z taką szybkością, na jaką pozwalało wzniesienie terenu. Kin Fo i Sun byli tak otoczeni, że nie mogliby uciec, zresztą ani o tym marzyli.

Po upływie półtorej godziny strażnicy i więźniowie dostrzegli na zakręcie odnogi górskiej na pół zrujnowany budynek.

Była to dawna posiadłość bonzów wzniesiona na jednej z górskich skarp, ciekawy zabytek architektury buddyjskiej. Ale w tym zagubionym kącie, w pustynnej okolicy, jacyż to wierni mieli odwagę odwiedzać tę świątynię? Zapuszczanie się w te wąwozy, tak bardzo nadające się do zasadzek i napadów, musiało być jednak dosyć ryzykowne.

Jeżeli tajping Lao Szen założył sobie obóz w tym właśnie górzystym rejonie prowincji, trzeba przyznać, że wybrał miejsce godne swych wyczynów.

Na pytanie Kin Fo dowódca eskorty odparł, że Lao Szen istotnie tam mieszka.

- Chcę się z nim zaraz zobaczyć - rzekł Kin Fo.

- Zaraz - odpowiedział dowódca.

Kin Fo i Sun, którym wcześniej odebrano broń, zostali wprowadzeni do obszernej sieni, będącej przedsionkiem świątyni. Zgromadziło się w niej ze dwudziestu uzbrojonych ludzi w malowniczych strojach zawodowych rzeźmieszków, o fizjonomiach nie budzących nadmiernego zaufania.

Kin Fo śmiało przeszedł pomiędzy podwójnym szeregiem tajpingów. Suna natomiast trzeba było energicznie pchnąć, by ruszył śladem swego pana.

Z głębi sieni wąskie schody prowadziły głęboko w masyw górski. Wskazywało to na istnienie krypty wydrążonej pod głównym budynkiem zabytku i trudne lub zgoła niemożliwe byłoby zejście tam dla kogoś, kto by nie znał dobrze tego podziemnego labiryntu.

Zszedłszy trzydzieści stopni i przeszedłszy jeszcze sto kroków w mglistym świetle pochodni trzymanyh przez ludzi z eskorty, więźniowie dotarli do obszernej sali o takim samym oświetleniu.

Była to rzeczywiście krypta. Masywne słupy, zdobne odrażającymi głowami potworów należących do groteskowej mitologii chińskiej, podtrzymywały spłaszczone łuki, których żebra łączyły się ze zwornikami ciężkiego sklepienia.

Gdy weszli więźniowie, w podziemnej sali dał się słyszeć głuchy szmer. Sala bowiem nie była pusta. Aż po najciemniejsze zakamarki wypełniał ją tłum ludzi. Cała banda tajpingów zgromadziła się tam na jakąś podejrzaną uroczystość.

W głębi krypty na szerokim, kamiennym podwyższeniu stał wysoki mężczyzna. Wyglądał jak przewodniczący tajnego trybunału. Obok niego czterej nieruchomi towarzysze zdawali się tworzyć kolegium sędziowskie.

Mężczyzna dał znak. Tłum rozsunął się, by przepuścić więźniów. -

- Lao Szen- powiedział tylko przywódca eskorty, wskazując na stojącą postać.

Kin Fo postąpił krok i od razu przystąpił do rzeczy, by skończyć wreszcie z tą historią.

- Lao Szen, jesteś w posiadaniu listu, który przesłał ci twój dawny towarzysz Wang. Ten list jest już bez znaczenia i proszę, abyś mi go zwrócił.

Po tych słowach, wymówionych stanowczym tonem, tajping nie poruszył nawet głową. Wyglądał jak figura odlana z brązu.

- Czego żadasz za zwrot tego listu? - podjął Kin Fo. I znów nie doczekał się odpowiedzi.

- Lao Szen, dam ci w mieście, jakie sam wybierzesz, i na bank, jakiego będziesz sobie życzył, przekaz pieniężny płatny w całości, a zaufany człowiek posłany po odbiór nie będzie miał żadnych nieprzyjemności.

Znów lodowate milczenie ponurego tajpinga, milczenie nie wróżące nic dobrego.

Kin Fo podjął, akcentując wyraźnie każde słowo:

- Na jaką sumę mam wypisać przekaz? Ofiarowuję ci pięć tysięcy taelów.

Milczenie.

- Dziesięć tysięcy taelów?

Lao Szen i jego towarzysze byli tak samo niemi, jak posągi zdobiące ten dziwny przybytek.

Gniewna niecierpliwość ogarnęła Kin Fo. Jego propozycje zasługiwały chyba na odpowiedź, jakąkolwiek by ona była.

- Nie rozumiesz mnie? - spytał tajpinga.

Lao Szen tym razem raczył pochylić głowę na znak, że doskonale rozumie.

- Dwadzieścia tysięcy taelów! Trzydzieści tysięcy taelów! - krzyknął Kin Fo.- Ofiarowuję ci tyle, ile zapłaciłoby "Stulecie", gdybym umarł!

Podwójną kwotę! Potrójną! Mów! Czy to ci wystarczy?

Kin Fo, którego to milczenie wyprowadzało z równowagi, podszedł do podwyższenia i skrzyżowawszy ręce na piersiach, spytał:

- Za jaką więc cenę chcesz mi odprzedać ten list?

- Za żadną cenę — odpowiedział wreszcie tajping. — Obraziłeś Buddę gardząc życiem, które ci dał, i Budda chce być pomszczony. Dopiero wobec śmierci poznasz wartość łaski istnienia, łaski tak długo przez ciebie nie uznawanej!

Powiedziawszy to tonem nie znoszącym sprzeciwu, Lao Szen skinął dłonią. Kin Fo nie mógł nawet się bronić: błyskawicznie został schwytany, skrępowany i wyprowadzony. W kilka chwil później znalazł się w rodzaju pudła mogącego służyć jako lektyka i szczelnie zamkniętego.

Sun, nieszczęsny Sun, mimo krzyków i błagań musiał się poddać, takiemu samemu losowi.

- A więc śmierć! - powiedział sobie Kin Fo. - Dobrze, niech będzie! Ten, kto wzgardził życiem, zasłużył na śmierć!

Śmierć jednak, choć wydawała mu się nieunikniona, wcale nie była tak bliska, jak przypuszczał. Lecz jak straszliwe tortury przygotował dla niego okrutny tajping, tego nie mógł sobie nawet wyobrazić.

Godziny mijały. Kin Fo czuł, że razem z pudłem, w którym go uwięziono, został uniesiony i przetransportowany do jakiegoś wehikułu. Mówiły o tym wstrząsy i podskoki kół na drodze, rzenie koni i szczęk broni eskorty. Uwożono go dalej. Ale dokąd? Na próżno by usiłował odgadnąć.

Po siedmiu, może ośmiu godzinach, Kin Fo poczuł, że pojazd zatrzymuje się, że ludzie wyjmują z niego pudło, w którym był zamknięty, a niebawem wstrząsy drogi lądowej ustały.

- Czyżbym był na statku? - zastanowił się.

Bardzo wyraźne kołysanie i drgania śruby utwierdziły go w przekonaniu, że znajduje się na jakimś parowcu.

"Śmierć w morskich falach! - pomyślał. - Niech będzie! Pozwalają mi uniknąć o wiele gorszych tortur. Dziękuję ci, Lao Szen!"

Tymczasem dwa razy jeszcze minęły dwadzieścia cztery godziny. Dwukrotnie każdego dnia wsuwano do jego pudła trochę pożywienia przez lufcik w drzwiach, ale więzień ani nie mógł widzieć ręki, która je podawała, ani nie otrzymał żadnej odpowiedzi na swe pytania.

Ach, Kin Fo przed wycofaniem się z tego życia, które niebiosy uczyniły mu tak pięknym, szukał wzruszeń! Nie chciał, aby jego serce przestało bić, nie uderzywszy choć raz silniej! Cóż, pragnienie jego spełniono, i to w większym stopniu, niż mógł sobie życzyć!

Lecz skoro przeznaczonym mu było pożegnać się z życiem, Kin Fo chciał umrzeć w pełnym świetle. Nie do zniesienia była świadomość, że wcześniej czy później pudło zostanie wrzucone do morza. Umrzeć, nie ujrawszy ostatni raz światła dziennego ani i biednej Liu, której wspomnienie wypełniało go całego — nie, tej myśli nie był w stanie znieść.

Wreszcie po pewnym czasie, którego nie umiał określić, wydało mu się, że długi rejs nagle się skończył. Drgania śruby ustały. Statek wiozący jego więzienie zatrzymał się. Kin Fo poczuł, że znów podniesiono pudło.

Tym razem była to już ostatnia chwila i skazanemu pozostało tylko błagać o darowanie mu błędów życia.

Upłynęło kilka minut - lat! wieków!

Z wielkim zdumieniem Kin Fo stwierdził przede wszystkim, że pudło znowu spoczywa na stałym



gruncie. Nagle otwarto jego więzienie. Jakieś ramiona chwyciły go, momentalnie zawiązano mu oczy szeroką opaską i brutalnie wyciągnięto na zewnątrz. Silnie trzymany, Kin Fo musiał zrobić parę kroków. Potem strażnicy zmusili go, by się zatrzymał.

- Mam umrzeć - krzyknął Kin Fo - i wcale nie żądam, byście mi darowali życie, skoro nie umiałem żyć, ale pozwólcie przynajmniej, abym umarł w jasnym świetle dnia jak człowiek, który nie obawia się spojrzeć śmierci w oczy.

- Dobrze - odpowiedział poważny głos. - Niech się stanie, jak sobie życzy skazany!

I w tej chwili zerwano mu przepaskę z oczu.

Kin Fo rzucił chciwe spojrzenie dokoła.

Czy jest igraszką snu? Stał tam stół, wykwintnie nakryty, a siedzący przy nim biesiadnicy - w liczbie pięciu - z uśmiechami na twarzach zdawali się czekać na niego z rozpoczęciem posiłku. Dwa nie zajęte miejsca jakby oczekiwały dwóch ostatnich biesiadników.

- To wy??? Wy? Drodzy przyjaciele! Czy ja rzeczywiście was widzę? -zawołał Kin Fo z nie dającym się opisać zdumieniem.

Ale nie! Nie mylił się. Był tam filozof Wang! Byli Jin Pang, Hua, Pao Szen i Tim, jego przyjaciele z Kantonu, ci sami, których przed dwoma miesiącami podejmował na statku na Rzece Perłowej, towarzysze jego młodości, świadkowie pożegnania z kawalerskim życiem!

Kin Fo nie mógł oczom uwierzyć. Znajdował się u siebie, w jadalni swojego szanghajskiego jamenu!

- Jeżeli to jesteś ty — zaczął, zwracając się do Wanga — a nie twój cień to odezwij się...

- To ja we własnej osobie, przyjacielu — odpowiedział filozof. — Czy darujesz swemu staremu nauczycielowi tę ostatnią i trochę przykrą

lekcję filozofii, jakiej musiał ci udzielić?

- Jak to? - zdziwił się Kin Fo. - Więc to byłeś ty? Ty, Wangu?!

- Tak, to byłem ja - odparł Wang. - Po pierwsze, tylko dlatego przyjąłem misję odebrania ci życia, aby nie przyjął jej kto inny! Po drugie, wiedziałem wcześniej niż ty, że nie jesteś zrujnowany i że przyjdzie chwila, kiedy nie będziesz już chciał umrzeć! Mój dawny towarzysz, Lao Szen, który poddał się i będzie odtąd najsilniejszą podporą cesarstwa zgodził się pomóc mi stawiając cię w obliczu śmierci, abyś zrozumiał, jaka jest cena życia. Jeżeli, choć serce mi krwawiło, pozwoliłem ci cierpieć i co gorsza, kazałem ci krążyć po świecie nieomal ponad ludzkie możliwości, to dlatego, iż miałem pewność, że szukasz własnego szczęścia i że w końcu dopędzisz je po drodze!

Kin Fo znalazł się w ramionach Wanga, który przyciskał go serdecznie do piersi.

— Mój biedny Wangu - mówił bardzo wzruszony Kin Fo - gdybym przynajmniej jeździł sam! Ale ileż przeze mnie cierpiełeś! Ile musiałeś się ty także nabiegać i jeszcze na moście Paliciao zmusiłem cię do kąpieli!

— A, tak rzeczywiście - odpowiedział śmiejąc się Wang - było to trochę ryzykowne przy moich pięćdziesięciu pięciu latach i z moją filozofią! Zgrzałem się, a woda była bardzo zimna! Ale cóż! Wybrnąłem z tego. Nigdy nie biega się i nie pływa tak dobrze, jak z myślą o innych!

— Dla innych! — powtórzył Kin Fo w zamyśleniu. — Tak! Wszystko trzeba umieć zrobić dla innych! W tym tkwi tajemnica szczęścia!

W tej chwili wsunął się Sun, blady jak człowiek, którego choroba morska dręczyła przez czterdzieści osiem straszliwych godzin. Podobnie jak jego pan, biedny służący musiał przebyć całą drogę z Funingu do Szanghaju, i to w jakich warunkach! Wystarczyło spojrzeć na jego minę!

Kin Fo, wyrwawszy się z uścisków Wanga, witał się z przyjaciółmi.

— Och, stanowczo wolę, że jest, jak jest! — oświadczył. — Głupcem byłem dotąd!...

— Ale możesz jeszcze zmartwić — pocieszył go filozof.

— Postaram się — zgodził się Kin Fo. — Na początek pragnę uporządkować swoje sprawy. Błądził po świecie mały skrawek papieru, który był dla mnie przyczyną zbyt ciężkich przeżyć, abym mógł o nim zapomnieć. Co się właściwie stało z tym przeklętym listem złożonym w twoje ręce, drogi Wangu? Nie masz go naprawdę? Bardzo chciałbym go zobaczyć, bo gdyby znowu miał zagać... Lao Szen, jeżeli jest jeszcze w jego posiadaniu, nie może przywiązywać żadnego znaczenia do takiego papierka, a dla mnie byłoby fatalne, gdyby miał wpaść w jakieś ręce... mało delikatne!

Na te słowa wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Przyjaciele — powiedział Wang- Kin Fo stanowczo zyskał coś jednak na swych przykrych przeżyciach: stał się człowiekiem metodycznym! To już nie nasz dawny obojętny przyjaciel! Zaczyna myśleć jak stateczny człowiek!

— Co nie zmienia faktu, że listu nadal nie mam - podjął żywo Kin Fo -tego idiotycznego listu! Nie wstydzę się wyznać, że nie odzyskam spokoju, dopóki go nie spalę i nie rozsypię jego popiołów na cztery wiatry!

— Poważnie zależy ci tak na tym liście? - spytał Wang.

— Oczywiście. Byłżebyś tak okrutny, by go chcieć zatrzymać jako gwarancję w razie nawrotu mojej głupoty?

— Nie.

— No więc?

— A więc, drogi uczniu, twojemu życzeniu nie może stać się zadość i to, niestety, nie z mojego powodu. Ani Lao Szen, ani ja nie mamy już twojego listu...

— Nie macie go już?

— Nie.

— Zniszczyliście go?

— Nie! Niestety, nie!

— Byliście tak nieostrożni, żeby go powierzyć komu innemu?

— Tak!

— Komu? Komu? — cierpliwość Kin Fo wyczerpywała się już. — Powiedz, komu?

— Komuś, kto zastrzegł sobie, że odda ci go osobiście!

W tej chwili urocza Liu, która w ukryciu nie straciła ani jednego słowa z tej sceny, wyszła zza parawanu, trzymając końcami paluszków słynny list i powiewając nim wyzywająco.

Kin Fo wyciągnął do niej ramiona.

— O, nie! Jeszcze trochę cierpliwości, proszę! — I urocza kobietka udała, że wycofuje się za parawan. - Interesy przede wszystkim, mój mądry mężu!

I podsuwając mu pod oczy list, spytała:

— Czy mój starszy braciszek rozpoznaje swój utwór?

— Czy go rozpoznaję! - zawołał Kin Fo. - Któż inny poza mną mógłby napisać ten głupi list!

— Dobrze, w takim razie, zgodnie ze swym uprawnionym pragnieniem, proszę rozedrzeć, spalić i zniszczyć ten nierozważny list. Niechaj nic nie pozostanie z tamtego Kin Fo, który go napisał!

— Niech się stanie! — Kin Fo zbliżył papier do płomienia.

— Ale teraz, moje drogie kochanie, pozwól mężowi uściskać czule żonę i racz usiąść na pierwszym miejscu przy tym błogosławionym posiłku. Czuję, że będę miał wspaniałą apetyt!

— I my również! — wykrzyknęli biesiadnicy. — Zadowolenie wewnętrzne bardzo zaostrza apetyt!

W kilka dni później odwołano zakaz cesarski i małżeństwo zostało zawarte.

Małżonkowie kochali się! I kochać się mieli wiecznie! Tysiąc i dziesięć tysięcy rozkoszy czekało na nich w życiu!

Trzeba jechać do Chin, by się o tym przekonać.

Przygotowano na podstawie [bookini.pl](http://bookini.pl)